

Biblioteka  
U. M. K.  
Toruń

284468

STANISŁAW GRABSKI

MYŚLI O DZIEJOWEJ  
DRODZE POLSKI



KSIĄŻNICA POLSKA  
GLASGOW 1944

LEWIS & CLARK  
EXPLORATION





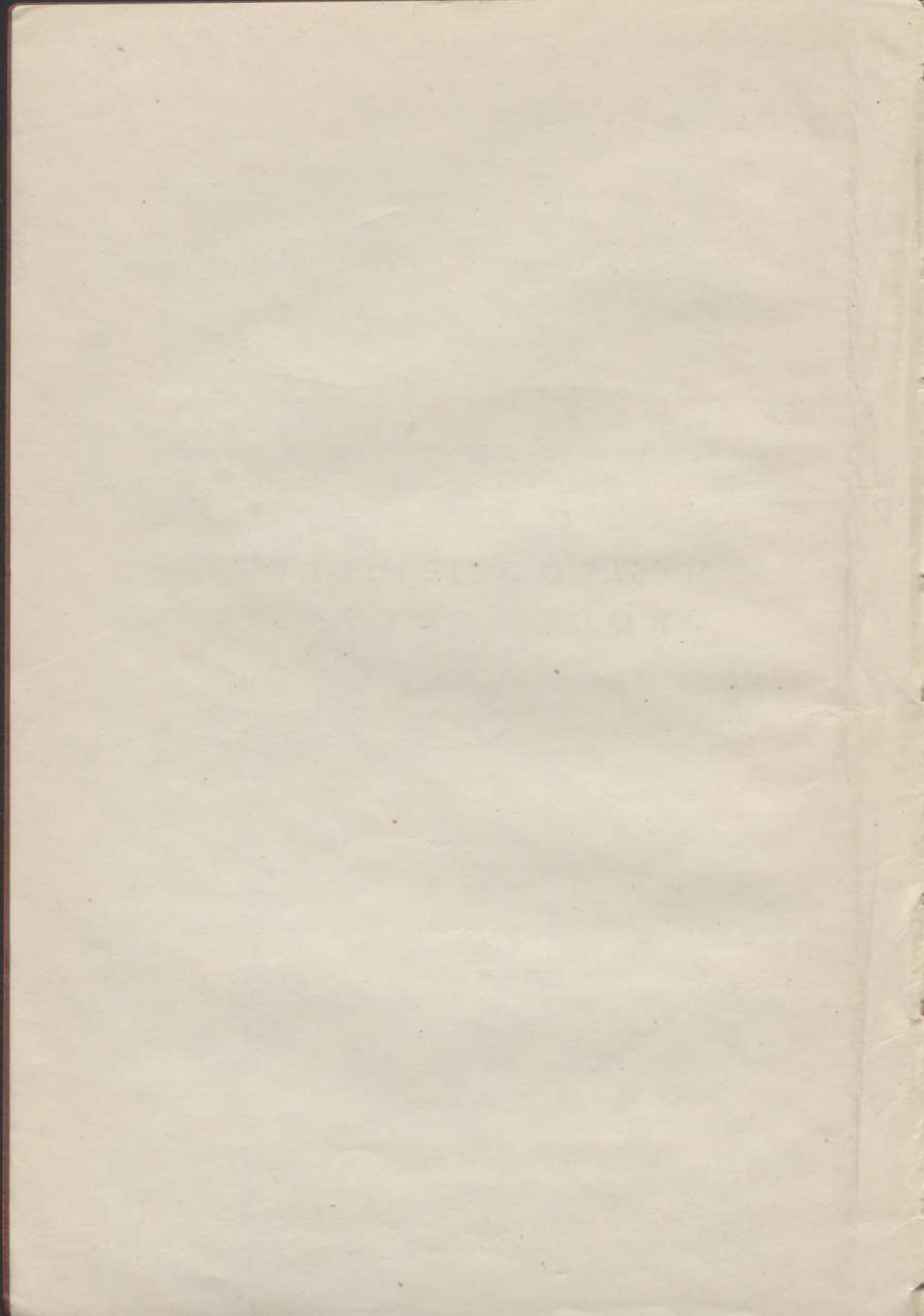
STANISŁAW GRABSKI

MYŚLI O DZIEJOWEJ  
DRODZE POLSKI

MYŚLI O DZIEJOWEJ  
DRODZE POLSKI



WYDAWCA  
KRAKÓW





STANISŁAW GRABSKI

MYŚLI O DZIEJOWEJ  
DRODZE POLSKI



GLASGOW 1944

KSIĄŻNICA POLSKA

STANISŁAW GRABSKI

MYSŁ O DZIEŁOWEJ  
DRODZE POLSKIEJ



8092.



284468



Printed in Scotland, by Allan Fowler Ltd., Glasgow, C. 1

D. 21087/57



## I. POLSKA MYŚL DZIEJOWA.

Narzucona z góry jednomyślność — to powszechna bezmyślność. Muszą istnieć różnice programów poszczególnych stronnictw. Nie szkodzi, gdy i pojedynczy ludzie umiejący głębiej czy dalej od ogółu patrzeć, wybiegają poza wszystkie uznawane dotychczas formuły polityczne i społeczno-gospodarcze.

Ale są takie momenty w życiu narodu, w których byt jego zawisł nade wszystko od jego wewnętrznej zawartości. Zawartość działania osiąga się przez skupienie w czasach krytycznych władzy organizującej zbiorowy wysiłek narodu w rękach jednego człowieka lub nielicznego grona osób, jak to było w 1920 r., gdy Sejm przekazał wszystkie swe uprawnienia Radzie Obrony Państwa. Najsprawniejsze jednak rozkazodawstwo nie wydobędzie z narodu pełni woli zwycięstwa, jeśli nie będzie w nim jednocześnie zawartości duchowej płynącej z zespolenia dążeń wszystkich warstw społecznych i prądów politycznych. To też i w przeszłej wojnie światowej i w obecnej wszędzie niemal tworzyły się rządy koalicyjne wszystkich poważnych stronnictw. I na czas istnienia rządu koalicyjnego biorące w nim udział stronnictwa zawieszają wszelkie między sobą spory o różnice ich programów i żądań.

Przeżywana dziś przez nas chwila dziejowa wymaga wszakże od nas o wiele więcej. Nie wystarcza dziś hasło: myślimy narazie o tym tylko jak wygrać wojnę, a zagadnienia organizacji powojennego życia odłożymy do dnia wyzwolenia Kraju spod wrogiej okupacji. Musimy się zdobyć na wytworzenie zbiorowym wysiłkiem wszystkich kie-

runków politycznych jeszcze przed końcem wojny — i im prędzej tym lepiej — wspólnego ideału przyszłej Polski, lepszej, silniejszej, zamożniejszej, szczęśliwszej.

Gdy przyjdzie czas realizowania tego ideału z pewnością wystąpią na jaw różnice programowych i partyjnych poglądów stronnictw. I nie będzie w tym nic złego. Obecnie jednak trzeba sobie powiedzieć: wszyscy kochamy Polskę, wszyscy pragniemy dla niej poczesnego miejsca w cywilizowanej ludzkości: jeśli wszakże nie potrafimy wytworzyć wspólnego społecznego i politycznego ideału Polski jutrzejszej — inne narody sądzić o nas będą na podstawie naszej wczorajszej przeszłości: a ta niestety zbyt słabą daje podstawę zaufania do nas, że im będziemy silniejsi — tym pewniejszą się staniemy ostoją trwałego w Europie pokoju i tym skuteczniej służyć będziemy postępowi sił duchowych ludzkości. Więc choć to może rzecz najtrudniejsza — musimy uznać za równy obowiązeki żołnierza nieszczędzenia swego życia na froncie — obowiązek obywatela polskiego — przewyciężenia w sobie wszelkich stronnicych czy koteryjnych uraz lub niechęci, wyzwolenia swej myśli z wszelkich dotychczasowych doktryn i formuł partyjnych, przeszkadzających wzajemnemu zrozumieniu się ludzi różnych obozów — a szukania zespalającej najbardziej nawet dotychczas zwalczające się odłamy naszego narodu ideowej syntezy.

Tak — ideowej syntezy, a nie kompromisowego programiku, w który każde ze stronnictw coś ze swej doktryny wniesie, a z czegoś na razie ustąpi z cichym jednak w gronie „swoich“ nieukrywanym zastrzeżeniem, że przy pierwszej odpowiedniej okazji cofnie się te ustępstwa.

Trzeba nam idei zespalającej duchowo naród. Musi to więc być idea syntetyczna, obejmująca sobą całość narodowego życia. Ale synteza — to nie arytmetyczna suma. Wyliczanie pokolei wszystkich spraw, które pragnelibyśmy załatwić w powojennej Polsce i wszystkich żądań, których zaspokojenia domagają się większe, mniejsze i najmniejsze grupy naszej ludności — będzie tylko szeregiem analiz, być może nawet bardzo cennych dla pracy w Kraju przyszłych ministerstw — wszakże nie da nigdy ideału Polski, którego realizacja może się stać nie zadaniem takich czy innych urzędów — ale celem i treścią życia całego narodu a przede



wszystkim tego naszego pokolenia, które w najbliższych 30 latach po wojnie tworzyć będzie historię Polski.

Będzie idea powojennej Polski ideą naprawdę jednoczącą naród, ideą syntetyczną, gdy w jej ramach będą mogły znajdować swe zaspokojenie wszystkie uprawnione ambicje, cywilizacyjne dążenia i społeczno-gospodarcze postulaty naszego społeczeństwa i poszczególnych jego warstw. Ale raz jeszcze powtarzam — nie z zesumowania tych różnorodnych i wielorakich ambicji, dążeń i postulatów wynika syntetyzująca je idea. Dać ją musi myśl wznosząca się znacznie ponad sprawy dnia dzisiejszego i wczorajszego, a nawet najbliższego jutra; myśl nasza musi sięgnąć i o setki lat wstecz i na setki lat wybiec naprzód. Gdyż naród, to nie suma dziś tylko żyjących na pewnym terytorium i mówiących jednym językiem ludzi — to wieczysta jedność ducha — przeszłych, obecnych i przyszłych pokoleń. Zespala je zaś w naszej świadomości poczucie obowiązku przekazania naszym następcom w żadnym razie nie pomniejszonego, a możliwie powiększonego dziedzictwa cywilizacyjnego, wytworzonego wiekową naszych przodków pracą i walką.

I cywilizacyjne to dziedzictwo, to nie tylko materialne zasoby narodu, poziom jego oświaty, naukowa i literacka jego twórczość, tradycje obyczajowe, wspomnienia świetnych czynów orężnych, kultura obywatelska i stan moralny ludności... Bo żaden naród nie żyje w odosobnieniu od innych. A jeśli o tym zapomina — to mu to przypomną tragicznie sąsiedzi, tak jak nam przypomnieli w końcu XVIII wieku, w wieku sejmikowej demagogii wołającej głupio i małodusznie: „Nie mieszajmy się do cudzych spraw, żeby i inni się do nas nie miesza!“. Cywilizacyjnym dziedzictwem narodu jest nie tylko jego kultura gospodarcza, polityczna, umysłowa i moralna wraz z jego instytucjami prawnymi: jest nią również w tym samym stopniu i stanowisko jakie zajmuje on w ludzkości.

Ale zmieniają się urzędnienia państwowe i uwarstwienia społeczne, granice państw, ich sąsiedzi — nawet mowy narodów. Dzisiejszemu Polakowi niezrozumiałym jest szereg słów i zwrotów pieśni „Bogurodzica“, z którą ruszało na bój śmiertelny rycerstwo nasze pod Grunwaldem. I nie ma już Zakonu Krzyżackiego, którego potęga runęła w tej bitwie. Nie wiele się ostało z tych rodów, które brały

udział w radzie króla Jagielly i wojskom jego przewodziły. Znikła przodująca w życiu państwowym i społecznym rola stanu rycerskiego. Zniknął sam podział na stany. Inaczej zupełnie niż wówczas mieszkamy, ubieramy się, pracujemy.

A jednak Grunwald to drogie, bardzo drogie wszystkim sercom polskim dziedzictwo, o zachowanie którego dziś i pod Tobrukiem walczyliśmy. Takim samym naszym dziedzictwem są na równi z czynami orężnymi i pokojowe czyny serc i rozumów: kładący kres samowoli możliwych statut wiślicki, głosząca miłość współobywateli za najtrwalszą podstawę siły państw Unia Horodelska, zawieszająca wszelkie walki wewnętrzne na czas bezkrólewia i ustanawiająca raz na zawsze wolność sumień konfederacja warszawska, równająca bez żadnego rewolucyjnego wstrząsu stan II z I. Konstytucja 3 maja i takie postacie jak św. Wojciech, św. Kazimierz, św. Stanisław, Długosz, Kopernik, ks. Skarga, Staszyc, Kościuszko, Mickiewicz...

Bo choć przeważnie nie pozostało już nic z tych stosunków w jakich dokonywały się te wszystkie czyny i działali ci ludzie — ale myśl przewodnią i ducha narodu, który się w nich wypowiedział przez wieki, chcemy nadal utrzymać.

\* \* \*

Wprawdzie byli u nas, poczynając od Szujskiego, historycy i publicyści, którzy uznawszy się za mentorów narodu, wszystko to co nasza tradycja narodowa czciła — zwali tragicznym głupstwem, nawołując do zerwania z tolerancją wierzeń i przekonań, do zerwania z romantyzmem, który wiódł naszych ojców i dziadów do powstań bez szans zwycięstwa i do nic nam jakoby nie dającej walki za cudzą wolność. Były też ostatnimi czasy grupy — i to liczne młodzieży, które oklaskiwały gorąco te nawoływania i przyjmowały z zachwytem pouczenia, by wychowana już w wolnej Polsce generacja czerpała dla siebie wskazania nie z „ginącego świata“ umiłowań tych, co wolność ojczyźnie wywalczyły pokoleń, lecz z nowoczesnych zagranicznych doktryn totalnego nacjonalizmu.

Ale była to tylko powierzchowna myślowa moda, intelektualny snobizm. Cała nasza bez wyjątku młodzież, gdy zawisł nad Polską miecz najeźdźcy, porwała się do



takiej samej romantycznej, mierzącej siły na zamiary walki, do jakiej stawało każde z poprzednich pokoleń. I dziś znowu tak samo jak dziadowie i pradziadowie walczy ona o wolność nie tylko własną.

Może myśl pewnych odłamów naszego narodu zejść chwilowo z dziejowej swej drogi, ale w godzinach historycznej doniosłości porzuca natychmiast obce bóstwa i ułudy — wraca na tory, którymi szła i idzie od tysiąca już niemal lat.

Bo już w najpierwszym zaraniu naszych dziejów torowała sobie myśl polska własną drogę. Wypowiadała się ona w tych tak odległych czasach — tak nam i dziś bliskimi legendami o Wandzie „co nie chciała Niemca“, o jej zbawczej dla narodu ofierze, o karze niebios za zbrodnicze rządy Popiela, o wyniesionym na stolicę księżęcą za gospodarność i wierność tradycyjnym prawom kmieciu Piaście, w odporze jaki dały rody przenikaniu do nas z Niemiec feudalizmu i próbom wciągnięcia Polski w orbitę świętego cesarstwa, w kulcie św. Wojciecha idącego nawracać pogan z krzyżem jeno, a bez miecza. Bośmy nawet chrześcijaństwo od pierwszej chwili jego przyjęcia pojmowali inaczej od Niemców.

Oczywiście nie od razu z powstaniem Państwa Polskiego powstała i myśl przewodnia jego dziejów. Nasamprzód było to tylko państwo Mieszka, a potem Chrobrego. I w organizacji jego na przełomie X i XI stulecia widzimy na równi z prastarymi słowiańskimi pierwiastkami (rody, ziemie, grody, opola), urządzenia przyjęte zarówno od zachodnich Niemców (drużyna), jak i ze wschodu, z Bizancjum (wsie narokowe i stałe po grodach załogi monarsze). A za wnuka Bolesławowego powstaje potężna reakcja plemiennych tradycji słowiańskich (bunt Masława), która omal nie rozrywa cywilizacyjnego związku Polski z zachodnią Europą. Odwrotnie, nie jeden z Piastowiczów w okresie dzielnicowym zapomina o przykładzie Wandy, wchodzi w rodzinne związki z niemieckimi dworami i na własnym dworze wprowadza niemiecki język i obyczaj. Przeżyło też ciężki dramat młode Państwo Polskie z powodu starcia się wnoszonego do niego przez Bolesława Śmiałego po jego kilkoletnim pobycie w Kijowie wschodniego despotyzmu z uosobioną w św. Stanisławie

obroną starodawnego prawa rodów i ich wolnych członków, którzy u nas nie stali się nigdy warstwą służebną wzorem bojarów ruskich, ani też, jak na zachodzie, lennikami oddzielonymi od głowy państwa przez parę kondygnacji większych i mniejszych feudalnych panów ziemi. I było sprowadzenie przez księcia polskiego do Polski Krzyżaków, najgorszej jej wkrótce wrogów. I był moment, że cała Polska dostała się pod panowanie obcego monarchy, którego następcy wprowadziliby ją byli niechybnie w zależność od Cesarstwa. I były liczne waśnie i wojny między dzielnicowymi książętami. Stawała Polska w XII, XIII i na początku XIV stulecia nieraz wobec śmiertelnych niebezpieczeństw, przenikały do niej obce duchowi narodu prądy, uderzały o nią przemożne potęgi: z północy krzyżacka, ze wschodu mongolska. Były i tragiczne zmagania się wewnętrzne. Ale w tych wszystkich walkach, wstrząsach, rozterkach, zboczeniach i reakcjach przeciwko nim wykształca się w kościele polskim, jednym mimo dzielnicowe podziały, i w rodach rycerskich, mających swych członków w różnych dzielnicach, świadomość jedności narodu polskiego i przewagi jego prawa do niezależnego od obcych wpływów ustroju państwowego nad prawem dynastycznym. Wcześniej, niż we Francji występuje u nas na widownię historii obok monarchy i stanów — naród. Bo nie Lokietek, ale pod jego przewodem naród wytworzył był jednolite znów królestwo polskie—podobnie jak w przeszło pół wieku potem zepolił Francję naród francuski za wezwaniem Joanny d'Arc. Polska zaś Kazimierzowska była już państwem nie tylko narodowym — ale i świadomym swych dziejowych zadań. Boć to ci sami panowie Małopolscy, którzy razem z Kazimierzem, jako przyboczna jego rada, wytrwale i skutecznie zwiększali zasoby pieniężne, nie tyle skarbu królewskiego, co kraju — rozumiejąc, że póki rycerstwa naszego nie stać będzie na takie same jak u Krzyżaków stalowe zbroje, nie zwyciężymy Zakonu — przeprowadzili potem nie tylko dynastyczną przez małżeństwo Jadwigi z Jagiełłą, lecz i kulturalną unię z Litwą, przyjmując rycerstwo litewskie do polskich związków herbowych. Uznawał za swe zadanie polski naród (boć nie królowie robili mu jak w Rosji i Niemczech jego historię, ale sam on ją współ z królami swymi, podobnie jak to się działo w Anglii,



tworzył) wytworzenie potęgi zdolnej przeciwstawić się skutecznie zarówno krzyżackiej jak tureckiej zaborczości. Ale nie podbojami, jeno dobrowolnymi uniami uważał za stosowne tę potęgę tworzyć. I przyciągał ku sobie nie tylko Litwinów i Rusinów, lecz także miasta pruskie i rycerstwo inflandzkie swymi prawami zapewniającymi wszystkim ludziom wolnym wolność obywatelską i religijną. Była walka z krzyżactwem nie tylko obroną naszych granic przed jego najazdami — była to również walka o ducha cywilizacji chrześcijańskiej. Chrystus krzyżacki to był jeno przemianowany starogermański „Tor“, rozmiłowany w krwi i poździe i dający swym wyznawcom prawo nienawidzieć i ujarzmiąć, a nie nakazujący zbawiać dusze pogan z miłości do nich. Polskie zaś rody szły do Litwinów w rok po zwycięstwie grunwaldzkim ze związkiem braterskim, bo „wiadomo wszystkim, że dostąpi do zbawienia, kto będzie wspierany tajemnicą miłości“. A najsilniej bodaj wyraziła się była myśl dziejowa polska w tej gotowości, z jaką stawał się nasz naród w obronie chrześcijańskiego świata przeciwko każdej uderzającej weń nawale od Lignicy po Wiedeń.

\* \* \*

Dziś zagrażają cywilizacji chrześcijańskiej nie tyle miecze wrogów Chrystusa, co anty-chrystusowe doktryny państwowe, gloryfikujące jako najwyższą cnotę obywatelską nienawiść klasową czy rasową, a potępiając jako słabość niegodną prawdziwych mężów — miłość bliźniego. Doktryny te nie tylko propaguje się przy pomocy organizacji obejmujących świat cały ale się je i realizuje, kształtując wedle nich prawne i społeczno-cywilizacyjne życie narodów, oraz ich do reszty ludzkości stosunek. Od szeregu lat prowadzona jest potężna ofensywa, której celem jest wyrugowanie z całego życia publicznego moralności chrześcijańskiej. Ofensywie tej może dać skuteczny odpór jedynie równie stanowcza i całkowita realizacja zarówno w wewnętrznym życiu państw, jak i w organizacji nowej powojennej Europy wskazań Chrystusowej nauki.

Przykładowi państwa bezbożniczego i neopogańskiego trzeba przeciwstawić przykład państwa naprawdę chrześcijańskiego. Być może uczynią to i inne narody, i, daj Bóg,



by to uczyniły. Ale bodaj najbardziej do tego jest właśnie dziś naród polski powołany.

Bo żaden inny naród nie doświadczył na sobie tak boleśnie jak nasz skutków wyzbytej z nakazów etyki chrześcijańskiej polityki międzynarodowej i administracji państwowej. I w tradycji żadnego innego narodu nie leży bardziej obrona krzyża chrystusowego jak w tradycji polskiej. Nie ma też bodaj żadnego innego poza szwajcarskim narodem europejskiego, w którego dziejach byłoby mniej przejawów nienawiści klasowych, religijnych, partyjnych, ścinanych głów przeciwników politycznych, mniej palonych na stosach inowierców, mniej krwawych buntów i wojen domowych.

\* \* \*

Nasza myśl dziejowa poczęła się już na przełomie XIII i XIV stulecia. Wypowiadała się ona bardzo jasno w XV i XVI wieku. Ale nie przestała się kształtować i w dobie rozbiorów i w porozbiorowych naszych o niepodległość walkach. I byłibyśmy narodem niezdolnym do postępu, gdyby nie wniosły do niej niczego i przeżycia nasze ostatnich lat dwudziestu paru.

Najnowsze nasze doświadczenia nie nakazują nam odstępować od żadnego z tradycyjnych naszych dążeń. Ale niektóre z nich bardziej wzmocniają i stawiają nas przed koniecznością pewnych nowych rozwiązań odwiecznego pytania, jak pogodzić nasze ideały z wymogami rzeczywistości, często zgoła nieidealnego życia, „praw natury“ z „prawami despotyzmu“ wedle terminologii Staszica.

Przewodnią myślą twórców Konstytucji 3. maja było, iż bez silnej, zdolnej do sprężystego działania organizacji państwowej Polska położona między dwoma zaborczymi potęgami wolności swej nie zachowa. Dziś ta prawda jest już nie podlegającym dyskusji aksjomatem uznawanym przez wszystkie warstwy i stronnictwa. Obecnie nie ma bodaj Polaka, któryby nie pragnął rządu w Warszawie równie zdolnego do szybkich i stanowczych działań, jak rządy berliński i moskiewski. I nie wielu jest już chyba wśród nas, którzyby nie rozumieli lepiej nawet, niż rozumiano to w otoczeniu Kazimierza Wielkiego, że pierwszym warunkiem politycznej siły Polski jest jej siła gospodarcza,

wystarczająca dla równego z Niemcami zaopatrzenia w bojowy sprzęt pancerny naszego wojska, oraz nie wyprowadzali stąd wniosku, że więc musimy w ciągu życia obecnej już generacji dorównać dobrobytem najszerzych mas ludności i wytwórczymi siłami kraju zachodnim naszym sąsiadom — a dlatego nie cofniemy się przed zastosowaniem i u nas planowej, kierowanej przez centralną władzę państwową gospodarki.

Alę jednocześnie doświadczenia czasów wojny, zaniedbania i błędy poczynione przez niekontrolowane rządy jednego człowieka i jego kliki, a przedziwna siła charakterów i trafny narodowy instykt całego społeczeństwa, które ani na chwilę i w ani jednej swej części nie ugięło się przed terrorem hitlerowskich zbirów i żadnym się nie dało uwieść pokusom — każą wyraźnie i stanowczo przeciwstawiać doktrynom państw totalnych nasze wiekowe tradycje: „neminem captivabimus nisi jure victum“, „nil novi“, tolerancji religijnej, Konstytucji 3. maja wyprowadzającej wszelką władzę państwową z woli narodu, i tyłu, poczynając od Pułaskiego i Kościuszki walk o wolność wszystkich narodów.

Wmyślenie się i wczucie w ducha naszych dziejów nie tylko dawnych lecz i najnowszych musi każdego z nas bez różnicy społecznych i politycznych przekonań doprowadzić do ideału ojczyzny, w której, zgodnie z nauką chrystusową, nie będzie odrębnej od moralności życia prywatnego etyki życia publicznego, ale będzie zarówno w polityce, jak w stosunkach między jednostkami obowiązywać dziesięcioro przykazań bożych — i złodziejstwo, obmowa, rozbój będą uznawane za grzech, wszystko jedno czy kradnie się głosy podczas wyborów, czy portmonetki z cudzych kieszeni, czy rzuca się nieprawdziwe oskarżenia na przeciwników politycznych czy na sąsiadów i kolegów, czy urządza się napady bojówek partyjnych czy band zbójcekich;

w której zarówno we władzach państwowych, jak i w stronnictwach, panować będzie służebny, a nie władczy stosunek do narodu i współobywateli — w myśl podstawowej chrześcijańskiego poglądu na państwo i społeczeństwo zasady, że uzasadnieniem wszelkiej władzy i wszelkiego bogactwa jest wypełnianie obowiązków wobec podwładnych i potrzebujących opieki;



w której zostanie należycie rozwiązane to bodaj najważniejsze obecnych czasów zagadnienie prawnopañstwowe: zapewnienia rządowi siły koniecznej dla zapobiegania w czas zaskoczeniu państwa przez zewnętrznych nieprzyjaciół i szybkiego wydobywania z narodu w chwilach niebezpieczeństw maksimum jego energii — a jednocześnie społeczeństwu pełni swobody myśli i sumień, kontroli nad działaniami rządu, współdziału w kierowaniu losami państwa, tak by nie słabło lecz umocniało się w najszerszych warstwach poczucie odpowiedzialności obywatela za przyszłość narodu, oraz całkowicie niezależnego od życzeń i nakazów władz wykonawczych — wymiaru sprawiedliwości;

która będzie ostoją trwałego pokoju w Europie opartego na przestrzeganiu nie tylko w wewnętrznym życiu narodów lecz i w stosunkach międzynarodowych nakazów moralności chrześcijańskiej

i która potrafi zyskiwać znów jak w XV stuleciu zaufanie sąsiednich narodów konieczne, by wspólnie z nimi wytworzyć w środkowej Europie siłę wystarczającą dla powstrzymania wszelkiego nowego wybuchu zrodzonej z antychrystusowego ducha zła zaborczości z jakiegokolwiek strony.

## MAMY WŁASNĄ DZIEJOWĄ MYŚL POLITYCZNĄ I MAMY TAKŻE WŁASNĄ MYŚL SPOŁECZNĄ

Są w dziejach ludzkości okresy zbliżania się do siebie dróg rozwoju cywilizacyjnego różnych narodów, naśladowania przez społeczeństwa biedniejsze i mniej oświecone urządzeń prawnopolitycznych i metod gospodarczych istniejących w państwach przodujących w postępie kulturalnym.

Takim okresem były pierwsze dwa wieki naszej ery, gdy prawo rzymskie wraz z łacińską i grecką mową, literaturą, sztuką i organizacją coraz liczniej zakładanych w Afryce i zachodnich prowincjach miast zespalało w jedną, cywilizacyjno-państwową wspólnotę wszystkie kraje imperium cesarów. Ale następnie w innym zupełnie kie-



runku poszła ewolucja społeczno-ekonomiczna i prawno-państwowa ziem zachodniej połowy cesarstwa, niż Bizancjum. I znów w IX stuleciu zaczyna się przenikanie coraz dalej na wschód i południe, do Sasów, Fryzów, do Danii, Skandynawii, Polski, Czech, Węgier, wytworzonego nasamprzód we Francji i północnych Włoszech ustroju stanowo-korporacyjnego. Polska Chrobrego miała zgoła odrębną od zachodnio-europejskiej organizację i administrację państwową i inne zupełnie życie gospodarcze. W Polsce Kazimierza Wielkiego prawnik, rycerz, a tym bardziej kupiec niemiecki czuł się o wiele bardziej swojsko, niż w Konstantynopolu, choć była to jeszcze wówczas stolica chrześcijańskiego cesarstwa.

W XV wszakże wieku, w dobie „Odrodzenia“ zaczyna się załamywać równowaga ustalonego za Pepina i Karola Wielkiego hierarchicznego układu samorządów terytorialnych i zawodowych, stanowiącego treść średniowiecznego ustroju feudalnego. I wraz z tym zjawia się poszukiwanie nowych form społecznego i politycznego życia. Szuka się ich przeważnie we wzorach antycznych. Ale wśród nich są wzory i republikańskiego Rzymu i cnoty Arystydesa czy Cincinata i despotyzmu Tyberiusza. Jest w czym wybierać. Rozchodzą się drogi dziejowe państw i narodów. Jakże różną jest w XVII w. republika wenecka od papieskiego Rzymu — Hiszpania, opierająca swą potęgę jedynie na orężnych podbojach, lekceważąca zaś pracę kupców i przemysłowców, od Francji, w której Colbert opiera na pieniężnym bogactwie kraju polityczny prymat w Europie Ludwika XIV — a dalej ta Francja z królem, który utożsamia siebie z państwem od parlamentarnej Anglii. I gdy z wojen religijnych wychodzi Wielka Brytania bardziej, niż poprzednio zwarta i o wiele bogatsza, w Niemczech doprowadzają one do rozrostu separatyzmu małych państw i powszechnego zbiednienia. A już zgoła w odmiennym od tych wszystkich krajów kierunku poszła historia polskiej Rzeczypospolitej szlacheckiej. Tak się działo aż do wojen napoleońskich. Po nich jednak liberalizm ekonomiczny i prawno-polityczny, wytworzony w północno-zachodniej Europie ogarnia sobą w ciągu ubiegłego stulecia wszystkie cywilizowane narody świata. Wszystkie one znoszą poddaństwo i niewolnictwo i wprowadzają równość obywateli

przed prawem, powszechną oświatę, parlamentarne władze ustawodawcze, kapitalistyczny ustrój ekonomiczny. Ustala się przeswiadczenie, że jest jedna tylko w całym świecie droga rozwoju cywilizacyjnego, ta na której przoduje Anglia — a istniejące między poszczególnymi cywilizowanymi narodami różnice, pochodzą właściwie tylko z szybszego lub powolniejszego posuwania się danych społeczeństw po drodze postępu. I ambicją mniej zamożnych państw było jaknajszybciej upodobnić się do idących w pierwszym szeregu. Zespały się też wszystkie rynki krajowe w jeden rynek światowy z jednolitym systemem pieniężnym: waluty złotej.

Ale w 1918 r. rewolucja bolszewicka wytworzyła na obszarze olbrzymiego imperium rosyjskiego ustrój komunistyczny, całkowicie odmienny od istniejącego w reszcie cywilizowanych państw. A wkrótce po tym zapanował we Włoszech faszyzm, różny i od komunizmu i od liberalizmu ekonomicznego. Wreszcie powstały narodowo-socjalistyczne Niemcy. Ale i w krajach, w których nadal naczelnym czynnikiem gospodarczego rozwoju pozostaje indywidualna przedsiębiorczość, dążąca do jaknajwiększego zysku, nastąpiły duże, w ciągu ostatniego dwudziestolecia odstępstwa od zasad liberalnej ekonomii. I w różnych państwach poszły one w różnych kierunkach.

Obecna wojna światowa wywoła nie mniejsze od poprzedniej zmiany społeczno-gospodarczego życia narodów i ludzkości. Jedną z nich będzie nawrót do międzynarodowej współpracy gospodarczej, rozbitej przez autarkiczną politykę ekonomiczną większości państw podczas kryzysu światowego 1929—1934, i przez zwycięstwo skrajnego nacjonalizmu w Niemczech. Ale nie będzie to już jak przed 1919 r. współpraca pojedynczych przedsiębiorstw, wywarzających zarówno dla rynków zagranicznych jak krajowych, zaopatrujących się w towary czy w środki produkcji we wszystkich częściach świata i współdziałających z sobą na obszarze całej kuli ziemskiej. Wolno-handlowy rynek światowy obecnie nie powróci. Nowy po wojnie rynek światowy będzie wytwórem nie indywidualnych inicjatyw przedsiębiorczych, lecz dziełem zorganizowanej przez państwa współpracy ich społeczeństw dla istotnej realizacji zasad Karty Atlantyckiej.



A drugą, równie niewątpliwą przemianą społeczno-gospodarczego współżycia jednostek i narodów, będzie zastosowanie we wszystkich niemal państwach gospodarki planowej. Metody jej będą w różnych krajach bardzo różne.

Gospodarka planowa przy najbardziej nawet rozwiniętej współpracy międzynarodowej musi być ściśle narodowa.

Najprawdopodobniej za lat kilkadziesiąt znów zaczną się zbliżać do siebie i upodabniać drogi dziejowe narodów. Ale za życia obecnego młodego pokolenia będzie musiał nasz naród planowo, konsekwentnie i wytrwale dążyć do ziszczenia swych własnych polskich zadań historycznych własnymi swymi polskimi drogami.

Bo mamy naprawdę własne cele i własne metody działania ustalone historią naszej cywilizacji — własną myśl społeczną.

\* \* \*

Myśl społeczna narodu przejawia się nie tylko w jego literaturze, we formułowanych przez jego myślicieli i duchowych przewodców zasadach i wskazaniach, lecz i w tym wszystkim, co jego dzieje wewnętrzne odróżnia od historii innych państw i społeczeństw.

Jakież więc są specyficzne cechy rozwoju naszych społeczno-gospodarczych stosunków i urządzeń?

1) W najpierwszym zaraniu naszych dziejów, za Mieczysława I. i Chrobrego organizacja państwa łączyła z rodzinnymi słowiańskimi instytucjami rodów, plemion, opoli, grodów — zaczerpnięty z Bizancjum podział pracy wśród niewolnych wsi narokowych zaopatrzających w żywność, a częściowo i uzbrojenie rozmieszczane po grodach, załogi wojskowe, oraz staro-germańskiego pochodzenia drużynę książęcą. Już jednak pod koniec XI stulecia zaczyna się rozpadać organizacja wsi narokowych, a drużyna upodabnia się do zachodnio-europejskiego rycerstwa czerpiącego środki na swe uzbrojenie z dochodów posiadanych przez się ziem. Po tragicznie zakończonej próbie Bolesława Śmiałego wprowadzenia do Polski ruskiego książęcego despotyzmu — ustała wszelka do nas infiltracja bizantyjskiej



kultury społeczno-państwowej, a zaczęła się coraz silniejsza recepcja zachodniego stanowo-korporacyjnego ustroju.

Znajdując się na pograniczu zachodniej rzymskiej i wschodniej bizantyjskiej cywilizacji staliśmy się za Piastów z początkowej mieszaniny ich obu — graniczną strażnicą tej pierwszej.

Unia jednak z Litwą znów wprowadziła do naszego społecznego życia silne pierwiastki wschodnie. Przeszła wskutek tego cała nasza cywilizacja przez ciężki kryzys, który trwał przez dwa stulecia od końca XVI po koniec XVIII wieku.

Nazbyt szybkie zespolenie się we wspólnych Sejmach polskiej szlachty o zachodniej kulturze rycerskiej z wychowanym w wolniczym posłuszeństwie, a naraz obdarzonym prawem wybierania królów, bojarstwem ruskim i feudalnymi litewskimi „królewiątkami“, wywodzącymi się od Ruryka lub Gedymina — obniżyło na długo poziom naszej myśli społecznej i państwowej.

Nie tylko pod Słuckiem, lecz również w Wielkopolsce i na ziemi krakowskiej szlachta i bogatsze mieszczaństwo nosiło w dobie saskiej wschodnie kontusze i iście wschodnim zwyczajem popuszczało słuckich pasów. Ale znów biorą górę idee zachodnie. Poprzedzające Sejm Czteroletni odrodzenie intelektualne i etyczne Narodu oparło się na ekonomicznych, filozoficznych i politycznych koncepcjach francuskich fizjokratów, niemieckich kameralistów, angielskich filozofów Lock'a i Hum'a, oraz genewskiego myśliciela Rousseau. I przez cały wiek walk o niepodległość łączyliśmy nasze dążenia i nadzieje z zachodnio-europejskimi prądami ideowymi głoszącymi wolność narodów i ludzi.

*Nasza myśl społeczna łączy nas z zachodem a nie ze wschodem.*

2) W XIII i XIV stuleciu mieliśmy na równi z zachodnią Europą ustrój stanowy — z dwoma jednak doniosłymi odchyleniami. Nasze rycerstwo nie powstało z germańskich zaborców kraju, ale było tego samego co i ludność włościańska pochodzenia. Toteż miało ono pełną własność ziemi, przeważnie odziedziczonej po przodkach, którzy zdobyli ją swą pracą, zakładając w bezpieczeństwa puszczach, zbior-

rową tylko własność plemienia będącą, nowe osady — a nie feudalne jej posiadanie drugiego czy trzeciego rzędu.

*Nasza myśl społeczna była mniej hierarchiczna i autorytatywna nawet od zachodniej, a tym bardziej od wschodniej. Natomiast bardziej niż w jakimkolwiek innym państwie było szanowane u nas prawo własności. Zdarzające się i na zachodzie, a stałym będące zjawiskiem i w Turcji i w Rosji, odbieranie przez panujących majątków niemitym panom nie miało u nas miejsca. Nawet szlachta w czasie najbardziej jej stanowych rządów nie przyznała by sobie prawa wywłaszczania poddanych włościan.*

3) Jak wszędzie na świecie istniało i u nas dążenie do równania społecznego. Równanie to jednak odbywało się u nas ku górze przez przyznawanie wyższych praw tym, co ich poprzednio nie posiadali, a nie przez odbieranie ich komukolwiek. Sejm Czteroletni nie pozbawił szlachty jej politycznych uprawnień, jeno rozciągnął je i na mieszczanństwo. A przez 400 lat poczynając od Unii Horodelskiej odbywało się nieustanne przyjmowanie do związków herbowych na samprzód bojarów i wojowników litewskich i ruskich, potem kmieci dziedziców, włodyków, sołtysów, pachołków, którzy się odznaczeni w boju, immigrantów ormiańskich, tatarskich, zasłużonych kupców i rękodzielników, a nawet całych gromad wiejskich. Toteż w końcu XVII wieku szlachta stanowiła u nas większy procent ludności niż posiadacze parlamentarnego prawa wyborczego we Francji i Anglii w pierwszej ćwierci ubiegłego stulecia.

*Tą tendencją do społecznego równania w górę, a nie w dół, najbardziej bodaj różniła się zawsze nasza cywilizacja od wschodniej.*

4) Polska pierwsza w Europie uznała wolność sumień i wyznań religijnych. Nikogo też u nas nie skazywano na więzienie, wygnanie a tym mniej na śmierć, za wypowiedanie słowem lub pismem swych poglądów filozoficznych czy politycznych. Nie było u nas niczego co by przypominało „auto da fe“, Bastylię, wenecki „most westchnień“ czy Schlisselburg. O wiele wcześniej niż paryskie Zgromadzenie Narodowe ogłosiło Deklarację Praw Człowieka było u nas uznawane i szanowane prawo jednostki ludzkiej do swobodnego myślenia, mówienia i działania zgodnie z osobistym swym przeświadczeniem.



Zarówno „oświecony absolutyzm“ jak „państwo totalne“ i „rządy monopartyjne“ to antytezy naszej narodowej myśli społecznej.

5) Ale tak samo nie do pogodzenia z nią są wszelkie hasła nienawiści klasowej, partyjnej czy rasowej: To nie jest przypadkiem, że poza zorganizowaną niezwykle perfidnie przez administrację austriacką „rzezią tarnowską“ nie było na terenie rdzennej Polski żadnych buntów chłopskich, gdy były one i w Anglii, i we Francji i w Niemczech i w Rosji. A wszystkie rewolucyjne spiski i działania polskiego mieszczaństwa kierowały się jedynie przeciwko obcej po rozbiorach zaborczej władzy, nigdy zaś przeciwko własnym królom, rządóm czy rycerstwu. Bunt wójta Alberta był dziełem wyłącznie Niemców.

Dziesięć stuleci to w porównaniu z życiem pojedynczego człowieka bardzo długi okres czasu. A jednak przez całe tysiąclecie naszych dziejów nie przestał na nie działać ten fakt, że nasze państwo, jedyne bodaj obok czeskiego w Europie, nie z obcego zaboru powstało. Toteż wcześniej od Francji i Anglii stało się ono z państwa dynastycznego państwem narodowym. I mimo całej buty i pychy szlacheckiej więcej było u nas ludzkiego traktowania poddanego przez dziedzica i nawzajem dziedzica przez chłopą, niż w państwach wytworzonych przez najazdy germańskie. W podświadomości i szlachty i włościan tkwiło poczucie wspólnego z tych samych rodów i plemion pochodzenia.

6) Dwie panowały w XVIII wieku na Zachodzie Europy filozofie społeczne. Jedna uzasadniała „oświecony absolutyzm“, „państwo policyjne“ i politykę „merkantylną“ oraz „katedralną“. (Hobbes, Leibnitz, Puffendorf, Justi). Głosiła ona, że wszelki porządek społeczny pochodzi z przymusu państwowego. Druga (Hume, Rousseau) cel społecznego życia widziała w dobrze jednostek, a źródło jego w dobrowolnej ich umowie.

Obie te doktryny znalazły odzwierciedlenie w bogatej naszej literaturze społeczno-politycznej na temat naprawy Rzeczypospolitej w osiemdziesiątych latach XVIII wieku.

Ale najwięksi nasi ówcześni myśliciele, pod których decydującym wpływem formowała się myśl społeczna pokolenia twórców konstytucji Trzeciego Maja, powstania Kościuszkowskiego i Legionów włoskich: Staszyc i Kołłątaj

uczili, że naród i państwo nie jest ani „umową społeczną“ wedle terminologii Rousseu, ani tworem „praw despotyzmu“ czy ustanowionego przez władcę kraju „policyjnego porządku“ — ale „jednością moralną“.

Tą ideą narodu jako „jedności moralnej“ uzupełnił w 30 parę lat później pierwszy nasz wielkiej miary ekonomista Fryderyk Skarbek twierdzeniem, że więź moralną zespalająca naród polega na „doskonaleniu się jednostek przez doskonalenie społeczeństwa“.

*Więc nasza polska myśl społeczna nie jest koncepcją ani liberalizmu, stawiającego ponad wszystko inne prawo jednostki do osobistego szczęścia, ani też wszechmocy państwowej, czyniącej z człowieka narzędzie jeno potęgi władcy kraju, czy też rządzącej klasy lub panującego w nim narodu. Za cel państwa i narodu proklamuje zarówno przez kazania Skargi, pisma Modrzewskiego, Konarskiego, Staszycy, Kołłątaja, Skarbka, Cieszkowskiego, Supińskiego, jak przez najcharakterystyczniejsze fakty naszych dziejów — realizację ideału narodu silnego nade wszystkim swą moralną jednością, płynącą z jak najpełniejszej harmonii naturalnego dążenia jednostek do ulepszenia własnego życia z dążeniem całości narodowo-państwowej do doskonalenia zbiorowego jej życia.*

Ten sam zasadniczy ideał społeczny formułują encykliki papieskie Leona XIII „De rerum novarum“ i Piusa XI „Quadragesimo Anno“.

Naprawdę mamy ze wszystkich narodów najwięcej danych dla stworzenia państwa rzeczywiście chrześcijańskiego. Bylebyśmy odrzucili od siebie obcego pochodzenia doktryny, gloryfikujące jako naczelne czynniki postępu czy to dobrze zrozumiany egoizm jednostek, czy walki elit o władzę, czy też nienawiści rasowe lub klasowe.

Bądźmy sobą.

Niech nasza dalsza droga dziejowa będzie kontynuacją a nie zaprzeczeniem dziesięciowiekowej historii naszej myśli społecznej.

Bo wbrew temu co mówią propagatorzy różnej zagranicznej intelektualnej mody: marksowskiej, faszystowskiej czy narodowo-socjalistycznej, nie jest nasza rodzinna cywi-



lizacja społeczna gorszą, czy niższą przez to, że nie było w naszych dziejach zaborczych na sąsiadów najazdów, wojen religijnych, krwawych rewolucyj społecznych, władzy despotycznej, ścinania głów wypadających z łaski ministrów, równania w dół, wywłaszczeń, masowego mordowania przeciwników politycznych.

Nie z ginącego, lecz z tego, co zatryumfuje w tej wojnie świata jest nasza polska myśl społeczna.

## II. NARÓD I PAŃSTWO.

Niezbyt wielu jest takich, co by pragnęli powrotu do ustroju prawno-państwowego, jaki mieliśmy w przededniu wojny obecnej. Więcej jest takich, ale też niezbyt wiele, którzy by chętnie widzieli przywrócenie przedmajowego sejmowładztwa. Naprawdę ani pierwsza, ani druga nasza konstytucja nie wytrzymała próby życia.

Osobiście jestem przeświadczony, że sejmowe walki partyjne pierwszych 7 lat naszej odzyskanej po rozbiorach niepodległości o wiele mniej utrudniały postęp społeczno-gospodarczy i cywilizacyjny Polski oraz mniej szkodziły międzynarodowej naszej pozycji, niż późniejsze niekontrolowane rządy. Zaryzykuję nawet twierdzenie, że wewnętrzne wśród „sanacji“ rozgrywki bardziej osłabiały zwierżenie władze państwowe od poprzednich „przesilen parlamentarnych“. Rządy pomajowe miały silną rękę — ale tylko rękę. Umiały tłumić po mistrzowsku wszelką przeciwność i niszczyć wszelką autonomię i niezależność. Żadnych jednak pozytywnych wyników krypto dyktatura marszałka Piłsudskiego i jego politycznych spadkobierców nie dała. Najjaskrawszym bodaj wyrazem jej „państwowo-twórczego budownictwa“ był budujący się przez lat 13 i ostatecznie nie zbudowany dworzec warszawski. Uzasadniano ograniczenia swobód obywatelskich koniecznością podporządkowania całego życia publicznego przygotowaniu się do wojny totalnej. A jak wojna wybuchła — okazało się, że niczego nie przygotowano: ani umocnienia przełęczy karpackich, ani samolotów, ani czołgów, ani nawet dostatecznej ilości karabinów dla powołania pod broń wszystkich przeszkolonych roczników.



Toteż nie bardzo mnie to dziwi, iż właśnie wśród tych, którzy przewrót majowy najusilniej popierali, a których skutki jego boleśnie potem zawiodły, t.j. wśród naszej skrajnej lewicy, jest dziś najwięcej bodaj tęsknoty do zniszczonych przed 16 laty ich własnymi rękami rządów Sejmu.

Jako członek rządu, sformowanego przez niewątpliwą większość Sejmu, broniłem praw jego w maju w 1926 roku. Ale nie mogę nie zdawać sobie w pełni z tego sprawy, że nie potrafiliśmy ich obronić nie tylko dlatego, że marszałek Piłsudski osiągnął w trzecim dniu walk na ulicach Warszawy przewagę nad wojskami wiernymi prawowitej władzy państwowej — lecz przede wszystkim wskutek tego, że ani w szerokich warstwach inteligencji, ani wśród mas robotniczych i chłopskich, poza Wielkopolską i Pomorzem, Sejm nie miał należytego autorytetu. Wojska Piłsudskiego wspomagało kilkanaście tysięcy uzbrojonych robotników warszawskich, spieszące mu z Wilna na pomoc wojskowe transporty kolejowe przybywały do Warszawy znacznie prędzej, niż transporty wojsk rządowych z Poznania. W obronie Sejmu i jego rządów stała Rada Ministrów, walczyły wierne przysiędze wojskowej pułki, mobilizowało się posiadające większe niż w reszcie Polski poczucie prawa społeczeństwo wielkopolskie, pomorskie i śląskie. Ale w całym byłym Królestwie, w Małopolsce i w województwach wschodnich ogół społeczeństwa bynajmniej nie uważał dyktatury wojskowej za coś gorszego od rządów stronnictw sejmowych. Dziś może się to wydawać dziwne.

Ale gdy przypomnimy sobie, że poprzednio przez długi szereg lat na wszystkich niemal wiecach partyjnych zawodowi agitatorzy przede wszystkim zniesławiali wszystkie inne stronnictwa — tak, iż nie było ani jednego wybitnego posła sejmowego, o którym by wyborcy nie słyszeli co najmniej dziesięć razy więcej oskarżeń o złą wolę, czy głupotę, niż pochwał — staje się zupełnie jasnym, że w tych warunkach Sejm ówczesny nie mógł nie stracić zaufania społeczeństwa.

Rządy parlamentu mogą należycie funkcjonować tylko w narodzie o tak dużym wyrobieniu obywatelskim, iż samo poczucie prawa i lojalności zabezpiecza wystarczająco państwo przed destrukcyjnym działaniem egoizmów i nienawiści społecznych i partyjnych oraz nadmiernymi ambi-

ejami osobistymi poszczególnych przewodców politycznych. Ten wysoki stopień kultury politycznej posiadają prócz narodu angielskiego, również Holendrzy i Belgowie, Duńczycy, Szwedzi, Norwegowie, Szwajcarzy — ale nie było go we Francji, nie mówiąc już o Włochach, Niemczech, Rumunii. A i u nas pierwsza nasza konstytucja okazała się w stosunku do istotnego stanu kultury publicznego naszego życia przedwczesną. I dlatego nie mogła się utrzymać.

Uznaję bez zastrzeżeń czysty system rządów parlamentarycznych, jakie widzimy w Wielkiej Brytanii, za najpiękniejszy. Ale powtarzam — nie udało się go obronić w Polsce przed depopularyzującym go działaniem nieliczącej się z niczym, poza chwilowym interesem swego stronnictwa, demagogii partyjną. Nie udało się go obronić, pomimo, że na czele tej obrony stał w maju 1926 r. cieszący się większym, niż ktokolwiek inny zaufaniem najliczniejszej naszej warstwy włościańskiej — Witos.

Historii państw nie sposób nawracać na drogi, z których raz już zesłała. Obydwie dotychczasowe próby rządów Sejmu i rządów wojskowej „elity“ zawiodły u nas zupełnie. Przyszły nasz ustroj prawnopństwowy musi być zbudowany na zupełnie nowych podstawach.

\* \* \*

Doświadczenie ubiegłego dwudziestolecia poucza, że żadne umowy czy traktaty z sąsiednimi państwami nie zabezpieczą nas przed napaścią. Nie zagwarantuje nam trwałego pokoju ani najbardziej przyjazny do naszych sąsiadów stosunek, ani najrzęczniejsza dyplomacja nasza. Nawet konfederacja wszystkich znajdujących się między Rosją a Niemcami narodów nie zapewni pełnego bezpieczeństwa naszych granic.

Ani tworząca obecne nasze życie generacja ludzi ani nawet pokolenie ich dzieci nie będzie zwolnione od konieczności pilnego ciągłego baczenia, by nie zaskoczyła nas niespodzianie i nie uderzyła nas niedość przygotowanych do jej odparcia wroga napaść.

Ale doświadczenie tego samego czasu mówi nam również, że samo wysunięcie na naczelne miejsce wśród na-



szych zadań państwowych hasła „obronności“ bynajmniej nie zapewnią należytego przygotowania obrony granic. Wojna dzisiejsza jest totalna, prowadzi ją nie armia, ale cały naród.

Zgoła był jednak błędny wniosek, który wyprowadzały stąd rządy pomajowe, że należy cały naród poddać dyscyplinie koszarowej — oraz że wszystkie sprawy i władze państwowe powinny być podporządkowane sprawom i władzom wojskowym. Wręcz odwrotnie, z faktu, że wygrywa się dziś wojny wysiłkiem całego narodu — płynie na prawdę ten przede wszystkim wniosek, że bezpieczeństwo państwu może zapewnić tylko czynna o nie troska, ochota bojowa, wola zwycięstwa i gotowość do największych dlań ofiar jak największych mas obywateli. Są narody, w których ludzie zdobywają się na bohaterstwo — na rozkaz. Ale z pewnością nie należy do nich naród polski.

W naszym narodzie ludzie zdobywają się na bohaterские czyny i ofiary tylko i jedynie z nakazu własnego sumienia i serca. I przy tym o wiele częściej motywem tego nakazu jest wielkie umiłowanie czy poczucie honoru, niż świadomość obowiązku.

Więc dla bezpieczeństwa państwa naszego nie wystarczy zespolic *działania* obywateli z zamierzeniami naczelnych władz państwowych, kierujących w czasie pokoju przygotowaniem do odparcia wrogiego najazdu, a w czasie wojny akcją bojową. Trzeba jeszcze zespolic z celami i dążeniami państwa *ukochania i ambicje* jak największej liczby jego obywateli.

„Świszczący“ bat jest najgorszym u nas sposobem rządzenia. Można nim zapędzić ludzi do zamierzonych przez władzę państwowych działań — ale ukochania i ambicje Polaków zespolic z Polską jedynie powszechne ich poczucie się do osobistej odpowiedzialności za losy Ojczyzny. Nie może się jednak nikt poczuwać do odpowiedzialności za losy zbiorowości, na którą nie wywiera żadnego swą indywidualną myślą i wolą wpływu, ani za majątek, którego nie jest współgospodarzem.

Dziś w dniach wojny i po strasznych doświadczeniach 1939 r. myśląc o naszym ustroju prawnopaństwowym, stawiamy całkiem naturalnie i słusznie na pierwszym miejscu zagadnienie, przez jakie ustosunkowanie ogółu oby-

wateli do władzy państwowej i poszczególnych jej między sobą organów możemy zapewnić Polsce jak największą siłę obronną. Cóż bowiem przyjdzie nam z naszej niepodległości — jeżeli nie potrafimy jej obronić?

Ale nie można przy tym zapominać, że nie jest jedynym celem państwa obrona całości jego granic. Bo co też przyjdzie nam z naszej niepodległości, jeśli nie da ona całemu naszemu narodowi i ogółowi jego członków lepszego pod wszystkimi względami życia, niżśmy mieli w niewoli?

Nie daj Boże, by za lat dziesięć tylko pamięć o przeżytych pod wrogą okupacją cierpieniach kazała naszemu ogółowi cenić nasz własny byt państwowy, by przeciętny obywatel polski mówił: „Kocham Polskę, choć w niej jest źle“.

Zadaniem najbliższych naszych po wojnie dziejów jest zabezpieczyć trwale Polskę nie tylko od powtarzania się takiej, jaką przeżyliśmy klęski militarnej, lecz i takiego, jakie też przeżywalismy pogarszania się życia gospodarczego, pomniejszania wolności obywatelskiej, obniżania się powszechnej praworządności. Musimy zmienić całkowicie kierunek całej naszej wewnętrznej ewolucji.

Spadliśmy w poprzednim dwudziestolecu na najniższy poziom dobrobytu i rozwoju sił wytwórczych w całej Europie. W następnym dwudziestolecu musimy uprzemysłowieniem Polski i intensywnością naszej produkcji rolnej dorównać zachodnim sąsiadom.

I musi ustać panoszący się u nas ostatnio coraz bardziej nie tylko w rządzącym stronnictwie, lecz i wśród opozycyjnie nastrojonej młodzieży szkół akademickich władczy do Polski stosunek, a nastać stosunek naprawdę służebny zarówno wszystkich organów władzy państwowej jak i stronnictw politycznych. Nie może też nadal pogłębiać się wzajemna nieufność między masą obywateli a administracją państwową, ale rość powinno wzajemne ich do siebie zaufanie. Skończyć też trzeba stanowczo i natychmiast z uzależnianiem wymiaru sprawiedliwości od politycznych dyrektyw rządu. Trzeba zapewnić stanowi sędziowskiemu pełną autonomię, by był sługą jedynie prawa i sprawiedliwości.

Celem życia Polaków powinna być Polska, Jej bez-



pieczeństwo, siła, pòczesne wśród cywilizowanej ludzkości miejsce. Ale celem Polski musi być doskonalenie materialnego i duchowego życia Polaków, zwiększanie sumy szczęścia Jej obywateli.

By zrealizować równocześnie obydwie te zasady — trzeba oprócz nową po wojnie organizację prawnopaiństwową Polski na należytych ustaleniach wzajemnego stosunku poszczególnego w skład zbiorowości narodowej wchodzącego człowieka do jej całości oraz narodu do państwa.

\* \* \*

Narodu nie stanowi wspólna mowa, ani wspólne pochodzenie, ani też życie w ciągu wieków pod wspólną organizacją państwową.

Jedną była mowa plemion słowiańskich, zamieszkujących w IX stuleciu ziemie od Łaby po Bug i Dunaj. Ale nie były one narodem. Tysiąc lat mieli Słowacy wspólną z Madziarami organizację państwową — a jednak są oni dziś odrębnym od tych ostatnich narodem.

Nie jest naród ani ściśle etnograficznym tworem, ani wytworem historii państw.

Naród to wynik i etap dziejów cywilizacji ludzi zamieszkujących pewne terytorium. Potężnym czynnikiem tych dziejów były i związki krwi i jedność mowy i rozwój wspólnych wierzeń, obrzędów i wspólne władze państwowe. Ale żaden z nich sam przez się nie wytwarzał i nie wytwarza narodowej wspólnoty. W XVII i XVIII wieku rycerstwo i mieszczaństwo litewskie, białoruskie i ruskie zespoliły się tak dalece w jedną narodową wspólnotę z rycerstwem i mieszczaństwem polskim, że Konstytucja 3. Maja Rzplitą obojga narodów przemieniła w jednolite już państwo polskie. I jeszcze do 1863 r. wszyscy ówcześni pisarze rosyjscy ziemie, zabrane podczas rozbiorów, nazywali Polską. Panował bowiem na nich, pomimo zrusyfikowania po 1831 r. ich administracji państwowej, wciąż jeszcze nawskroś polski charakter całego życia cywilizacyjnego. A jednak na tejże samej Żmudzi, na której najsilniejszy był bodaj udział włościan w ostatnim naszym powstaniu — jest dziś naród nie polski, a litewski. Bo liczebnie najsilniejszym czynnikiem obecnego tam życia cywili-

zacyjnego jest masa włościańska, która nie spolonizowana poprzednio stała się samodzielnym jego podmiotem wtedy, gdy mowa polska została usunięta nie tylko z urzędów, szkół, ale i wszelkich instytucji publicznych.

Naród — to dziś (może kiedyś stanie się nią ludzkość) — najwyższa, najbardziej syntetyczna wspólnota nie tylko przyznających się do niej w danym czasie ludzi, lecz i wszystkich przeszłych i przyszłych generacji.

Naród nie jest ani przyrodniczym, ani prawnym, jeno nawskroś społeczno-psychicznym faktem. Istnieje on w duszach swych członków przez poczuwanie się ich do wspólnoty zespalającej w sobie wszystkie inne ich związki: rodzinne, terytorialne, klasowe, wyznaniowe.

Państwo zaś jest faktem ściśle prawnym. Państwa istniały; gdy jeszcze nie było narodów. I mogą istnieć narody bez, a nawet wbrew panującym nad ich terytoriami państwom. Dowiedliśmy tego w czasie naszej niewoli.

Więc zgoła błędnym jest głoszone dziś zarówno przez faszyzm, jak narodowy socjalizm utożsamianie narodu z państwem.

Państwo jest organizacją, normującą mocą prawnego przymusu współzycie mieszkańców określonego terytorium jako też ich stosunki z mieszkańcami innych terytoriów, odpowiednio do celów i woli pana (suwerena) danego kraju. Tym panem były w starożytnej Grecji plemiona, co ją zawojowały, w starożytnym Egipcie, Babilonie, Asyrii, Persji — dynastie monarchów, w feudalnych państwach średniowiecznych stany ludzi wolnych, na początku nowych wieków znów królowie i cesarze „z Bożej łaski”, a dziś są nimi narody. Minęły w całym niemal świecie państwa plemienne, stanowe, dynastyczne. Na wschód od nas jest państwo klasowe. A poza tym w Europie i Ameryce są przeważnie państwa narodowe.

W państwie narodowym państwowa organizacja służy przeprowadzaniu mocą prawnego przymusu woli narodu. Ale naród istnieje nie przez prawny przymus. Może on nawet — przypominam — istnieć wbrew niemu. Narodowa wspólnota cywilizacyjna jest o wiele szersza od powstających z przymusu prawnego współprac i współdziałań.

Utożsamianie narodu z państwem przez tak zwany totalny nacjonalizm w rzeczywistości zastępuje w całym



życiu narodu dobrowolne cywilizacyjne spółdziałania z nakazu sumień przez współdziałanie przymusowe z nakazu władzy państwowej. Pomimo, że faszyzm i narodowy socjalizm na swych sztandarach wypisały hasła rzekomo skrajnie narodowe, na prawdę skrajnego tylko egoizmu narodowego — jeden i drugi podporządkował rzeczywistości nie działalność państwa woli narodu, lecz wolę i myśl narodu nakazom władzy państwowej. Zarówno Włochy, jak Niemcy nie są istotnie państwami narodowymi — lecz dyktatorialnymi. Suwerenem ich jest nie naród, lecz dyktator rządzący przenikającym do wszystkich dziedzin cywilizacyjnego życia narodu przymusem prawnopolicyjnym.

Niewątpliwym pragnieniem olbrzymiej większości Polaków, jest, by Polska była państwem narodowym. I dlatego nie może być ona państwem dyktatorialnym i nie może być w niej podporządkowania całego cywilizacyjnego życia narodu, całej woli, myśli, twórczości narodu i poszczególnych jego członków przymusowym nakazom władzy państwowej.

Druga nasza konstytucja proklamowała zespolenie wszelkiej władzy państwowej w jednym ręku Prezydenta Rzplitej. Zerwała ona stanowczo z naczelną zasadą nasamprzód konstytucji angielskiej, a następnie i wszelkich innych europejskich konstytucji XIX w., na której oparł się również polityczno-prawny ustrój państw nowoutworzonych czy przywróconych jak Polska do niepodległego życia postanowieniami Traktatu Wersalskiego — z zasadą ścisłego rozgraniczenia władz: wykonawczej, ustawodawczej i sądowej.

Czy po powrocie do kraju — iść dalej po tej drodze, czy też z niej zawrócić?

Mimo woli narzuca się odpowiedź: droga ta doprowadziła nas do katastrofy z września 1939 r. — to samo już wystarczy, by ją przekląć i zejść z niej co rychlej.

Ale są po dziś jeszcze obrońcy nie tylko imienia Piłsudskiego, ale i całej jego i jego następców polityki wewnętrznej, dzieł Becka, Jędrzejewiczów, Matuszewskiego, Cara, Michałowskiego, Grabowskiego, Składkowskiego — sekundowania przez szereg lat Hitlerowi w rozbijaniu Małej Ententy i w całej jego polityce „pokojowej rewizji“ granic ustanowionych Traktatem Wersalskim, bezprawia

Brześcia, administracyjnych zesłań do Berezcy. Ludzie ci bronią tym bardziej konstytucji kwietniowej. Są też i inni jeszcze apologety, jeśli nie wszystkich konstytucji tej postawień — to w każdym razie koncentracji całej, *niepodzielnej* władzy państwowej w jednym ręku. Są to wierni dotychczas — mimo zbrodni dokonywanych przez „totalny nacjonalizm“ na Polsce i tyłu innych narodach — wyznawcy jego doktryny.

Dawni sanatorzy bronią konstytucji kwietniowej w dwojaki sposób. Jedni z nich — starsi, którzy nie mogą się odżegnać całkowicie od odpowiedzialności za to co się stało, wskazują, że tak samo jak Polska, nie były należycie przygotowane do wojny i wszystkie inne poza Niemcami państwa Europy, nie wyłączając Wielkiej Brytanii, najściślej przestrzegającej dotychczas zasady podziału władzy państwowej na trzy jej rodzaje odpowiednio od trzech różnych jej funkcji. Stąd wyprowadzają oni wniosek: nie wadliwy ustrój państwowy Polski winien temu, żeśmy się dali zaskoczyć przez napaść niemiecką, jeno panująca na ogół w Europie pełna złudzeń co do rzeczywistych zamiarów Hitlera międzynarodowa atmosfera polityczna. Drugi, młodzi zwalają winę nieprzygotowania do wojny na nieudolność następców Piłsudskiego, którzy nie potrafili należycie zużytkować pozostawionego im przez Marszałka dziedzictwa w postaci zespolenia w jedno władzy wykonawczej z ustawodawczą i sądową. Droga dziejowa wytknięta dokonana przez Piłsudskiego reformą naszego ustroju państwowego była rzekomo dobrą — jeno prowadzący po niej naród kierownicy Rzplitej byli kiepscy. I tu jest punkt styczny z „młodymi narodowcami“ z pod znaku Obozu Wielkiej Polski oraz Obozu Narodowo Radykalnego. Bo i tych ostatnich nie gorszyły nigdy rządy niekontrolowane nielicznej „elity“, posiadającej zapewnioną sobie sztucznym przywilejem dyktaturę na wszystkich polach życia narodowo-państwowego, jeno to, że elitą tą są inni, a nie oni. Gdyby oni sprawowali monopartyjne rządy w Polsce — wszystkoby szło doskonale.

Więc rozpatrzmy zagadnienia skupienia czy podziału władzy państwowej, nie wiążąc go ze sprawą odpowiedzialności za nieprzygotowanie nasze do wojny.

Skupienie całej władzy państwowej w jednym ręku —



to nie nowy wynalazek Mussoliniego czy Hitlera. Było ono i w starożytnym Egipcie, bywało i w tyraniach greckich, było w Rzymie w okresie imperatorów, w moskiewskim nasamprzód carstwie, a potem rosyjskim cesarstwie, w różnych państewkach włoskich XV i XVI wieku i wielkich także monarchiach europejskich z Hiszpanią i Francją na czele w okresie oświeconego absolutyzmu. I nieunikniona katastrofa dzisiejszych państw totalnych nie będzie też czymś zupełnie nowym. Absolutyzm oświecony zachodnioeuropejski zakończył się tragedią wielkiej rewolucji francuskiej, a samowładztwo cesarzy rosyjskich niemniej krwawą rewolucją bolszewicką.

Skupienie bowiem pełni władzy państwowej w jednym ręku prowadzi nieuchronnie: 1) do rządów niekontrolowanych przez opinię publiczną i co za tym idzie do powszechnego nadużywania władzy, 2) do całkowitego niemal zaniku u urzędników państwowych cywilnej odwagi i umiejętności mówienia przełożonym niemiłej prawdy — a wskutek tego do złego z reguły orientowania się naczelnych kierowników państwa w istotnym stanie nie tylko wewnętrznych, ale i zewnętrznych spraw państwowych, 3) do podporządkowania wymiaru sprawiedliwości chwilowym politycznym interesom, a nierzadko i osobistym sympatiom, niechęciom czy porachunkom rządzących osób i koterii, 4) do oddzielenia głowy państwa zawsze, a nieraz i szefa rządu od społeczeństwa przez klikę pochlebców, 5) do powierzenia kierowniczych w państwie stanowisk ludziom często zgoła się na odnośnych sprawach nie znającym, niefachowym — ale za to uchodzącym za niewątpliwie „swoich“, 6) do fałszywego pojmowania zadań polityki mocarstwowej i utożsamiania jej z poszukiwaniem za wszelką cenę efektownych tryumfów dyplomatycznych czy wojennych.

Uniknąć tych niedomagań może państwo jawnej czy zamaskowanej dyktatury tylko wtedy, gdy pełnię władzy skupia w swym ręku człowiek naprawdę genialny i prócz geniuszu mający jeszcze dużo szczęścia. Nie została by król pruski Fryderyk „Wielkim“, gdyby nie była w najkrytyczniejszej dlań chwili wojny siedmioletniej umarła cesarowa rosyjska Elżbieta. Wielkim był naprawdę Ludwik XIV, bo choć utożsamiał państwo z sobą, ale nie bał się silnych

indywidualności w najbliższym swym otoczeniu i umiał wysłuchiwać bardzo nieraz krytycznych uwag swych ministrów, szczególnie Colberta. Ale nie umiał tego Ludwik XV. To też za jego właśnie panowania sformułował Montesquieu prawno-państwową doktrynę trójdziału władzy państwowej, a ekonomista Quesnay rzucił administracji królewskiej wyzwanie: „laissez faire, laissez passer“ (niech się dzieje, niech się staje). Już nie oświecony, ale tylko błyskotliwy absolutyzm Ludwika XV pchnął monarchię francuską na tę pochyłą równię, po której stoczyła się ona za Ludwika XVI w przepaść jakobińskiego terroru.

A u nas w Polsce? Byłem zawsze stanowczym przeciwnikiem metody rządów Piłsudskiego. I nieraz, robiąc w więzieniu rachunek sumienia z całego mego życia, zadawałem sobie bolesne pytanie, czym nie zawinił ciężko wobec Polski oświadczywszy się 14 maja 1926 r., na naradzie Prezydenta Wojciechowskiego z ministrami w Wilanowie za zaniechaniem dalszego zbrojnego oporu przeciwko rokoszowi Piłsudskiego — bo zanosi się na przewlekłą wojnę domową, która sprowadzi interwencję zewnętrzną i utratę części naszego terytorium państwowego. Ale nie mogę nie przyznać, że Piłsudski był człowiekiem nieprzeciętnym i dużej miary, wiedzącym czego chce i umiejącym lepiej, niż ktokolwiek inny u nas swą wolę przeprowadzać. A mimo to jego rządy podporządkowujące „świszczącym batem“ sejm i sądy władzy wykonawczej, przyniosły w ostatecznym wyniku Polsce o wiele więcej szkody, niż pożytku — bo nieuchronną ich konsekwencją było przejście po jego śmierci pełni władzy państwowej do rąk dbającego bardziej o swe stanowisko w Polsce, niż o stanowisko Polski w świecie Mościckiego i słabego charakteru a miernego rozumu Rydza.

Zespolenie całej władzy w państwie w jednym ręku prowadzi zawsze do dyktatury, choćby nie formalnej — ale faktycznej i jeśli nie jednego tylko człowieka, to w każdym razie bardzo szczupłego grona osób. A najlepszy dyktator wyjątkowo tylko ma równie dobrego następcę. Nawet wtedy, gdy dyktatura jest dziedziczna, rzadko kiedy po wielkim monarze już w trzecim albo czwartym pokoleniu nie przychodzą bardzo mali spadkobiercy władzy państwowej. Pierwszym zaś czynem człowieka obdarzonego



dyktarialnymi uprawnieniami, zbyt jednak słabego dla po-  
dołania wynikającym z nich obowiązkom jest zawsze po-  
dzielenie się swą władzą czy to jawnie z jakąś „drugą oso-  
bą w państwie“ czy po cichu z gronem faworytów. Ale  
ani ta „druga osoba“, ani żaden z faworytów, ani też szef  
administracji państwowej nie może przewyższać „głowy  
państwa“ charakterem lub rozumem. Niestety i nas to nie  
minęło. Mieliśmy z nominacji spadkobiercy dyktatury Pił-  
sudskiego — premiera, który w ostatnich dwóch przed woj-  
ną latach dbał najbardziej, nie żałując ani surowych kar  
na opornych, ani własnych wnikliwych na przestrzeni całe-  
go kraju inspekcji, o odnawianie fasad domów miejskich  
i malowania wiejskich płotów.

Czy jednak nie było i nie ma dyktatorów i w pań-  
stwach, których ustrój prawno-polityczny opiera się na po-  
dziale władz? Czy w rzeczywistości nie bywa w Wielkiej  
Brytanii skoncentrowana władza i wykonawcza i praw-  
odawcza w ręku kierownika rządzącego stronnictwa, który  
jest jednocześnie szefem gabinetu ministrów i leaderem  
większości parlamentarnej? Czy nie tworzy faktycznie  
współczesnej historii Stanów Zjednoczonych A. P. prezy-  
dent Roosevelt?

Tak — to wszystko prawda. I jeśli fałszywym jest od-  
mawianie ogółowi narodu należytego zrozumienia dziejo-  
wowych swych zadań, rzeczywistej swej w świecie sytuacji  
i wpływających z nich bieżących interesów narodowo-pań-  
stwowych — które rzekomo ma należycie pojmować i oce-  
niać tylko nieliczna stosunkowo elita ludzi, posiadających  
wyższy od przeciętnego zmysł państwowy — to równie fał-  
szywym jest z drugiej strony niedocenywanie roli  
ludzi wielkich w dziejach narodu i państwa. Ostracyzm,  
zawiść przeciętnego obywatela do tych, co ponad tłum  
„demosu“ (ludu) wyrastali — tak silna w Atenach, że poza  
Periklesem, który na swoje bodaj szczęście zdążył w czas  
umrzeć, wszyscy tamtejsi przewodnicy polityczni byli skazy-  
wani na śmierć lub wygnanie — doprowadziła do niesław-  
nego upadku tę przestawną swymi dziełami sztuki, swą  
poezją i swą filozofią republikę. I co mnie najbardziej  
bodaj niepokoi, gdy myślę o naszej przyszłości, to obawa,  
czy nie zanadto jesteśmy pod tym względem do Ateńczy-  
ków podobni. Kogo u nas z wielkich naszych ludzi nie

szkalowano? Jak starano się w 1919 roku obniżyć, a długo jeszcze potem osmieszać Paderewskiego, robić z niego muzyka, co nie odróżnia międzynarodowego terenu od estrady koncertowej, masona, żydofila? Jakich nie opowiadano kalamij o Dmowskim, Piłsudskim, Witosie.

Ale uznając, że przyszły nasz ustrój państwowy powinien nie utrudniać, a raczej ułatwiać ludziom dużej miary istotne kierowanie całą polityką państwową, a nie tylko przewodniczenie w Radzie Ministrów — stwierdzam, że człowiek rzeczywiście nieprzeciętny potrafi, stojąc na czele władzy wykonawczej, wywierać w pełni potrzebny dla należytego jej funkcjonowania wpływ i na uchwały przedstawicielstwa narodowego, nie uciekając się do żadnych stawiających go ponad parlament formalnych przywilejów. Co więcej w narodzie, który, jak nasz, sam zawsze swoje dzieje tworzył — pod tym względem jesteśmy najbliżsi Anglii, a jak najdalsi od Prus i Rosji — naprawdę wielkich rzeczy może dokonać ten tylko, kto się nie uchyla od kontroli nad sobą opinii narodowej. Piłsudski mimo niewątpliwie wyjątkowych uzdolnień nie stworzył niczego, co by go przeżyło. Nawet jeszcze będąc w pełni sił, bo w 1920 i 1921 roku przegrał cały swój program federacyjnego ustroju Polski. A nie osiągnął niczego więcej poza „trzymaniem za pysk“ narodu polskiego przez dziesięć lat właśnie dlatego, że, zamiast współpracować z Sejmami, według własnych jego słów utrudniał im tylko pracę. Nie będzie miał nigdy u nas zaufania ogółu narodowego ten, kto nie ma ze swej strony doń zaufania i stawia się czy to postanowieniami konstytucji, czyniącymi go „odpowiedzielnym jedynie przed Bogiem i historią“, czy drwinami z „konstytuty“ i „ślabowanych portek“ ponad prawo i wolę narodu. Różni nasi niewielkiej miary historycy, starający się wykazać swą oryginalność przez „odbrązawianie“, zarzucali Kościuszcze, że nie był dość władczy. Nie rozumieli oni, że właśnie dla tego imię jego przez sto lat z górami było natchnieniem każdej zrywającej się do walki o niepodległość generacji polskiej, że nie wywyższał się ponad naród, ale był dosłownie jego „naczelnikiem“, szedł na jego czele, przodował mu w jego „insurekcji“, a nie nakazywał ją.

Kto wszakże rządzi państwem bez zaufania do narodu i narodu do siebie, ten co najmniej połowę swej energii



i swej inicjatywy zużywa na szamotanie się z nim — zamiast na twórczą konstruktywną pracę.

I musi popełniać błędy, nieraz śmiertelne — choćby był takim geniuszem jak Napoleon. Bo twórczość uczonego, poety, to osobiste tylko jego dzieło. Ale twórczość polityka, szefa rządu, naczelnego wodza — to przezeń kierowany, być może nawet zasugerowany, aktem jego woli zrodzony, i myślą jego uświadomiony — jednak zawsze zbiorowy wysiłek narodu, czy znacznej jego części. A każdy plan zbiorowego wysiłku zawiedzie — jeśli jego twórca pomyli się w ocenie sił danej zbiorowości. Plan kampanii Napoleona 1813 roku był wedle opinii wszystkich niemal historyków jego wojen — znakomity. Ale Napoleon nie przewidział, że w najkrytyczniejszym momencie duża część jego marszałków go zdradzi — bo zbyt się już był od szeregu lat wywyższał ponad naród francuski, aby mógł dostrzec, jak bardzo był on przemęczony nieustannymi jego wojnami. Nawet uczone samotnie w swej bibliotece opracowujący nowe teorie, jeśli nie ma wpaść w jednostronność, powinien umieć korzystać z krytyki jego pism. Cóż dopiero ten, który działa przez uruchamianie i skierowywanie do zamierzonych przez się celów zbiorowej energii.

Toteż słusznie obecny nasz Rząd w swej programowej deklaracji z 24 lutego zapowiedział, że „Polska mieć będzie silną i sprężystą władzę wykonawczą, zdolną do działań szybkich i stanowczych, uprzedzających wrogie wobec Polski zamierzenia i skupiającą całą energię narodu w chwilach niebezpieczeństwa“ — a zarazem „odpowiedzialną przed rzetelnym przedstawicielstwem narodowym, reprezentującym w pełni wolę całego społeczeństwa i wybranym w powszechnym, równym, bezpośrednim i tajnym głosowaniu“. Nie tylko bowiem nie są oba te postulaty sprzeczne ze sobą, lecz naprawdę wzajemnie się dopełniają. Rząd silnej nie tylko ręki, ale i głowy, oraz wielkiego serca — a bez wielkoduszności nie wydobywa się z narodu bohaterstwa — to rząd, który nie tylko nie uchyla się od odpowiedzialności przed opinią publiczną, ale pilnie jej dążenia i przemiany bada i nie traktuje krytyki swych poczynań i zamiarów jako przestępstwa, za które czeka winowajców więzienie lub obóz koncentracyjny, ale stara

się wyrozumieć co jest w nich słusznego, rozumiejąc, że każde przyznanie przezeń racji uzasadnionej i rzetelnej krytyce czyni tym bardziej przekonywującym każde następne przezeń odrzucenie krytyk i żądań nierzetelnych czy niemądrych. Może być dziś Churchill nie tylko premierem, lecz i wodzem większości parlamentu właśnie dlatego, że choćby w ostatnim roku w szeregu swych poczynań uwzględnił pozytywnie żądania opozycji, która mimo olbrzymiego doń zasadniczego zaufania całego niemal narodu w stosunku do poszczególnych jego zamierzeń i działań powstaje od czasu do czasu nawet w szeregach własnego jego stronnictwa.

Może być korzystnym, zapewniać wielkość państwa, szczęście narodowi faktyczne zespolenie w rękę jednego człowieka kierowniczej woli i wykonawczej i ustawodawczej władzy. Ale będzie to korzystnym tylko wtedy, gdy dominujący wpływ szefa rządu na sprawującą władzę ustawodawczą i kontrolę nad działaniem administracji państwowej reprezentację narodową opiera się jedynie i wyłącznie na jego *moralnym autorytecie*, a nie na przepisach ordynacji wyborczej, dających rządowi możność „kierowania myślą i wolą wyborców“, a tym mniej na niezgodnym z prawem poprawianiu przy obliczaniu kartek wyników głosowania, lub na postanowieniach konstytucji, pozwalających wprowadzać normy prawne, których uchwalenie przez parlament napotkało by na trudności, dekretami Głowy Państwa czy rozporządzeniami ministrów.

Tak się przedstawia ta sprawa u samej góry organizacji państwowej. Rząd jest naprawdę silny tylko rzetelnym współdziałaniem, na wzajemnym zaufaniu opartym, z niezależnym zupełnie od niego i mającym nienaruszalny swój zakres uprawnień ustawodawczych przedstawicielstwem narodowym. Ale jeszcze bardziej dla należytego działania wszystkich urzędów państwowych koniecznym jest szczególnie u nas, gdzie nagminną wadą jest dążenie do nadużywania władzy, by miały tę świadomość, że stoją one pod ciągłą baczłą kontrolą przedstawicielstwa narodowego, a nie posłowie muszą o ich poparcie dla zachowania swych mandatów zabiegać.

I dlatego jest konieczne ściśle oddzielenie władzy usta-



wodawczej od wykonawczej, stanowczy powrót ścisłego rozgraniczenia władz: wykonawczej, ustawodawczej i sądowej.

\* \* \*

Wielu ludzi, pod koniec przeszłej wojny światowej było bezwzględnie pewnych, że gdy runą wszystkie trzy mocarstwa środkowej i wschodniej Europy, a na miejsce tych dynastycznych mocarstw zjawią się państwa narodowe czy ludowe — nie będzie już nigdy więcej w Europie wojen. Tak myśleli nie tylko z dala od praktycznej polityki stojący ideolodzy. Niewątpliwie wielki mąż stanu prezydent Wilson, gdy mu Roman Dmowski przekładał, że stworzenie Wolnego Miasta z Gdańska doprowadzi wcześniej czy później do zbrojnego starcia Niemiec z Polską — odpowiedział stanowczym twierdzeniem, że traktat pokojowy, który zostanie Niemcom narzucony, uniemożliwi raz na zawsze ich wojenną agresję.

Jestem przeświadczony, że obecnie o wiele skuteczniej niż w 1919 roku zostaną Niemcy rozbrojone, a nowa organizacja Europy stworzy o wiele realniejsze od dotychczasowej Ligi Narodów zabezpieczenie trwałego pokoju.

Wielce niebezpiecznym byłoby jednak złudzeniem wyobrażać sobie, że da się wytworzyć automatycznie działające gwarancje pokoju, że czy to zapewniająca istotną równowagę sił w Europie zmiana dotychczasowych granic między państwami, względnie podział jednych, a złączenie w związki federacyjne drugich, czy też organizacja międzynarodowej kontroli nad dzisiejszymi napastnikami oraz międzynarodowej siły zbrojnej dla trzymania Niemiec i ich sojuszników w posłuszeństwie postanowieniom traktatu pokojowego — pozwoli miłującym pokój narodom żyć jedynie wewnętrznym swym życiem, troszczyć się wyłącznie o postęp własnego dobrobytu i swych sił cywilizacyjnych, bez żadnej już obawy o swe bezpieczeństwo i bez żadnych wysiłków dla zapewnienia sobie należnego wpływu na kształtowanie się międzynarodowych stosunków.

Nie jest niemożliwy trwały pokój w Europie. Ale nieodzownym tego warunkiem jest nieustanne czynne dbanie o utrzymanie go, nieustanne czynne w czas zapobieganie tworzeniu się sił i dążeń napastniczych, z którejkolwiek by wychodziły strony.

Trzeba będzie wyzbyć się nam raz na zawsze buńczucznych frazesów o naszej mocarstwowej potędze i naszym mocarstwowym prestiżu (bo dziś naprawdę mocarstwami są tylko państwa przeszło stumilionowe) — ale nie realnej polityki. Przeciwnie trzeba będzie o wiele usilniej i skuteczniej niż dotychczas pracować i dla wytworzenia własnej siły bojowej, zdolnej skutecznie przeciwstawić się napaści jakiegokolwiek sąsiada i dla zagwarantowania Polsce w świecie międzynarodowym stanowiska odpowiadającego tej historycznej roli, jaką ma Ona do spełnienia w środkowej i wschodniej Europie w obronie chrześcijańskiej cywilizacji i pokoju dla wszystkich ludzi i narodów dobrej woli.

Trzeba będzie porzucić stanowczo fałszywą, niezdrową ambicję mocarstwową rządów pomajowych — by od łaski lub niełaski kierowników naszej polityki zagranicznej zależał los sąsiednich narodów i żebyśmy byli czynnikiem przeobrażeń istniejącego układu granic i terytoriów państwowych, naczelnym jakoby będących celem ekspansji międzynarodowej potęgi narodu. Musimy po wojnie wytworzyć w sobie być może jeszcze silniejszą, ale zgoła inną, o wiele lepszą ambicję dziejową, by Polska stała się najczynniejszą i najsilniejszą strażnicą przewagi w międzynarodowym życiu Europy prawa i sprawiedliwości nad przemocą i uciekającymi się do niej egoizmami narodowymi czy klasowymi.

Nie zmniejszą się wszakże przez to ani zadania naszej polityki międzynarodowej, ani przeciwnieństwa które jej przyjdzie przewyżczać, ani niebezpieczeństwa, którym będzie musiała zapobiegać.

Psyche narodów nie zmienia się wraz ze zmianą ich ustroju państwowego czy społecznego. Jeden z największych historyków społeczno-gospodarczego rozwoju Niemiec — Gustaw Schmoller twierdził stanowczo, że pomimo całkowitej zmiany materialnych warunków życia, urządzeń prawnych oraz organizacji pracy i współpracy ekonomicznej — zasadnicze dążenia życiowe współczesnych Niemców, są te same co plemion germańskich czasów Tacyta. A dążenia te — jak wiemy z tysiącletniego naszego doświadczenia były zawsze zaborcze i kierowały się stale przeciwko nam, na wschód, na ziemię słowiańskie.



Nie jest to zaś jedyny w naszym sąsiedztwie zaborczy imperializm. I nie możemy zamykać oczu na to, że gdy na zachodzie Europy terytoria narodowe ustaliły się ostatecznie między XV a XIX stuleciem — to na jej wschodzie są liczne sporne między państwami i narodami ziemie narodowo-mieszane, o których przynależność do tego czy innego obszaru narodowego toczą się zacięte nieraz polityczne i kulturalne walki.

Co więcej, istnieją tu wywołujące dużą niepewność jutra procesy wytwarzania się nowych nacjonalizmów. Nie jest też bez znaczenia fakt, że żyjemy wspólnie z Litwą, Czechosłowacją, Węgrami, Rumunią, Jugosławią, Bułgarią, Grecją w ustroju społeczno-gospodarczym zgoła odmiennym od ustroju Z.S.S.R., bo opartym na prywatnej własności drobnych i średnich gospodarstw i przedsiębiorstw mas włościańskich i rękodzielniczych, stanowiących znakomitą większość ludności tych krajów, — ale też różniącym się silnie od zachodnio-europejskiego wielkoprzemysłowego i spekulacyjno-gieldowego kapitalizmu. Długo jeszcze będzie naokoło nas dużo sił i dążeń, których starcia mogą każdego czasu wywołać zbrojne zatargi.

Powtarzam: nie jest niemożliwy trwały pokój — ale trzeba będzie nieustannie go bronić. Największymi winowajcami obecnej wojny są ci, co uporczywie nie wierzyli w jej nadejście.

Z pewnością na straży pokoju stać będzie szereg państw. Ale we wschodniej i środkowej Europie my musimy przede wszystkim wziąć to zadanie na siebie. A dla wypełnienia go Polska powinna być mocna i mieć silną wśród innych państw i narodów pozycję.

W tej geograficznej sytuacji, w jakiej się znajdujemy, nie możemy mieć — pod groźbą zagłady — rządów chwiejnych, słabych, bardziej się troszczących o obronę swego stanowiska w kraju, niż o stanowisko Polski w świecie.

\* \* \*

Doświadczenie wszystkich dotychczasowych naszych wyborów sejmowych mówi wyraźnie, że absolutną większość jednemu stronnictwu czy „blokowi“ lub „obozowi“ dać mogą tylko wielkie fałszerstwa i nadużycia wyborcze

władz administracyjnych. Tak duże bowiem są różnice i struktury społeczno-gospodarczej i tradycji politycznych w poszczególnych częściach Polski, że stronnictwo cieszące się zaufaniem większości obywateli w jednej dzielnicy ma zazwyczaj bardzo ograniczony krąg zwolenników w reszcie Polski. Wprawdzie obecnie w kraju zmalowały ogromnie różnice społeczne i przeciwieństwa partyjne. Ale dotychczasowe stronnictwa nie przestały istnieć. A odbudowa wyzwolonego spod okupacji kraju wysunie szereg nowych zupełnie zagadnień, na które nie ma odpowiedzi w dotychczasowych programach partyjnych.

Sejm nasz nie upodobni się do parlamentu angielskiego. Będzie się on składał z kilku klubów poselskich większych i mniejszych, różniących się swymi programami w najprzeróżniejszych kwestiach.

O ile byśmy wrócili do przedmawianego systemu rządów tworzonych przez większość sejmową, będą to zawsze rządy takiej czy innej koalicji stronnictw, dzielących między siebie poszczególne teki ministerialne. Brałem udział w dwóch tego rodzaju Radach Ministrów i stwierdzam: największa ilość spraw państwowych była załatwiana przez poszczególne ministerstwa zupełnie autonomicznie wedle programów tych stronnictw, którym zostały odnośne resorty przyznane przy przetargach partyjnych poprzedzających ukonstytuowanie się Rządu. To też nieraz polityka zagraniczna szła w jednym, a wojskowa w drugim kierunku, skarbowa zaś i gospodarcza jeszcze w trzecim.

Tylko wtedy, gdy jak w Anglii istnieją dwa wielkie stronnictwa kolejno uzyskujące większość w parlamencie — Rząd wyłaniany przez parlament stanowi pewną całość, ma jedną zbiorową wolę, wszystkie jego organa działają wedle jednej przewodniej myśli. Gdy wszakże większość parlamentu składa się z szeregu stronnictw, rząd wytworzony przez ich koalicję ma już w swej podstawie wielotorowość polityki państwowej, parcelację poszczególnych jej dziedzin między stronnictwa, które częściej łączą w normalnych czasach wspólna świadomość tego, czego nie chcą, niż tego, czego chcą. A przy podziale tek stronnictwa najbardziej się o to starają, by otrzymać kierownictwo tymi działami administracji państwowej, w których będą one dysponować największą ilością posad dla swych człon-



ków i które dotyczą najżywotniejszych interesów ich wyborców. Czy stronnictwo ma najodpowiedniejszego dla kierowania danym ministerstwem człowieka, pytanie to schodzi na plan ostatni.

To też przy odnośnych przetargach partyjnych triumfuje najczęściej fatalny zawsze w swych skutkach kult niekompetencji. Kierownictwo najważniejszymi dla przyszłości narodu i państwa ministerstwami otrzymują ludzie, zgoła się na sprawach danego resortu nierozumiejący — ale „mocni“, dający swym stronnictwom gwarancję jak najpełniejszego wykorzystania swej władzy dla umocnienia i rozszerzenia ich wpływów w społeczeństwie. Rzadkie jest stronnictwo, w którymby przy udziale w parcelacji wykonawczych władz państwowych nie brała góry nad myślą o zasadach troska o posady dla swoich. I zazwyczaj przy podziale tek to stronnictwo najwięcej dla siebie wytarguje, które najbrutalniej stawia ponad zbiorowe interesy koalicji swe własne partyjne pożądanja, grożąc każdej chwili wystąpieniem z większości sejmowej czy z rządu, jeśli nie tyle programowe, co posadowe jego żądania nie zostaną spełnione.

Najgorszą stroną tego rodzaju rządów jest ich niejednolitość. Prezes Rady Ministrów całą prawie swą myśl i energię zużywa w nich na pilnowanie, by ujawniające się co chwila rozbieżności pracy poszczególnych ministerstw łagodzić doraźnymi kompromisami. Naczelnym jego zadaniem staje się zapobieganie rozpadnięciu się koalicji stronnictw, które stworzyły gabinet. Troska o istnienie rządu góruje nad myślą o jego zadaniach. Nieraz większość Rady Ministrów musi rezygnować ze swych zamierzeń, albo je znacznie modyfikować — bo jedno ze stronnictw grozi rozbięciem rządu w razie gdy zostanie w nim przegłosowane. W koalicyjnym rządzie partii sejmowych istnieje zawsze potencjalne „libérum veto“. A że dla zapobiegania wczas niebezpieczeństwom trzeba podejmować szybko stanowcze i niejednokrotnie ryzykowne kroki, najtrudniej zaś pozyskać powszechną zgodę na ryzykowne przedsięwzięcia — więc polityka mocarstwowa takiego rządu jest najczęściej nazbyt ostrożna i stale się spóźnia w swych działaniach.

Polska musi mieć rządy, które potrafią wielokrotnie wzmocnić wewnętrzne siły polskie i zapewnić jej realny

wpływ na kształtowanie się międzynarodowych stosunków — by była naprawdę mocarstwem — w ciągu najbliższego już po wojnie dziesięciolecia. Ale nie osiągnie się tego polityką chwiejną, unikającą każdego śmiałego ryzyka, idącą tylko za prądami, powstającymi w polityce światowej i co najwyżej w czas dostosowującą się do zmiany międzynarodowych koniunktur, a nie uprzedzającą je.

Rządy skoalizowanych stronnictw są dobre tylko w chwilach osobliwych, gdy wszystkie normalne interesy, troski i sprawy obywateli, warstw społecznych i stronnictw tracą wszelką prawie wartość wobec naczelnego całego narodu wysiłku walki o samą egzystencję i całość państwa.

W czasach normalnych są to rządy z reguły słabe. A Polska i sama musi być mocna i musi mieć mocne rządy.

Powracać do przedmajowego systemu rządów partji sejmowych nie należy. Ale jeszcze bardziej nie należy powracać do pomajowego systemu rządów niekontrolowanych, raczej trzymających Sejm w posłuszeństwie, niż się stosujących w swych dążeniach do wyrażanej przez przedstawicielstwo sejmowe woli narodu.

\* \* \*

Państwa dynastyczne służyły potędze monarszych rządów, państwa stanowe — przewadze rządzących warstw nad resztą ludności kraju, państwa narodowe są narzędziem przeprowadzania zbiorowej woli narodu. Polska jest państwem narodowym. To też rząd polski — naczelną władzą wykonawczą Rzeczypospolitej Polskiej będący — jest najwyższym organem realizacji dziejowych dążeń narodu polskiego.

Rząd ma prawo i obowiązek wytyczać drogi i sposoby tej realizacji, inicjować i organizować służące jej zbiorowe wysiłki społeczeństwa, nakładać na obywateli konieczne dla niej świadczenia i ofiary.

Ale nie ma on prawa uznać siebie za upostaciowanie całej myśli i woli narodu, ani też każdy sprzeciw przeciwko swym zamierzeniom i poczynaniom ogłaszać za czyn antypaństwowy czy antynarodowy. Nie jest niemożliwe, aby rząd wcześniej i lepiej rozumiał istotny interes narodu od



ogółu obywateli. Nie upoważnia go to jeszcze jednak do prowadzenia polityki sprzecznej z przeświadczeniem większości narodu. Nie na tym polega siła rządu; że przekonany o swej nieomyślności, lekceważy sobie opinię tłumu i potrafi dusić w zarodku wszelką przeciwko sobie opozycję.

Rzeczywista siła rządu przejawia się w urzeczywistnieniu przy współdziałaniu i za aprobatą znacznej większości narodu zamierzeń powziętych zawczasu, zanim jeszcze potrzebę ich i celowość mógł przeciętny obywatel zrozumieć.

Rząd nie może w swych poczynaniach czekać, póki mu je podyktuje publiczna opinia, czy reprezentacja parlamentarna narodu. Powinien się on poczuwać do obowiązku wyprzedzania swą myślą pragnień i sądów opinii narodowej, by jej dopomagać do należytego w czas zrozumienia zadań państwa, z których narazie nie zdaje sobie ona należycie sprawy. Klasycznym takiego postępowania przykładem była zagraniczna polityka prezydenta Roosevelta w ciągu ubiegłych czterech lat. Ale fatalne daje zawsze skutki polityka rządu uszczęśliwiająca naród wbrew jego woli. Mieliśmy w naszych dziejach kilka odstrasających jej przykładów: zarządzona przez Wielopolskiego branka w styczniu 1863 r. — a ostatnio cała proniemiecka polityka rządów sanacyjnych. Jeśli istnieje zasadnicza rozbieżność politycznych dążeń rządu a ogółu narodowego, to — jak uczy nasze doświadczenie historyczne — myli się raczej rząd, niż naród.

A gdyby nawet rację miał rząd — to i wtedy, działając wbrew przeświadczeniu większości społeczeństwa, osiągnie on odmienne od zamierzonych wyniki.

Kto nie umie pozyskiwać dla swych zamierzeń opinii narodu — choćby był poza tym najrozumniejszym i najbardziej przewidującym człowiekiem — nie nadaje się na kierownika polityki państwowej, która ze swej istoty winna być w państwie narodowym realizacją myśli i woli narodu.

*Jedyną w nowoczesnym państwie legitymacją rządu dla jego poczynañ i zarządzeń, wymagających nieraz dużych wysiłków i świadczeń ze strony obywateli, jest zaufanie doń, do jego dobrej woli, rozumu, energii oraz traf-*

*nego pojmowania narodowych potrzeb i dążeń, większości społeczeństwa i jego przedstawicielstwa sejmowego.*

*Rząd nie powinien być delegacją stronnictw sejmowych. Ale swe prawo rządzenia musi czerpać z zaufania większości Sejmu, względnie tworzących ją stronnictw.*

Więc nie rząd parlamentu — ale rząd parlamentarny, rząd kontrolowany przez Sejm, będący możliwie najwierniejszą reprezentacją dążeń, przekonań i uczuć społeczeństwa.

\* \* \*

Nie będzie nam dane żyć po wojnie pomalutku, łańcuchem z dnia na dzień beznamiętnie sprawy powszedniego bytu naszych obywateli. By zabezpieczyć przyszłą generację przed podobną do przeżywaną dziś przez nas tragedią, będzie musiało państwo polskie podjąć się zadań wielkich, równych największym naszym w ciągu całych naszych dziejów poczynaniom, i je skutecznie realizować za życia obecnego już pokolenia.

A dlatego trzeba, by na czele wykonawczych władz państwa stał rząd, doskonale zespolony wewnątrz, dokładnie wiedzący czego chce, konsekwentny we wszystkich swych działaniach, zdolny do szybkich, śmiałych decyzji, uprzedzających wszelkie grożące Polsce niebezpieczeństwa, i do stanowczych zarządzeń, mobilizujących całą energię narodu dla przewyciężenia największych przeszkód, stojących w poprzek jego uprawnionym dążeniom.

Jeśli nie ma być rząd dyktatorialny — a takiego nikt prawie w Polsce nie chce — musi się on składać z ministrów, kierujących poszczególnymi działami administracji państwowej, musi więc być wieloosobowy. Ale mimo to nie może on być tylko Radą Ministrów, uzgadniającą prace poszczególnych resortów. Trzeba, by stanowił zbiorowe, lecz jednolite ciało, był we wszystkich swych działaniach zwartą całością.

Bismarck i Hitler obrzydzili mi tytuł kanclerza. Wolałbym nazwę Prezesa Rządu. Nie w nazwie jednak leży sedno rzeczy.

Chodzi mi o to, by przyszła nasza konstytucja powo-



łała do życia rząd złożony z ministrów współpracujących z jego kierownikiem dla realizacji jego programu polityki państwowej i zbiorowo za wszystkie poczynania wykonawczych władz państwowych odpowiedzialnych przed Sejmem.

Więc głowa państwa powinna powierzać utworzenie rządu upatrzonemu przez się Premierowi, a następnie mianować na jego już wyłączną odpowiedzialność powołanych prezeń do współpracy z nim ministrów. W Sejmie zaś powinno być dozwolone stawianie wniosku o wyrażenie niezufania jedynie całemu rządowi, a nie poszczególnym jego członkom. Cały bowiem rząd, a w pierwszym rzędzie jego Prezes powinien się poczuwać do odpowiedzialności za działania administracji państwowej.

Nie znaczy to bynajmniej, że ministrowie powinni być tylko wykonawcami dyrektyw Prezesa Rządu. Nie ma człowieka obejmującego swym umysłem należycie wszystkie działy polityki i administracji państwowej. Prawdziwy mąż stanu nie będzie dobierał sobie współpracowników niezdolnych do samodzielnych inicjatyw i twórczych poczynaniań w zakresie powierzonych im kierownictwu resortów. Bo żeby rząd jego był naprawdę silny, zdolny do realizacji wszelkich zamierzeń, musi się składać z ludzi doskonale znających się na sprawach swego ministerstwa i z tego tytułu posiadających duży własny autorytet, a przy tym twórczych, będących więc wybitnymi indywidualnościami. Tacy ludzie nie będą tylko przytakiwać Premierowi, niejednokrotnie poddadzą bardzo krytycznej analizie jego zamierzenia, albo niepokoić go będą swymi własnymi pomysłami. Ale ostateczna decyzja o kierunku całej polityki Rządu musi należeć do Premiera. I zasadniczy stosunek między ministrami, a Prezesem Rządu musi się opierać na zaufaniu do jego kierownictwa i uznaniu jego programu polityki państwowej za wspólne całego Rządu i poszczególnych jego członków zadanie.

By być pewnym możliwie trwałego zaufania stronnictw, stanowiących w Sejmie większość, Premier będzie musiał powoływać do współpracy z sobą w Rządzie ludzi, cieszących się zaufaniem i autorytetem w odnośnych klubach sejmowych. Ale nie koniecznie będą to musieli być członkowie tych klubów. A co najważniejsze nie mogą to

być delegaci stronnictw, wchodzący do Rządu, by bronić w nim interesów swej partii. Rząd będzie tylko wtedy dobry, gdy będzie się składał z ministrów, złączonych z Premierem wspólną, przewodnią myślą syntetyczną, obejmującą całokształt spraw państwa i wzajemnym osobistym zaufaniem oraz posiadających dzięki swej wiedzy fachowej i zaletom swego charakteru i umysłu autorytet i zaufanie zarówno w stronnictwach jak i w całym narodzie.

Oczywiście Rząd może wykonywać władzę tylko wtedy, gdy posiada zaufanie większości Sejmu. Ale nie powinien jego los zależeć od wyniku przypadkowych głosowań. W razie postawienia czy to w Izbie Poselskiej czy w Izbie Senackiej votum nieufności Rządowi — powinny obie Izby zebrać się na wspólne posiedzenie. Jeśli większością swego pełnego składu wyrażą one niezufanie Rządowi, Głowa Państwa powinna albo mianować nowego Premiera i nowy Rząd, albo rozwiązać Sejm i ogłosić nowe wybory. Gdyby jednak i nowo wybrany Sejm udzielił Rządowi votum nieufności — Rząd wraz ze swym Prezesem powinien definitywnie ustąpić. Powierzenie temu samemu Premierowi tworzenie nowego gabinetu nie powinno być w takim razie dopuszczalne.

Polsce potrzebne są silne rządy — ale silne zaufaniem narodu. Rząd powinien być w stanie w razie konfliktu z Sejmem odwołać się do decyzji wyborców. Od decyzji tej wszakże żadne nie powinny być możliwe wykręty.



### III. RZĄD I SAMORZĄD.

Zadania władz państwowych wzrosną silnie po tej wojnie. Odbudowy kraju nie zdołamy obecnie przeprowadzić tak, jak w 1919 i 1929 r. siłami przede wszystkim prywatnymi i przy pewnej tylko pomocy ze strony państwa. Zniszczenia wojenne są bowiem dziś wielokrotnie większe, niż przed 25 laty. Tym mniej możliwym będzie bez głęboko sięgającej w życie gospodarcze narodu ingerencji władz państwowych niezbędne dla trwałego zabezpieczenia nas przed obcą inwazją, szybkie uprzemysłowienie Polski.

Będziemy mieli kierowaną przez rząd „gospodarkę planową“. Z tym jednak związane jest wielkie naprawdę niebezpieczeństwo zbiurokratyzowania całego życia społecznego, wytworzenia się de facto, pomimo nawet zewnętrznych form parlamentarno-demokratycznych, państwa totalnego, w którym jedynym realnym czynnikiem rozwoju cywilizacyjnego będą nakazy i zakazy rządowe — a indywidualna twórczość obywateli zostanie ograniczona do minimum. Zapobiedz temu niebezpieczeństwu nie zdołają największe choćby uprawnienia Sejmu, ani najściślejsza kontrola jego nad działaniami władz wykonawczych. Bez żadnych bowiem nadużyć swej władzy — gdy kierownictwu i kontroli urzędników państwowych podlegać będzie cała niemal przedsiębiorczość narodu — urzędnicy ci poparcie swe udzielać będą przede wszystkim tym, do których będą mieli zaufanie. A jest to zwykłą ludzką rzeczą, że ludzie, wykonywujący władzę, szczególnie na niższych szczeblach administracji państwowej, darzą swym zaufaniem nie najzdolniejszych, ale najposłuszniejszych.

Uchronić nas przed nową odmianą „trzymania za

pysk“ choćby nie tyle silną, co zręczną ręką — może tylko jedno: wyraźne rozgraniczenie zakresu spraw publicznych, których dobre załatwianie jest bezpośrednio związane z należytych funkcjonowaniem całości narodowo-państwowej i musi wobec tego należyć do kompetencji urzędów państwowych — od zakresu cywilizacyjnego współżycia obywateli, którego organizacja rozstrzyga przede wszystkim o ich własnym materialnym i moralnym dobrobycie.

W ciągu ostatnich przed wojną 20 lat wzrastał u nas coraz bardziej centralizm państwowy, a kurczyły się autonomie, zarówno terytorialne, jak zawodowe i kulturalne.

Z tej drogi musimy po wojnie stanowczo zawrócić i pójść we wręcz odmiennym kierunku.

W przyszłości rząd powinien za pomocą podwładnych mu urzędów normować i organizować bezpośrednio współżycie obywateli o tyle tylko, o ile jest to *konieczne* dla wypełnienia jego zadań, tak jak to się dzieje w Wielkiej Brytanii — gdy dotychczas uzależniał on, jak gdyby naśladowując wzory dawnego cesarstwa rosyjskiego, czy współczesnych Włoch faszystowskich i narodowo-socjalistycznych Niemiec, wszystkie dziedziny życia społeczno-kulturalnego, do jakich tylko *można* było ingerować nie natrafiając na zbyt silny opór społeczeństwa.

Natomiast trzeba będzie rozszerzyć kompetencje i środki działania samorządów wszelkiego rodzaju, tak by objęły one te wszystkie sprawy, które bez szkody dla należytego funkcjonowania całości narodowo-państwowej mogą być im przekazane.

Wyjdą na tym lepiej nie tylko obywatele kraju, lecz i władze państwowe.

Na podstawie własnego doświadczenia twierdzą stanowczo, że nadmierna centralizacja nie wzmacnia, lecz osłabia twórczą działalność rządu. Pomaga ona tylko trzymaniu w biernym posłuszeństwie społeczeństwa — ale bynajmniej nie podejmowaniu i przeprowadzaniu rzeczywistych ulepszeń społeczno-kulturalnego życia narodu, czy skuteczniejszemu zabezpieczeniu międzynarodowych interesów państwa.

Przed przewrotem majowym było o wiele więcej u nas, niż w ostatnich latach, poszanowania autonomii zarówno miast i powiatów, jak uniwersytetów, kościoła, izb handlo-



wo-przemysłowych, związków stowarzyszeń współdzielczych, kas chorych, oraz wszelakich dobrowolnych stowarzyszeń gospodarczych, wychowawczych, oświatowych. Żadnemu wówczas ministrowi oświaty nie przychodziło do głowy kassowanie katedr uniwersyteckich, by wyzbyć się nieprawomyślnych profesorów, niezatwierdzanie dokonanego bez uprzedniej jego zgody wyboru rektora, uzależnianie od aprobaty ministerstwa mianowania woźnych w seminariach i laboratoriach. Również żaden minister spraw wewnętrznych nie narzucał miastom komisarycznych burmistrzów, ani nie dawał starostom instrukcji, nakazujących im bez oglądania się na istotne brzmienie ustawy budowlanej przymuszanie właścicieli domów miejskich do gwałtownego odnawiania fasad, a gospodarzy wiejskich do malowania płotów. I żaden też starosta nie włączał do swych zadań kierowania wyborami w gniazdach Sokola, kołach Towarzystwa Szkoły Ludowej czy Macierzy Szkolnej, powiatowych Towarzystwach Rolniczych, spółkach mleczarskich, klubach sportowych tak, by na ich czele stali zawsze zwolennicy rządzącej partii.

Ale już i w owym czasie byliśmy nazbyt centralistycznym państwem, zbyt wiele spraw raczej lokalnego niż państwowego znaczenia załatwiała ministerstwa. Będąc ministrem oświaty co dzień conajmniej przez 2 godziny podpisywałem przeróżne nominacje i zarządzenia, których słuszności osobiście zbadać nie mogłem, wprost na wiarę, wedle wniosków przedkładanych mi przez dyrektorów departamentów. A gdy się tych ostatnich o umotywowanie ich propozycji pytałem — najczęściej powoływali się oni na zdanie naczelników wydziałów, ci zaś ostatni na opinię kuratorów. Gdy zaś pytałem się o to samo kuratorów, zazwyczaj otrzymałem w odpowiedzi raport któregoś z wizytatorów czy dyrektorów danej szkoły. I tak samo działo się we wszystkich innych ministerstwach. Ministrowie, dyrektorowie departamentów, naczelnicy wydziałów, referenci tracili codziennie po kilka godzin czasu na decydowanie niby spraw, tak odległych od nich, że własnego o nich zdania mieć nie mogli i musieli się w ocenie ich całkowicie zdawać na informacje i wyjaśnienia czynników lokalnych. Wieleż to razy przy tym wszystkim w podstawie dokonanej przez ministra no-

minacji leżała naprawdę jakaś kolacyjka albo flirtik, czy też przyjaźń żony miarodajnego na miejscu czynnika z kuzynką kandydata na posadę? Lokalne zabiegi i protekcje — a w najlepszym razie postanowienia władz drugiej instancji, oparte na osobistym ich przeświadczeniu — zawodziły tylko wtedy, gdy kontrkandydat miał protekcję trafiającą wprost do odnośnego referenta ministerialnego, czy naczelnika wydziału.

Odciążenie ministrów od tych wszystkich rzekomych decyzji w tysiącach spraw drobnych, o lokalnym naprawdę tylko znaczeniu i których dokładną znajomość posiadają jedynie lokalne również czynniki — pozwoli im skoncentrować swe wysiłki na rzeczywistych ich zadaniach. A właśnie te istotne zadania centralnych organów państwowych były w ostatnim przed wojną dziesięcioleciu straszliwie zaniedbane.

By nie być gołosłownym przytoczę przykład, niezwykle wymowny:

Wchodziła w życie reforma ustroju szkolnego, wydzielająca z gimnazjów dwie najwyższe klasy: siódmą i ósmą i czyniącą z nich licea. Reforma ta wymagała gruntownej zmiany wszystkich dotychczasowych programów nauczania w ogólnokształcących szkołach średnich. Nie sposób bowiem było urwać nauki historii czy przyrody albo literatury polskiej w miejscu, do którego dochodziła ona w końcu dawniejszej szóstej klasy, ale trzeba było dać jakiś krótszy, bardziej zwięzły jej całokształt w ciągu skróconego do 4 lat nauczania w nowych gimnazjach. Równocześnie konieczne było opracowanie nowych całokształtów programowych dla dwuklasowych liceów ogólnokształcących, mających przygotować młodzież specjalnie do wyższych studiów czy to przyrodniczych, czy technicznych, czy humanistycznych. Wszystkie te programy powinny być ustalone definitywnie conajmniej na dwa lata przed wprowadzeniem w życie liceów. Bo dopiero na ich podstawie możliwe byłoby napisanie nowych podręczników, jednych dla skróconej nauki gimnazjalnej, drugich dla dwuletniej nauki licealnej. Na wyprodukowanie zaś naprawdę dobrych podręczników mało jest jednak roku. A i nauczyciele gimnazjalni potrzebowali kilku miesięcy czasu na dokładne przemyślenie nowych programów i przestudiowanie



nowych podręczników. Tymczasem dopiero na 3 miesiące przed rozpoczęciem pierwszego roku szkolnego w nowo utworzonych liceach minister oświaty zwrócił się do senatów o ocenę opracowanych przez departament szkół średnich programów nauki licealnej. A programy te były tak niedbale i po dyletancku zrobione, że wszystkie one zostały przez wszystkie senaty uniwersyteckie jak najujemniej ocenione. Wynik — licea rozpoczęły swą pracę bez żadnych ustalonych programów i bez żadnych nowych podręczników. Ale zato departament szkół średnich co roku zasypywał dyrekcje gimnazjów wskazaniem, jak obchodzić imieniny zmarłego i żyjącego Marszałka oraz Prezydenta, jak krzewić „wychowanie państwowe“ przez „poranki“, „wieczory“, „zbiórki“, decydował o nominacjach nawet woźnych, strzegł pilnie prawomyślności nauczycieli.

Centralizm biurokratyczny rozszerzał się po maju w naszym życiu publicznym jak perz na polach, który gdy się raz zakorzeni, rozrasta się coraz dalej i dalej zagłuszając inne rośliny. A naczelnym autorów centralizmu tego motywem było niezauwanie do społeczeństwa, skąd płynęło i coraz silniejsze ograniczanie wszelkiego obywatelskiego samorządu i pomniejszanie zakresu samodzielnych decyzji urzędów niższych instancji, stojących w bezpośrednim stosunku do obywateli.

To też siła rządu przejawiała się jedynie w coraz pełniejszym tłumieniu wszelkich samodzielnych inicjatyw obywateli, a nie w rezultatach inicjowanych czy przeprowadzanych przez reform i przedsięwzięć. Tak samo jak z opracowaniem programów licealnej nauki — rząd się ze wszystkim spaźniał. Spóźnił się on conajmniej o 3 lata z rozbudową centralnego okręgu przemysłowego. Do chwili wybuchu wojny z fabryki samolotów w Mielcu nie wyszedł ani jeden gotowy samolot, rzeszowska fabryka silników nie dostarczyła ani jednego gotowego silnika.

Trzeba stanowczo zejść z tej fatalnej drogi rozrastającego się centralizmu choćby tylko po to, by sprawniejszą się stała po wojnie działalność naczelnych władz państwowych. Ale jeszcze konieczniejsze jest to, by naród wydobył z siebie maksimum twórczych sił, na jakie zdobyć się może. A musimy się zdobyć na naprawę olbrzymi wysiłek.

Spoleczeństwo nasze wyjdzie z tej wojny zmęczone straszliwie walką z wrogą okupacją i wyczerpane cierpieniami, jakie mu ta okupacja zadała. Żeby te jednak niezliczone ofiary, jakie naród nasz obecnie ponosi nie poszły na marne, konieczne będzie trwanie naszego ogółu narodowego nadal po odzyskaniu niepodległości w niemniejszym niż teraz napięciu woli, niemniejszej zaciętości w swych dążeniach, niemniejszym zespoleniu wszystkich osobistych ambicji i ukochań w jednej wielkiej ambicji narodowej, jedynym potężnym umiłowaniu Ojczyzny. Jeno że tą ambicją będzie już nie — wyzwolenie Polski, lecz zapewnienie odzyskanej wolności na zawsze przez podniesienie naszych sił wytwórczych do poziomu zachodnio-europejskiego, a w imię miłości Ojczyzny będą Polacy już nie iść ofiarnie na śmierć, ale równie ofiarnie oddawać jej pracę całego swego życia.

To nie znaczy, by człowiek miał się w Polsce powojennej wyrzec starań o własny dobrobyt, o własne powodzenie życiowe, czy choćby sławę. Sienkiewicz, Reymont, Matejko, Paderewski doszli swą twórczą pracą nie tylko do sławy, ale i do majątku. Ale ani pragnienie majątku, ani nawet chęć sławy nie były naczelnymi celami ich życia. Celem ich życia, motorem ich olbrzymich wysiłków była Polska, pomnożenie jej sił duchowych, polepszenie jej stanowiska w ludzkości. Nikt bodaj ze współczesnych talentem swym nie może się z którymkolwiek z nich mierzyć. Ale każdy może się na ich stosunku do Polski i do swej pracy wzorować. Tylko wtedy program dorównania siłą gospodarczą i cywilizacyjną zachodniej Europie nie stanie się jednym więcej zakłamanym frazesem, — których tyle było u nas niestety w ostatnim przed wojną dziesięcioleciu — gdy będą dziesiątki tysięcy ludzi bogatych, zamożnych i niezamożnych, uczonych i posiadających wykształcenie zaledwie szkoły powszechnej, pracowników umysłowych i fizycznych, uczonych, literatów i przedsiębiorców oraz gospodarzy — rozsianych po całym kraju, po prowincjonalnych miastach, miasteczkach, powiatach, parafiach, pojedynczych nawet wsiach — których celem życia będzie bardziej od własnego wywyższania się, a co najmniej na równi z nim, podniesienie na wyższy poziom



dobrobytu, oświaty czy kultury obywatelskiej najbliższego swego otoczenia, a przez nie i Polski.

Bo to trzeba stwierdzić z całą stanowczością: nie dźwignie się Polska szybko i silnie w górę, jeśli nie będzie twórczości gospodarczej i cywilizacyjnej na całej jej przestrzeni, po wszystkich województwach, powiatach, gminach i we wszystkich warstwach jej ludności.

Więc grzechem śmiertelnym wobec lepszej przyszłości Polski byłoby kępowanie, a choćby lekceważenie jakiegokolwiek twórczych poczynań społecznych. Wręcz przeciwnie, trzeba tworzyć jak najkorzystniejsze dla ich pojawiania się i rozwoju warunki. A gdzie jest lepszy dla realizacji samorządnych inicjatyw społeczno-gospodarczych i społeczno-cywilizacyjnych grunt, jak w samorządach obywatelskich, terytorialnych czy zawodowych?

Kto chce naprawdę wielkiej narodowej twórczości, wydobyć ze społeczeństwa naszego maksimum jego wyśiłku myśli i woli — ten musi chcieć przekazania jak największego zakresu naszego życia publicznego samorządom zarówno lokalnym, jak zawodowym.

I tego samego musi też chcieć każdy, kto pragnie, by Polska była państwem równocześnie rzeczywistej wolności obywatelskiej i silnych rządów.

Silne rządy bowiem wtedy tylko nie podporządkowują sobie zbytnio myśli i woli obywateli, gdy władze państwowe żądają posłuchu w tym tylko, co musi być dla bezpieczeństwa i dobra państwa załatwiane wedle jednego planu, w określonych terminach i w przepisany z góry sposób — a o wszystkim tym, co może bez szkody dla całości narodo-państwowej być załatwiane w różny sposób w różnych miejscach i przez różne zespoły ludzkie, decyduje wola i myśl bezpośrednio zainteresowanych grup społecznych.

A ogromna większość spraw codziennego życia ludności należy do tej ostatniej ich kategorii. Przeciętny rolnik, rzemieślnik, kupiec, a nawet lekarz, adwokat, literat czy uczyony ma o wiele mniej do czynienia ze sprawami ogólnopaństwowego znaczenia, jak z urzędzeniami i zarządzeniami komunikacyjnymi, budowlanymi, porządkowymi swej gminy, swego powiatu, z funkcjonowaniem

szkoły miejscowej, do której jego dzieci chodzą, z postanowieniami i zamierzeniami jego organizacji zawodowej, z działalnością stowarzyszeń i związków gospodarczych czy kulturalnych, do których należy. Niewielu jest ludzi, których myśl skierowana jest głównie ku wielkim politycznym zagadnieniom, którzy śledzą i rozważają codziennie działalność rządu, sejmu, rozwój ustawodawstwa krajowego, przeobrażenia sytuacji międzynarodowej. Olbrzymia większość obywateli nie tylko u nas, ale i w Wielkiej Brytanii, zastanawia się nad tym wszystkim tylko w chwilach osobliwych: wyborów parlamentarnych, przesileni rządowych, kryzysów gospodarczych, wybuchu wojen, dużych powodzeń czy niepowodzeń na terenie międzynarodowym — na codzień zaś interesuje się tym, z czym się bezpośrednio styka. A życie zwykłego obywatela wypełniają różnorodne drobne sprawy. I poczucie jego obywatelskiej wolności i godności zależy przede wszystkim od tego, czy ma on swobodę postępowania w tych właśnie drobnych sprawach wedle własnej woli i własnego przeświadczenia, o ile zaś dla dobra powszechnego musi się poddać pewnym ograniczeniom i normom porządkowym, czy ma on możność skutecznego oddziaływania na ustalenie i stosowanie tych ograniczeń i norm. Ale wpływ woli obywateli na zarządzenia normujące ich życie jest tym większy, im bliższa jest im władza, która te zarządzenia wydaje. A wszelka władza samorządowa jest nieskończenie bliższa szarego obywatela od władzy rządowej. Powszechne poczucie wolności w Wielkiej Brytanii nie stąd pochodzi, jakoby w niej było mniej przepisów porządkowych, ale stąd, że przepisy te ustanawia przede wszystkim samorząd obywatelski, którego władze pochodzą z bezpośredniego powszechnego wyboru obywateli i składają się z ludzi osobiście im znanych i osobiście ich zaufanie posiadających.

Wielka Brytania jest krajem nie tylko pełnej obywatelskiej wolności, jest ona również społeczeństwem o najwyższej obywatelskiej dojrzałości i karności. Parlamentarnej demokracji nic w niej nie zachwieje, bo opiera się na tych dwóch właśnie niewzruszalnych podstawach: obywatelskiej dojrzałości i karności. A jedna i druga wykształciła się w bardziej niezależnym, niż to było na kontynencie samorządzie gminnym, nie tylko miejskim,



lecz i wiejskim. To nie jest przypadkiem, że izba poselska parlamentu brytyjskiego nazywa się dotychczas Izba Gmin.

Z samorządów gminnych wyrósł samorząd narodowy, stanowiący istotę parlamentaryzmu brytyjskiego. Podobny był początek i naszej szlacheckiej demokracji parlamentarnej. Zaczęła się ona od samorządu ziem. A że stała się ona w Polsce czynnikiem nie siły, lecz słabości Rzplitej — winien temu był nie samorząd ziem z wybieralnymi jego urzędami, lecz jednostronny stanowy charakter sejmów, wynikający z fatalnego osłabienia i zbiednienia miast naszych w XV i XVII stuleciu, oraz wypływający z tego samego osłabienia miast powszechny brak pieniędzy w kraju i stale pusty skarb państwa. Przy pustym wszakże skarbie nie może być silna centralna władza państwowa. Jest to wielkim błędem krakowskiej szkoły naszych historyków oraz dzisiejszych ich następców tłumaczenie klęski rozbiorów nadmiarem naszej „złotej wolności“. Nie ona była przyczyną bezsiły władzy królewskiej. Raczej była jej skutkiem. Rzeczywistą przyczyną niemocy naszych królów była słabość finansowa nie tylko państwa, lecz całego narodu. Wysłała ona szczególnie silnie na jaw w czasie Sejmu Czteroletniego. Uchwała jego utworzenia stotysięcznej armii nie została na czas wykonana, bo zawiodła „ofiara dziesiątego grosza“ — a zawiodła ofiara ta — bo było w Polsce mniej niż ktokolwiek wówczas sądził „groszy“.

Z tej samej też przyczyny zawiodły w 1939 r. najbuńczucniejsze nasze frazesy mocarstwowe. Z doświadczeń wszystkich naszych klęsk militarnych, jakie przeżywalismy od połowy XVII wieku po dziś dzień, ten przede wszystkim: płynie nakaz: co prędzej uprzemysłować silnie Polskę; — a w żadnym razie nie nakaz ograniczania wolności obywatelskiej i krępowania samorządu społecznego. Nie tylko duszenie samorządów przez rządy pomajowe wiele złego sprawiło. Błędem też było oparcie w pierwszej naszej konstytucji stosunku administracji państwowej do samorządów na wzorach francuskim i pruskim zamiast na wzorach brytyjskich, tak pokrewnych własnej naszej historycznej tradycji.

Trzeba będzie ten błąd teraz stanowczo naprawić. Samorząd nie powinien być nadal u nas dodatkiem tylko do administracji państwowej i władz rządowych.

Przyszła organizacja naszego państwa powinna się opierać na dwóch równorzędnych i wzajemnie się uzupełniających ale samodzielnych hierarchicznych systemach władz: jednym systemie rządowych władz administracyjnych, idących od prezesa rządu i rady ministrów w dół, po przez wojewodów, kuratorów, prezesów izb skarbowych aż do poszczególnych posterunków policji państwowej, a opartych na zasadzie nominacji i działań indywidualnych — oraz drugim systemie samorządowym, idącym w górę od gminy po przez powiaty i województwa aż do Sejmu i opartym na zasadzie wyborów i działalności ciał kolegialnych.

By samorzady lokalne spełniły należycie swą rolę wychowawcy prawdziwej demokracji — trzeba by były one naprawdę wolne i miały należyty zakres działania. Ale żeby samorzady lokalne były wolne, muszą na ich czele stać wyłącznie wybieralne zarządy i wybieralni przewodniczący.

Było to wielkim naszym błędem, że organizując nasz samorząd powiatowy postawiliśmy na jego czele wzorem pruskim — starostów, zamiast pójść za dobrym przykładem samorządu galicyjskiego, w którym Radom Powiatowym przewodniczyli wybieralni przez nie Marszałkowie powiatowi.

Modne było w Warszawie lekceważenie wkładu Galicji w rozwój naszej narodowej kultury. Jedyne jeszcze z pewnym respektem traktowano krakowską Akademię Umiejętności oraz krakowski i lwowski Uniwersytet. Natomiast z politowaniem mówiono o galicyjskiej gospodarce, wskazując na znacznie gorszy wygląd galicyjskich wsi i miast, niż wielkopolskich i o wiele słabsze uprzemysłowienie Galicji, niż Królestwa. Zapominano przy tym jednak, że przemysł Łodzi, Dąbrowy, Sosnowca, Częstochowy nie Polacy stworzyli — jeno Niemiec, francuzów i belgijscy kapitaliści, których przyciągała do Królestwa możność korzystania z olbrzymich rosyjskich rynków. Również w modernizację miast i dróg Wielkopolski nie mało swych kapitałów i inicjatyw włożyli Niemcy. Natomiast Wiedeń stał traktował Galicję wyłącznie jako rynek zbytu dla przemysłu austriackiego i czeskiego. Cały postęp gospodarczy i kulturalny Galicji był wyłącznie dziełem samego społeczeństwa, w szczególności samorządu krajowego i powia-



towego. I twierdę stanowczo: nie były gorsze, lecz bodaj lepsze wyniki wykształcenia i wychowania w organizowanych i kierowanych przez galicyjską Radę Szkolną Krajową szkołach powszechnych, zawodowych i realnych oraz gimnazjach, od osiągniętych następnie w szkołach Rzeczypospolitej Polskiej. A stanowczo lepiej prowadził akcję melioracyjną galicyjski Wydział Krajowy od późniejszych naszych ministerstw rolnictwa. I wątpię, czy za czasów naszej niepodległości wzmogła się gdziekolwiek kulturalna działalność samorządów powiatowych (o ile doń nie zaliczymy malowania płotów). Natomiast znam szereg powiatów, że wspomnę chociaż Limanowski, Mielecki, Lwowski, Tarnopolski, Brzeżański, w których za czasów galicyjskich życie samorządowe było o wiele żywsze i bardziej twórcze. Wszelka instytucja społeczna tylko wtedy dobrze funkcjonuje, gdy ten, co na jej czele stoi, wkłada całą swą ambicję w jej rozwój. Ale normalną ambicją starosty jest awans w hierarchii urzędniczej. A awans ten o wiele więcej zależy od sprawnego wykonywania poruczonych mu przez wojewodę zadań, niż od wyników obywatelskich inicjatyw i postępu kulturalnych prac samorządu powiatowego. Zresztą starosta jest przejściowo tylko z życiem swego powiatu związany: dziś tu — jutro tam. Co innego pochodzący z danego powiatu i życiowymi swymi interesami oraz ambicjami stale z nim związany wybieralny Marszałek powiatowy. Jeśli nie odpowie on należycie związanym z jego wyborem oczekiwaniom — przy następnych wyborach kto inny zostanie Marszałkiem.

W ciągu 20 lat naszej współczesnej niepodległości gospodarka rad powiatowych nie zdobyła sobie najlepszej opinii. Ale stało się tak właśnie dlatego, że nasze Rady powiatowe nie były naprawdę samorządowymi ciałami, jeno dobudówkami do powiatowej administracji państwowej. Rzeczywistym gospodarzem powiatu nie był Wydział Powiatowy — tylko starosta.

Drugim niezbędnym warunkiem istotnej autonomii samorządów terytorialnych jest, by podlegały one nadzorowi władz administracyjnych tylko w zakresie poruczonych im przez te ostatnie działań, natomiast w zakresie działań wynikających z własnej ich kompetencji były kontrolowane jedynie przez samorządy wyższego rzędu, a więc

samorządy gminne przez wydziały powiatowe, samorządy powiatowe przez wydziały wojewódzkie, a samorządy wojewódzkie przez państwową Radę Samorządową.

Pierwszym tego warunkiem będzie oczywiście powołanie u nas do życia raz wreszcie rzeczywistego samorządu wojewódzkiego, t. j. sejmików wojewódzkich i wybieranych przez te sejmiki wydziałów wojewódzkich z wybieranym również Marszałkiem Wojewódzkim na czele.

Ukoronowaniem zaś systemu samorządów terytorialnych powinna być Państwowa Rada Samorządowa, wybierana przez zjazd członków wszystkich sejmików wojewódzkich. Zadaniem jej byłaby przede wszystkim kontrola samorządów wojewódzkich, w szczególności ich budżetów. Poza tym byłaby ona instancją odwoławczą dla samorządów niższego stopnia od zarządzeń kontrolujących je władz wyższego stopnia.

Równocześnie z zapewnieniem samorządom lokalnym istotnej ich niezależności — trzeba będzie rozszerzyć też znakomicie ich kompetencje, szczególnie w zakresie organizacji szkolnictwa zarówno ogólno-kształcącego jak zawodowego, oraz planowania gospodarczego i kontroli nad jego wykonaniem.

Na podstawie obserwacji, jakie porobiłem zarówno wtedy, gdy byłem ministrem W. R. i O. P., jak i wtedy, gdy z tytułu udziału w szeregu organizacji kulturalno-narodowych stykałem się bezpośrednio z ludnością wiejską i małą miasteczkową oraz z nauczycielami prowincjonalnych szkół powszechnych — doszedłem do głębokiego przeświadczenia, że rzeczywisty wpływ wychowawczy może mieć nauczyciel tylko wtedy, gdy w tej jego pracy wychowawczej szczerze z nim współdziała „obywatelska elita“ wsi czy miasteczka. Taką elitą mogą być gminne i powiatowe „Rady Szkolne“. Nie zastąpią ich koła rodzicielskie. W kołach rodzicielskich, szczególnie wiejskich, będzie zawsze za dużo adwokowania interesom dzieci i rodzin, którym niejednokrotnie pomoc dziecka w pracy gospodarczej wydaje się ważniejszą od regularnego jego uczęszczania do szkoły. Ale gminne, a tym bardziej powiatowe rady szkolne krajowe powinny być nie tylko współdziałającymi z nauczycielstwem instytucjami. Powinna do nich należeć również ocena pracy nauczycieli. Nie jestem za zniesieniem



kontroli szkół powszechnych przez inspektorów a średnich przez wizytatorów, delegowanych co czas pewien z kuratorium szkolnego, ani przeciwno kwalifikowaniu przez nich poszczególnych nauczycieli. Ale kontrola ta będzie o wiele skuteczniejsza, a kwalifikacja o wiele sprawiedliwsza jeśli będzie ona uzupełnieniem czy pewnym skorygowaniem tylko kontroli i oceny, dokonywanej przez stale obserwujące działanie szkół miejscowe rady szkolne.

I to jest takie ludzkie: nauczyciel, który będzie wiedział, że jego kariera życiowa zależy przede wszystkim od dobrej o nim opinii tych, co codziennie na jego pracę pedagogiczną i jej wyniki patrzą, a nie od wrażeń, dość zresztą przelotnych, jakie zrobi on i jego klasa na kontrolującym jego szkołę co najwyżej parę razy do roku inspektorze czy wizytatorze szkolnym — będzie o wiele bardziej dbał o jak najlepsze obyczaje ogółu uczni, a nie tylko o kilku najzdolniejszych z nich, którymi by mógł uzyskać błyskotliwy efekt w czasie wizytacji. Połączenie fachowej wiedzy kierownika i nauczycieli szkoły powszechnej z doświadczeniem życiowym, zdrowym chłopskim rozumem i autorytetem wśród ogółu rodziców gminnej rady szkolnej da niewątpliwie wielokrotnie większe wyniki od pedagogicznej wiedzy i pedagogicznego talentu samego tylko nauczyciela.

Ale dlatego trzeba, żeby nauczyciel był pewien, że jego los zależy *jedynie i wyłącznie od wyników jego pedagogicznej pracy*, a nie od starosty, czy naczelnika posterunku policyjnego albo referenta służby bezpieczeństwa w starostwie. Musi być raz na zawsze położony kres używaniu nauczycieli za pośrednictwem nacisku kuratorów szkolnych i lokalnych władz administracyjnych do wysługiwania się rządzącym stronnictwom, choćby w najbardziej nawet legalny sposób. Nauczyciel powinien mieć prawo udziału w robotach społeczno-kulturalnych. Uważam, że gorliwa jego praca pozaszkolna dla postępu gminy, w której mieszka, powinna być mu poczytana za dobro przez jego zwierzchnie władze. Ale nauczyciel powinien z reguły trzymać się jak najdalej od jakichkolwiek walk partyjnych. Bo istotny wpływ wychowawczy na dzieci może mieć tylko ten, kogo dzieci kochają (a nie boją się). Ale jakże mają kochać nauczyciela, który zwalcza ich rodziców, z powodu przynależności ich do nie milego mu stronnictwa. Są

zawody, które można spełniać należycie tylko z olbrzymią przewagą miłości nad niechęciami, nie mówię już nienawiścią. Ale żeby nauczyciel mógł się trzymać z dala od politycznych walk — musi jego życiowa kariera o wiele mniej zależeć od władz państwowych, nawet czysto szkolnych, niż od opinii o nim rodziców dzieci i współobywateli, t. j. od władz samorządowych: gminnych, powiatowych, a w niektórych rodzajach szkół i wojewódzkich „Rad Szkolnych“.

Również przy ustalaniu sieci szkolnej powinien być w przyszłości przeważającym głos samorządów lokalnych. A zakładanie i organizowanie pewnych typów szkół i kursów powinno być całkowicie przekazane ich współdziałaniu z odpowiednimi organizacjami samorządu gospodarczego. Również tylko samorzady powiatowe i wojewódzkie potrafią zaopatrzyć prowincjonalne szkoły średnie, zarówno ogólnokształcące jak zawodowe w internaty dla młodzieży pochodzącej z mniejszych okolicznych miasteczek oraz gmin wiejskich. Należyte rozwiązanie zagadnienia szkół internatowych jest bodaj czy nie najważniejszym zadaniem naszego powojennego systemu wychowania narodowego. Tempo naszego postępu kulturalnego zależeć będzie w ogromnym stopniu od tempa napływu do warstw kierujących naszym życiem państwowym, gospodarczym i ogólnocywilizacyjnym najzdolniejszej, najbardziej utalentowanej młodzieży z warstw ludowych, szczególnie z posiadającego dziś najsilniejszą ekspansję swych sił żywotnych włościanstwa. Dotychczas jednak, wskutek niedostatecznego odżywiania się i jeszcze gorszych zazwyczaj warunków mieszkaniowych oraz braku kulturalnego środowiska większość młodzieży szkół średnich pochodzenia ludowego, a uczącej się z dala od swych domów rodzinnych, marnowała się, jeśli nie fizycznie, to duchowo. Zapobiec temu zdoła jedynie zorganizowanie przy średnich zakładach naukowych na prowincji internatów znajdujących się pod stałą troskliwą i naprawdę serdeczną opieką miejscowej elity kulturalnej. Nie uczynią tego żadne władze administracji państwowej. To zdołają zrobić należycie tylko samorzady lokalne.

Nie mniejsze kompetencje, jak w organizacji szkolnictwa, powinien posiadać w powojennej Polsce samorząd



lokalny również w organizacji przyszłej naszej planowej gospodarki.

Odpowiednia centralna władza państwowa — mym zdaniem państwowa Rada Gospodarcza, złożona z piastujących teki gospodarcze ministrów, przedstawicielei samorządów zawodowych, reprezentantów nauk ekonomicznych oraz szeregu wybitnych praktycznych fachowców — będzie w stanie opracowywać dobrze programy prac inwestycyjnych, ich zapotrzebowania i finansowania tylko w skali ogólnopństwowej i ustalać ich przydział poszczególnym województwom. Ale szczegółowe ich przeprowadzenie na terenie województw powinny opracowywać analogiczne sformułowane wojewódzkie Rady Gospodarcze. A co ważniejsze jeszcze, organizowanie robót publicznych oraz kontrola nad wykonaniem objętych planem gospodarczym i odpowiednio finansowanych przedsięwzięć i prac prywatno-gospodarczego charakteru powinno być całkowicie dziełem samorządów lokalnych i zawodowych. W przeciwnym razie, zechcemy czy nie zechcemy, staniemy się po pewnym czasie państwem totalnym.

Podstawą samorządu obywatelskiego jest samorząd terytorialny. Ale im bardziej się staje wielostronnym i skomplikowanym życie cywilizacyjne społeczeństw, tym więcej też powstaje różnorodnych organizacji społecznych, służących specjalnym zadaniom tego życia. Są to przeważnie organizacje dobrowolne. Nowoczesne jednak państwo demokratyczne przyznaje obywatelom swym pełne prawo niezależnego kierowania sprawami również takich stowarzyszeń, do których obowiązkowe jest należenie obywateli określonych kategorii. Są to przede wszystkim tak zwane Izby zawodowe oraz organizacje obowiązkowego ubezpieczenia.

Skuteczne zabezpieczenie autonomii tych wszystkich instytucji samorządu funkcjonalnego jest niemniej ważne od zagwarantowania wolności samorządów terytorialnych.

#### IV. KU NOWEMU USTROJOWI SPOŁECZNO-GOSPODARCZEMU.

Nie ma dziś chyba nikogo, kto by nie zdawał sobie z tego sprawy, że nieodzownym warunkiem zabezpieczenia nas w przyszłości od takiej, jak we wrześniu 1939 r. katastrofy militarnej, jest równe zachodnim sąsiadom uprzemysłowienie Polski. W ciągu życia bieżącej generacji t. j. do 25 co najwyżej lat powinniśmy procent ludności, pracującej w przemyśle podnieść z obecnych dziewiętnastu na trzydzieści kilka od sta. Jest to konieczne również — dla zapewnienia po wojnie całemu naszemu przyrostowi ludności zatrudnienia i przyzwoitego zarobku, pozwalającego na kulturalny postęp. Rolnictwo nasze jest już bowiem nadmiernie przeludnione. Mamy mniej ziemi na jedną pracującą na roli osobę, niż jakikolwiek inny kraj europejski, leżący na północ od Alp i Pirenejów. Pozostawianie nadal przyrostu ludności wiejskiej w zawodzie rolniczym zwiększałoby jedynie faktyczne — choć nie ujawniające się w cyfrach statystycznych — bezrobocie i obniżałoby i tak już zbyt niski poziom życia naszego małorolnego włościanstwa. I dla bezpieczeństwa państwa i dla zapewnienia narodowi naszemu postępu cywilizacyjnego koniecznego, by Polska zajęła poczesne miejsce w ludzkości — niezbędne jest, by wzrost zapotrzebowania pracy w przemyśle, górnictwie, transporcie i w innych nierolniczych zawodach pochłaniał przyrost całej zarówno wiejskiej, jak miejskiej ludności, wynoszący w ostatnich przed wojną latach ponad 300.000 osób rocznie.

Jest to zadanie, któremu nigdy dotychczas nie mogliśmy sprostać własnymi siłami. W ostatnim ćwierćwieczu



przed poprzednią wojną światową napływały do Polski znaczne kapitały inwestycyjne z Niemiec, Belgii, Francji i Stanów Zjednoczonych. Zagraniczne inicjatywy przedsiębiorcze i zagraniczne pieniądze stworzyły nam były wówczas kopalnie i huty Dąbrowy Górniczej i Sosnowca, metalurgiczne fabryki Częstochowy, Skarżyska, szyby Borysławskie, większość przemysłowych przedsiębiorstw Warszawy, Radomia, Białej, Chrzanowa. Pomimo to jednak nie było w kraju dość zarobków dla całej poszukującej jej ludności. Co roku emigrowało wówczas na stałe i czasowo około pół miliona ludzi, t. j. cały nasz ówczesny przyrost ludności. Nie było w okresie tym u nas bezrobocia, rosły szybko płace robocze i w fabrykach i na folwarkach, podnosił się dobrobyt mas włościańskich, które i własne gospodarstwa ulepszały i wykupywały coraz więcej ziemi od większych właścicieli. Ale czynnikami tego ekonomicznego naszego postępu na przełomie XIX i XX wieku były imigracja obcych kapitałów i emigracja zarobkowa do obcych krajów.

Po 1918 r. ustał niemal całkowicie przyływ kapitałów zakładowych z krajów wysoce uprzemysłowionych do znajdujących się w początkowych stadiach przemysłowego postępu. Jednocześnie przemysł byłego Królestwa stracił rosyjskie, a górnośląski — niemieckie rynki zbytu, dla których głównie produkował przed wojną. To też w pierwszych latach po odzyskaniu niepodległości nastąpił spadek produkcji w najważniejszych jej gałęziach. A gdy zaczęliśmy utracone zagraniczne rynki zastępować protekcją celną nowopowstających gałęzi produkcji dla rynku krajowego, tak iż ilość robotników przemysłowych i wartość produkcji przemysłowej wróciła do normy przedwojennej — wybuchł światowy kryzys ekonomiczny, który obniżył u nas wskaźnik produkcji przemysłowej na jeden z najniższych w Europie poziomów i trwał niezwykle długo, bo od 1929 do 1937 r., gdy w Anglii, na Węgrzech i w Szwecji został przezwyciężony już w 1933 r. a w Rumunii, Norwegii, Grecji już nawet w 1932. Dopiero w 1937 zwiększyliśmy o 11%, a w 1938 o 19% stan naszej produkcji przemysłowej z 1928 r. W sumie jednak wedle wyliczeń Ligi Narodów nasz dochód społeczny na głowę ludności był w 1938 r. taki sam jak w 1913. A gdy od 1919 po 1939 wzrosła silnie

wydajność pracy wskutek i postępu technicznego i lepszej jej organizacji — więc zapotrzebowanie rąk roboczych w przemyśle podnosiło się słabiej od rozmiarów produkcji. Pozostawało ono jeszcze bardziej w tyle za przyrostem ludności od rozwoju naszej wytwórczości przemysłowej. Odpływ z rolniczego zawodu do pracy przemysłowej i handlowej nie wzrósł, lecz zmalał u nas po 1919 r. A równocześnie zmniejszyła się ogromnie emigracja zarobkowa. Stany Zjednoczone bowiem ograniczyły do minimum imigrację obcych robotników. W Niemczech ustało niemal zupełnie zapotrzebowanie zagranicznych rąk roboczych. Wskutek tego zaledwie w ciągu kilku lat najlepszej koniunktury światowej między 1924 r. a 1929 r. roczna emigracja zarobkowa z Polski dochodziła do dwustu kilkudziesięciu tysięcy. To też w latach dobrej koniunktury wolniej, a w czasie depresji i kryzysu — silniej — ciągle jednak rosło u nas między poprzednią a obecną wojną światową przeludnienie wsi i faktyczne bezrobocie.

Odpowiedzialność za nasze nieprzygotowanie do dzisiejszej wojny spada przede wszystkim na fałszywą naszą pomajową politykę zagraniczną. Niemalą też część winy ponosi ówczesne kierownictwo naszych sił zbrojnych, Generalny Inspektorat, który w trudnym do pojęcia zaślepieniu lekceważył nowoczesną broń pancerną i lotnictwo — i do ostatniej chwili ludził się, że do wojny jednak nie dojdzie. Ale bodaj czy nie najwięcej szkody nam zrządziło powszechne niemal nierozumienie, że nie można opierać wielkomocarstwowej polityki na buńczucznych frazesach, że jest „byczo“, że wszystkiego w kraju jest pod dostatkiem — gdy się naprawdę posiada jeden z najniższych w Europie na głowę ludności dochodów społecznych.

Stoimy wobec konieczności albo zrezygnowania z czynnej roli w międzynarodowym życiu Europy, zejścia do roli państwa „o ograniczonych interesach“ — albo też dokonania radykalnej zmiany kierunku naszego ekonomicznego rozwoju. Ale tej zmiany nie da się osiągnąć poszczególnymi ulepszeniami naszej polityki społeczno-gospodarczej. Trzeba wręcz zmiany podstaw całego dotychczasowego naszego życia ekonomicznego, nowego ustroju społeczno-gospodarczego. W ciągu XIX w. ustrój kapitalistyczny, który



się był wytworzył w ciągu dwóch poprzednich stuleci w Anglii, Niderlandach i Francji, ogarnął sobą kulę ziemską. Ale rozszerzając się na wszystkie kraje bez względu na ich historyczną przeszłość i stopień cywilizacji — równocześnie zróżniczkował się on na szereg odmian. Wśród innych różnic wytworzyła się była również różnica krajów czynnego i biernego kapitalizmu. Były narody posiadające w swym łonie wszystkie czynniki swego gospodarczego postępu, własną przedsiębiorczością i własnymi kapitałami organizujące coraz liczniejsze i coraz wydajniejsze przedsiębiorstwa nie tylko we własnym państwie, lecz i w zagranicznych krajach. Były też narody, którym obcy przedsiębiorcy zakładali fabryki, kopalnie, które nie mogły wyżyć się należycie we własnym kraju i szukały dla znacznej części swych warstw ludowych emigracyjnych zarobków. Polska była takim właśnie krajem biernego kapitalizmu. Między 1880 a 1914 rósł szybko dobrobyt wszystkich naszych warstw społecznych. Ale główne czynniki ówczesnego naszego ekonomicznego postępu działały z zewnątrz, z poza Polski.

Udział nasz w światowej międzynarodowej współpracy, rozszerzającej się i pogłębiającej coraz bardziej w ostatnich przed poprzednią wielką wojną 30 latach, polegający na dostarczaniu gospodarce światowej naszej pracy w zamian za napływające do nas teje gospodarki światowej towary i pieniądze (dwoma strumieniami: imigracji kapitałów inwestycyjnych i zarobków emigracyjnych) nie tylko podnosił nasze dochody, lecz i kładł podwaliny rozwoju własnych naszych sił wytwórczych. Gdyby ten nasz udział w międzynarodowej współpracy ekonomicznej był jeszcze lat kilkadziesiąt potrwał — niewątpliwie stalibyśmy się z czasem z kraju biernego kapitalizmu krajem kapitalistycznie czynnym, podobnie do zachodnich naszych sąsiadów. Ale po 1918 roku nastąpiło coraz szybsze i coraz pełniejsze rozpadanie się gospodarki światowej. Zapoczątkowały ją Stany Zjednoczone kontyngentując imigrację obcych robotników i oddzielając się od zagranicznego importu towarów niezwykle wysokimi cłami, by mieć dodatni bilans nie tylko płatniczy lecz i handlowy, oraz udzielając krajom europejskim pozbawionym niemal zupełnie swych przedwojennych zasobów złota jedynie dro-

gich kredytów, a nie lokat i współpracy kapitałów zakładowych.

Po odzyskaniu niepodległości byliśmy nadal krajem biernego kapitalizmu. Ale światowa współpraca gospodarcza, która mimo naszej ekonomicznej bierności podnosiła nasz dochód i zwiększała nasz majątek, kurczyła się a w czasie powszechnego kryzysu 1929 po 1934 niemal zupełnie ustała. I to było naczelną przyczyną tego faktu, iż pomimo rozwinięcia szeregu nowych gałęzi przemysłu byliśmy jedynym narodem w Europie, którego dochód społeczny nie podniósł się wcale w ciągu ostatnich 20 lat. Było dużo błędów w naszej pomajowej polityce ekonomicznej, bo kierowali nią rzadko zdolni, jak p. Kwiatkowski, a częściej bardziej pewni siebie, niż zdolni, jak p. Matuszewski, lub tylko poczciwi, jak p. Prystor, a bez charakteru ludzie. I niektórzy z nich zrobili nawet dość dobrych rzeczy. Niewątpliwie dobrą, bardzo dobrą rzeczą była Gdynia, kończąca się już budowa elektrowni w Rożnowie, założenie fabryki samolotów w Mielcu, zatrudnienie w 1937 i 1938 przeszło 100 tysięcy ludzi w robotach publicznych i t. d. Ale wszyscy niemal nasi ministrowie skarbu, przemysłu i rolnictwa w ostatnich 13 latach mieli za mało rzetelnej wiedzy ekonomicznej, by zdać sobie sprawę, że cały świat wchodzi w nowy okres społeczno-gospodarczego rozwoju i że poszczególne zabiegi interwencyjne państwa, naprawiające te czy inne niedomagania częściowe naszego życia ekonomicznego — nie nadadzą jego ekspansji tempa koniecznego dla zapewnienia realnej siły naszej mocarstwowej polityce, bo przy zamieraniu międzynarodowej współpracy kapitalizm bierny stanowi pochyłą równię, po której nieuchronnie musi dążyć w dół przeciętny na głowę ludności dochód społeczny.

Zasadniczymi cechami wszelkiego kapitalistycznego ustroju, a więc i istniejącego u nas w ostatnich kilkunastu latach jest:

a) motywem wszelkiej przedsiębiorczości jest dążenie do osobistego jak największego zysku, b) kapitały pieniężne przyływają do tych gałęzi produkcji i handlu, w których mogą osiągnąć stosunkowo najwyższe oprocentowanie, c) o tempie rozwoju przemysłu decyduje tempo nagromadzania się w instytucjach kredytowych kapitałów pienięż-



nych pochodzących z oszczędności mieszkańców kraju, oraz przyływ ich z zagranicy.

Ale jak już powiedziałem, ten ostatni ustał niemal zupełnie po 1918 r. Suma zaś depozytów i wkładów oszczędnościowych we wszystkich naszych bankach państwowych i prywatnych, pocztowej Kasie Oszczędności, Komunalnych kasach oszczędności i spółdzielniach kredytowych w ciągu 10 lat od 1928 r. po 1938 r. wzrosła o 1.218.000.000 złotych. Przeciętnie więc roczny przyrost kapitałów pieniężnych nagromadzających się w instytucjach kredytowych wynosił u nas w tym czasie około 120.000.000. Gdyby te kwoty były w całości zużytkowane na stwarzanie nowych zatrudnień w przemyśle, handlu i robotach publicznych, a nic z nich nie szło na zakup nieruchomości, spłaty współsukcesorów i różne konsumpcyjne kredyty to i tak przy bardzo umiejętnym operowaniu nimi można by było zwiększać ilość pracowników w nierolniczych zawodach przeciętnie co roku najwyżej 100.000. A tymczasem przyrost ludzi potrzebujących pracy zarobkowej wynosi u nas około 300.000.

Obecnie jednak większość bodaj depozytów, które były w naszych instytucjach kredytowych została z nich wycofana i zużyta na cele konsumpcyjne. A w pierwszych latach po wojnie ogół naszej ludności zużywać będzie swe zarobki w całości niemal na uzupełnienie zniszczonych urządzeń domowych, zasobów ubrań, odbudowę gospodarstw, warsztatów, domów, a nie wkłady oszczędnościowe czy depozyty bankowe.

Niezbędnym więc warunkiem dorównania siłami wytwórczymi za życia obecnego pokolenia zachodniej Europie jest organizowanie natychmiast po wojnie ustroju społeczno-gospodarczego, w którym by wręcz odwrotnie niż dotychczas, nie szybkość rozwoju przedsiębiorczości przemysłowej i handlowej zależała od tempa gromadzenia się kapitałów pieniężnych w bankach i kasach oszczędności, ale rozmiar wchodzących w obieg rynkowy kapitałów pieniężnych dostosowywał się do ich zapotrzebowania na roboty inwestycyjne konieczne dla zatrudnienia całego przyrostu ludności i skutecznego zabezpieczenia kraju przed wrogim najazdem.

Trzeba dać Polsce ustrój, w którym by o rozwoju

przedsiębiorczości decydowały nie indywidualne jedynie rachuby gospodarcze, lecz również społeczno-ekonomiczne plany kierowniczych władz państwowych.

Musimy mieć w przyszłości kierowaną przez państwo planową gospodarkę społeczną.

Ale musi być ona zgoła inna niż u naszego wschodniego sąsiada.

\* \* \*

Jest odwieczna różnica cywilizacyjnej wschodnich a zachodnich. Istniała ona już na tysiąc lat przed Chrystusem. Zarówno w Egipcie i Babilonie, jak i w Assyrii, która przez czas pewien nad obu tymi krajami panowała, oraz w większym i potężniejszym od nich wszystkich — państwie perskim, naczelnym celem całego ustroju prawnoadministracyjnego i społeczno-gospodarczego, była potęga monarchy, którego wola i myśl były głównymi czynnikami postępu ekonomicznego i cywilizacyjnego jego ludów. Nie zmieniło się to nawet po podbiciu Persji przez Aleksandra Macedońskiego. Wodzowie jego podzielili między siebie ziemie imperium perskiego. Powstał szereg państw azjatyckich z dynastiami greckiego pochodzenia. Na dworach ich mówiono po grecku. Nowa stolica Egiptu — Aleksandria przodowała w rozwoju filozoficznej literatury greckiej, stała się niemal drugimi Atenami. Ale w tym językowo i obyczajowo zhellenizowanym Wschodzie nadal państwo było wszystkim, a człowiek niczym. Wartość jednostki ludzkiej zarówno każdego dygnitarza jak i niewolnego chłopca i rękodzielnika zależały tam jedynie od oceny i łaski zwierzchnika, zajmującego o szczebel wyższe stanowisko w hierarchii państwowej. Wszystkie zaś gospodarstwa prywatne były uzupełnieniem tylko gospodarstwa państwowego. W Egipcie faraonów było dwadzieścia kilka monopoli wytwórczych i handlowych: państwowe były wszystkie kopalnie metali, państwowe — kanały irygacyjne, państwowe — tłocznie oliwy, państwową była marynarka handlowa, morska i rzeczna — państwowym — handel zagraniczny, handel szczecina... Większość tych monopoli zachowała i grecka dynastia Ptolomeuszów.

Jaskrawym przeciwieństwem tych wschodnich monarchii totalnych były republiki greckie i latyńskie, wraz



z późniejszą rzeczą pospolitą rzymską. Potęgą państwa, była w nich nie celem — ale środkiem, zabezpieczającym wolność, dobrobyt i rozkwit cywilizacji obywateli. Nie od spełnianych funkcji w służbie państwowej zależał tam majątek jednostek, lecz wręcz odwrotnie, od majątku ich zależały ich świadczenia dla państwa. Toteż siła Rzeczypospolitej opierała się na sile gospodarczej pojedynczych rodzin. Im więcej było zamożnych obywateli — tym więcej było ciężko uzbrojonej piechoty, jazdy i okrętów bojowych. A do dobrobytu i bogactwa wiodła indywidualna przedsiębiorczość przemysłowo-handlowa.

W pierwszym stuleciu naszej ery imperium rzymskie narzuciło swe prawa i urzędzenia administracyjno-polityczne wszystkim ludom zachodniej i południowej Europy, północnej Afryki, Małej Azji i Mezopotamii. Zarówno Brytowie, Gallowie, Italowie, Grecy, jak i potomkowie dawnych Egipcjan, Assyryjczyków, Babilończyków, Persów — byli rządzani przez prokonsulów rzymskich, korzystali z dobrodziejstw pokoju rzymskiego, mogli na przestrzeni całego imperium rzymskiego prowadzić operacje handlowe i dorabiać się majątku produkcją przemysłową. Zacieśniało się kulturalne i polityczne współzycie ludów od granic Szkocji po źródła Nilu.

Mimo to rozpadło się imperium rzymskie na dwa cesarstwa: wschodnie i zachodnie. Silniejsze były różnice odmiennego na wschodzie i na zachodzie pojmowania stosunku człowieka do państwa — od zespalającego działania jednego kodeksu praw.

W Bizancjum urzędowym był język grecki. Ale metody rządzenia w nim, jego społeczno-państwowe instytucje były dalszym ciągiem etatyzmu staro-egipskiego, babilońskiego, asyryjskiego i perskiego.

Niedługo przeżyło ten podział cesarstwo zachodnie. Ale powstałe na jego ziemiach średniowieczne państwa feudalne były antytezą bizantyjskiej hierarchii i despotcji. Stanowiły one hierarchiczne układy wielorakich samorządów, wznoszących się coraz wyżej od gminy włościańskiej aż do krajowego sejmu stanowego.

Po upadku Bizancjum — spadek dziejowy po nim przejęła Moskwa. I nie jest to przypadkiem historycznym, że sformułowany w Nadrenii przez Marksa program upań-

stwowienia całej przedsiębiorczości gospodarczej przez przekazanie państwu wszystkich „narzędzi i środków produkcji“ został jednak zrealizowany jedynie w imperium rosyjskim, jak również, że stolicą Z.S.R.R. jest znów Moskwa, a Petersburg, do którego Piotr I przebudowując swe państwo na modłę zachodnią, głównie niemiecką, przeniósł siedzibę rządu, stał się prowincjonalnym Leningradem.

Natomiast w żadnym z państw zachodnio-europejskich nie upaństwowiono jakiegokolwiek gałęzi przemysłu czy handlu, pomimo, że wielu z nich na czele rządów stawali i stoją przewodcy stronnictw socjalistycznych.

Już bowiem pod koniec XIX w. wśród europejskich stronnictw socjalistycznych zaczął brać górę „rewizjonizm“, kwestionujący słuszność tezy marksowskiej, iż dopóki istnieć będzie prywatna przedsiębiorczość, robotnicy nie zdołają osiągnąć poważnej poprawy swego bytu. W rzeczywistości bowiem, między 1870 a 1880 r. zmienił się zupełnie w wysoce uprzemysłowionych krajach stosunek zaofiарowania do zapotrzebowania rąk roboczych stanowczo na korzyść robotników. Gdy Marks pisał swój „Kapitał“ postęp produkcji maszynowej wielkich fabryk pozbawiał samodzielności gospodarczej masy rękodzielników. Przy tym wzmógł się po uwłaszczeniu włościan przyrost ludności wiejskiej powodował nieustanny z gmin wiejskich do miast przyływ młodzieży poszukującej pracy zarobkowej. To też w pierwszych sześciu dziesięcioleciach ubiegłego wieku rosło szybciej w przemyśle zaofiарowanie sił roboczych od ich zapotrzebowania. Robotnicy z trudem utrzymywali swe zarobki na poziomie tradycyjnej skali życiowej czeladzi cechowej. W drugiej połowie jednak przeszłego stulecia wielkokapitalistyczny przemysł Anglii, Francji, i Belgii, Holandii oraz Niemiec rozszerzył swe rynki zbytu na całą niemal kulę ziemską. Dało mu to niebywale szybki wzrost. A wraz z tym zapotrzebowanie robotników fabrycznych poczęło coraz bardziej wyprzedzać nie tylko tempo przyrostu ludności lecz i migracji ludności wiejskiej do miast. Ponadto, odebrawszy rękodziełu produkcję dóbr użyteczności pośredniej, służących do dalszej produkcji, oraz dóbr „bezpośredniej użyteczności“, zaspakajających potrzeby warstw najmniej zamożnych i najbogatszych — przemysł wielkokapitalistyczny pozostawił rękodziełu mniej się



mu rentującą produkcję przedmiotów konsumpcji warstw średnio zamożnych. Oto jeden z licznych przykładów: Ludzie niezamożni kupują gotowe ubrania, wytwarzane przez wielkie przedsiębiorstwa. Najbogatszych klientów obsługują światowej sławy firmy krawieckie. Ludzie zamożni zamawiają sobie ubrania u majstrów, zatrudniających paru robotników. A że rozwój przemysłu fabrycznego zwiększył ilość ludzi zamożnych, tym samym więc rozszerzał klientelę drobnych i średnich przedsiębiorstw rękodzielniczych. Wbrew przepowiedzi Marksa, że produkcja maszynowa wielkokapitalistyczna zniszczy całkowicie stan średni rękodzielniczy — w ostatniej ćwierci XIX w., malejąca poprzednio liczba rękodzielników poczęła rósć tym bardziej, im większy był w danym kraju czy danej prowincji rozrost przemysłu fabrycznego. Z groźnego konkurenta rzemieślniastego przemysł wielkokapitalistyczny stał się przewodnikiem postępu gospodarczego, wzmacniającego i rękodzielo.

Wszystko to razem wywoływało automatyczne zwyki płac roboczych w okresach dobrej koniunktury. A w czasach depresji przemysłowych — rozpowszechnione już w siedemdziesiątych latach przeszłego wieku związki zawodowe robotników — nie dopuszczały do zniżki zarobków. Od 1850 r. do 1900 r. płace robotników fabrycznych w Anglii podniosły się trzykrotnie, a w Niemczech przeszło dwukrotnie. Związki robotnicze a wraz z nimi i partie socjalistyczne zdały sobie sprawę, że pierwszym nieodzownym warunkiem postępu dobrobytu proletariatu jest szybki rozrost przedsiębiorczości przemysłowej. A że motorem jej były przede wszystkim prywatne inicjatywy, znacznie wyprzedzające akcję założycielską urzędów państwowych i komunalnych, więc też „rewizjonizm“ odsunął maksymalny program głoszący zniesienie prywatnej własności przedsiębiorstw w nieskończenie daleką przyszłość, a za naczelne zadania realnej polityki socjalistycznej ogłosił nie likwidację kapitalizmu, lecz stałe powiększanie udziału klasy robotniczej w wytwarzanym przez rozwój kapitalizmu wzroście narodowego dochodu i majątku.

I tego właśnie nie mógł darować Komintern moskiewski europejskim stronnictwom socjalistycznym. Marks pisał po niemiecku. Ale wychował się on w środowisku, które mimo wielowiekowego rozproszenia wśród społeczeństw za

chodnich, wiernie przechowywało ducha swej wschodniej cywilizacji. I tu jest prawdopodobne źródło jego idealizacji gospodarczej wszechpotęgi państwa. Nie było jej zgoła jednak u rdzennie niemieckich, francuskich, czy angielskich pisarzy socjalistycznych pierwszej połowy XIX wieku. Nie głosili upaństwowienia, jeno uspołecznienia przedsiębiorczości przez „falanstery“, „gminy socjalistyczne“ czy „spółdzielnie wytwórcze“ i St. Simon i Fourier i Louis Blanc i Proudhon i Owen i Winkelblech. Stale się też wypowiadają przeciwko podporządkowaniu gospodarczego życia rozkazodawstwu administracji państwowej — angielskie „trades-uniony“ wraz z fabianami. A i niemiecka socjalna demokracja, gdy z nielicznej stosunkowo grupy ideologów rozrosła się w wielką partię robotniczą i zeszedłszy z zaprzeczającego całej istniejącej rzeczywistości rewolucyjnego stanowiska, stała się czynnikiem pozytywnym społecznych i politycznych dziejów swego narodu porzuciła obcą duchowi cywilizacji niemieckiej doktrynę państwa komunistycznego.

Jak dalece jest doktryna ta spreczna z naczelnymi dążeniami cywilizacyjnymi narodów europejskich — świadczy o tym niezwykle wymownie fakt, że nawet te z państw zachodnich, które jak faszystowskie Włochy i narodowo-socjalistyczne Niemcy proklamowały dyktatorską władzę kierującej państwem „elity“ i nad całym politycznym życiem i myśleniem narodu i nad wychowaniem moralnym młodzieży i nawet nad wszelką nauką i artystyczną twórczością — nie oparły swej gospodarki planowej na zamiar nie gospodarczej przedsiębiorczości prywatnej przez państwową.

Może ktoś jednak powie: Włączyć Polskę do Z.S.R.R.? — Broń Boże; ale czemu by nie przejąć czegoś od naszych wschodnich sąsiadów?

Jesteśmy na pograniczu Wschodu i Zachodu. Czy więc nie byłoby istotnie najlepsze, organizując nowy nasz powojenny ustrój społeczno-gospodarczy, zespolić pewne momenty kultury zachodniej z niektórymi pierwiastkami kultury wschodniej, a więc na przykład: zachować prywatną własność indywidualnych drobnych przedsiębiorstw, wielkie zaś upaństwować?



Zwracam uwagę tych co tak myślą na fakt następujący:

W latach 1917 i 1918 Lenin upaństwowił był nasamprzód tylko banki i wielko kapitalistyczne fabryki, oraz zatwierdził dokonane już przeważnie za Kiereńskiego wywłaszczenie bez odszkodowania właścicieli folwarków, które zostały podzielone między okolicznych włościan. I przez szereg lat prowadził on t. zw. „nową politykę ekonomiczną“, utrzymującą obok wielkiego państwowego przemysłu i handlu również prywatne drobne i średnie fabryczki, warsztaty i sklepy, a nawet niektóre wielkokapitalistyczne przedsiębiorstwa firm zagranicznych. Skończyło się to tym, że dziś nawet budki z wodą sodową na ulicach miast rosyjskich są państwowe i wywłaszczeni bez odszkodowania zostali po właścicielach folwarków również wszyscy nieco zamożniejsi chłopci, dziś kończący swój żywot w obozach pracy przymusowej.

Kompromis zasad cywilizacji wschodniej i zachodniej może być tylko chwilowy. Po pewnym czasie wezmą zawsze górę jedno albo drugie.

Właśnie dlatego, że jesteśmy na rubieży wschodu i zachodu musimy zdecydowanie wybrać jedną z tych dwóch dróg naszej społeczno-państwowej ewolucji: ku zachodowi czy wschodowi.

\* \* \*

Tu i ówdzie odezwie się jakiś nieśmiały głos wątpliwości, czy da się naprawdę zrealizować w stosunkowo niedługim czasie gruntowne przeobrażenie naszego społeczno-gospodarczego ustroju? Na ogół jednak i w kołach naszych techników, i w towarzystwie ekonomistów, i wśród młodzieży wojskowej — nie mówiąc już o Rządzie, który w swej deklaracji programowej wręcz zapowiedział skuteczne zapewnienie po wojnie zatrudnienia i godziwego zarobku w kraju całej zdolnej do pracy ludności — panuje przekonanie: musimy naszymi wytwórczymi siłami a w szczególności rozwojem naszego przemysłu dorównać za życia bieżącego pokolenia zachodnim sąsiadom, bo nie mamy innego sposobu zapobieżenia powtórzenia się za lat kilkadziesiąt podobnej do dziś przeżywanej tragedii.

Ta powszechna decyzja i wola szybkiego pomnożenia

siły gospodarczej Polski — jest już sama przez się niezwykle cenną. Świadczy ona o dużym postępie naszej świadomości społeczno-ekonomicznej, jaki się w czasie wojny dokonał. Dziś wierzyć już się niemal nie chce, że jeszcze 8 lat temu kilku pod rząd premierów i ministrów skarbu cały swój program ekonomiczny streszczało w bezradnych frazesach: „zejść co prędzej na dno kryzysu, by potem tym szybciej się podnieść“, „zacisnąć pasa“, „dostosować produkcję do spadku siły nabywczej społeczeństwa“... Dopiero gdy okazało się, że kryzys całej przedsiębiorczości trwał u nas o parę lat dłużej niż w zachodnich krajach przemysłowych, i że dno kryzysu spadło u nas na poziom niższy niż w jakimkolwiek innym europejskim kraju — zrozumiano w kierujących naszym państwem kołach, jak fałszywą była polityka „dostosowania“ obiegu. pieniężnego do spadku produkcji, a rozmiarów produkcji przemysłowej do spadku siły nabywczej, w oczekiwaniu na „automatyczny“ rzekomo wzrost przedsiębiorczości po dłuższym okresie depresji. Minister Kwiatkowski, obejmując kierownictwo naszej polityki ekonomicznej, zapowiedział zerwanie z biernym oczekiwaniem na samorzutną poprawę koniunktury i przejście do przewyciężenia zastoju i bezrobocia za pomocą wielkich robót publicznych oraz silnej rozbudowy przemysłu wojennego nie tylko państwowego lecz i prywatnego.

Realizował on jednak te swoje zapowiedzi stale w nieznacznej tylko części i nazbyt powoli.

Bo dla pełnej ich realizacji musiałby był przede wszystkim zmienić się zasadniczy stosunek władzy państwowej do społeczeństwa. Stosunek ten w czasach po-majowych cechowała nadewszystko nieufność rządu do wszelkiej samodzielnej inicjatywy społecznej i obawa jakiegokolwiek prądu ideowego dążącego naprawdę do zmiany na lepsze istniejącej niewesołej i niepięknej rzeczywistości.

Ale jak światem nigdy samymi rozkazami czy zaleceniami i pomocami władzy państwowej nie zostały dokonane zasadnicze przemiany życia społecznego.

*U źródła wszelkiej reformy ustroju, zarówno państwowego jak ekonomicznego, było zawsze pojawienie się i zwycięstwo nowej ideologii, nowego prądu ideowego.*

Bez społecznej doktryny kanonistów, w szczególności bez nauki św. Tomasza — nie byłoby średniowiecznego



ustroju stanowo-korporacyjnego. Bez Locka, Hume'a, Quesnay'a, encyklopedystów, Ruseau'a — nie byłoby zwycięstwa liberalizmu gospodarczego nad merkantylizmem.

Zwycięstwo prądu ideowego komunistycznego w Rosji, faszystowskiego we Włoszech — narodowo-socjalistycznego w Niemczech nie tylko doprowadziło do władzy Lenina, Mussoliniego i Hitlera — ale dało im jeszcze do dyspozycji siły intelektualne i emocjonalne wielkich zastępów ludzi, potrzebne dla przeprowadzenia dokonanych przez nich przeobrażeń społecznych i politycznych.

Nie ma jednak przykładu w historii, by jakkolwiek prąd ideowy zrodził się z opanowania przez jakiegoś reformatora aparatu rządowego.

Nie jest przypadkiem, że nikt nigdy nie mógł się dowiedzieć, na czym naprawdę polegała „ideologia Piłsudskiego“, choć tyle o niej mówiono. Bo za późno było tworzyć ideologię już po zamachu majowym. Taką samą tajemnicą była kilkaset lat wcześniej ideologia wszystkich uzurpatorów władzy w państewkach włoskich doby odrodzenia: Medicich, Sforzów, Borgiów. Próżno byśmy doszukiwali się jakiegokolwiek idei w „dworzaninie“ Baltazara Castiglioni.

Gdy jednak zwracało się na to uwagę przedwojennym naszym ministrom, gdy mówiło się im, że wszystkie ich programy wielkomocarstwowe pozostaną jeno deklaracjami zamiarów, o ile nie będą poparte przez samorzutny prąd ideowy, budzący skuteczniejsze od nakazów władz państwowych nakazy sumień obywateli — przyjmowali oni te przestrogi jako niebezpieczne zamachy na ich uprawnienia rządców Polski. Prąd ideowy — czemu nie — lecz wedle planu rządowego, w ramach B.B.W.R. czy O.Z.N. Wszyscy razem — ale za mną — bo inaczej dwutorowość i marnowanie energii na inicjatywy społeczne, które być może nie zostaną zatwierdzone przez rząd.

Dziś na szczęście Rząd nasz nie jest rządem dyktatorskim. Czerpie on swe prawo do wydawania obowiązujących obywateli Rzeczypospolitej nakazów i zakazów nie z posiadania fizycznej przemocy — ale z powszechnego zaufania narodu.

Niewątpliwie też wysoce jest korzystny zwrot, jaki dokonywuje się w społeczno-gospodarczej świadomości na-

szej inteligencji: od powszechnej w przededniu wojny wiary w automatyzm życia ekonomicznego ku koncepcjom planowego pokierowania naszym rozwojem gospodarczym tak, by wszedł na drogę szybkiego i dużego postępu wszystkich sił produkcyjnych narodu.

Ale dla wielu „planowa gospodarka” stała się dziś takim samym artykułem wiary, zwalnającym od własnego wysiłku myśli i woli, jakim było wczoraj „dostosowywanie przedsiębiorczości do cyklicznych zmian koniunktury”.

Wielu z tych, co niedawno uwierzyli w gospodarkę planową, w wierze tej poszło jednak za daleko. Nie zdając sobie należycie sprawy z różnicy między planami społeczno-ekonomicznymi a prywatno gospodarczymi, między uprzedysławieniem narodu a zorganizowaniem pojedynczej fabryki — wierzą oni w nieograniczoną niemal wszechpotęgę państwowego planu gospodarki narodowej.

Czegoż bowiem potrzeba dla stworzenia fabryki? Przede wszystkim dobrego planu jej organizacji, a następnie należytego kapitału, czy kredytu dla zakupienia przewidzianych planem surowców, narzędzi i maszyn, oraz ludzi potrzebnych dla przewidzianych również planem robót. Zasadniczo trzeba tego samego — rozumuje się — w wielokrotnie tylko w większych rozmiarach, by powołać do życia kilka, kilkanaście, czy kilkadziesiąt tysięcy nowych przedsiębiorstw przemysłowych. — Więc niech rząd opracowuje szczegółowy plan ustalający wiele, jakich i gdzie należy założyć co roku fabryk i warsztatów, niech zapewni odpowiednimi umowami z Anglią i Stanami Zjednoczonymi dostarczenie Polsce kredytów towarowych, potrzebnych dla zmontowania i puszczenia w ruch rzeczonych fabryk, niech sam ze swej strony zaopatrzy nowopowstające wedle jego planu przedsiębiorstwa w kredyty pieniężne, by miały kapitały obrotowe, wystarczające dla najmu inżynierów i robotników, oraz dla zakupu krajowych surowców — a z pewnością osiągniemy w oznaczonym czasie zamierzony stopień uprzemysłowienia Polski. To co potrafił zrobić Stalin swymi pięciolatkami, potrafi i nasze ministerstwo przemysłu i handlu. Nie święci garnki lepią.

W tym jednak rzecz, że na to by mózdz skutecznie zastosować metodę inicjatywy prywatno-gospodarczej do życia społeczno-gospodarczego, trzeba, by państwo było jedy-



nym w nim właścicielem środków i narzędzi produkcji oraz transportu. Pięciolatki takie, jakie organizował Stalin, możliwe są tylko w państwie komunistycznym. Ale i w komunistycznej Rosji nie osiągnięto w pełni zamierzonych wyników. Bo choć produkowano większość towarów w niewiele co mniejszych od określonych planem ilościach, ale koszt ich produkcji był wciąż znacznie wyższy, niż w zachodniej Europie. Dotyczy to szczególnie dóbr spożywczych. Ceny ich były tak wysokie, że przeciętna skala życiowa robotników sowieckich dochodziła ledwo do połowy realnego zarobku przeciętnego robotnika polskiego. Nie było w Rosji komunistycznej zysku prywatnego przedsiębiorcy, nie było pobieraanej przezeń z wytwarzanej przez robotników wartości tak zwanej wedle terminologii marksowskiej „nadwartości“. Ale istniały znacznie bardziej obciążające zarobki robotników koszta utrzymania olbrzymiego aparatu gospodarczej biurokracji państwowej i wywoływane jej nieudolnością straty materiałów produkcji i nakładów pracy.

Przeważa wszakże znakomicie w naszej opinii publicznej obawa przed biurokratyzowaniem życia ekonomicznego. Ale niezbędnym warunkiem uniknięcia go jest 1) by państwowy plan inwestycji, koniecznych dla zapewnienia zamierzonego postępu sił produkcyjnych kraju, był wykonywany w ogromnej większości nie przez przedsiębiorstwa i urzędy państwowe — lecz przez przedsiębiorstwa prywatne: indywidualne, udziałowe, akcyjne oraz możliwie w największej mierze spółdzielcze, 2) by kontrolę nad należytym wykonywaniem przez prywatne przedsiębiorstwa objętych planem państwowym prac inwestycyjnych sprawowały nie urzędy państwowe, lecz samorzady lokalne i zawodowe, 3) by samorządom tym był zapewniony jak największy udział w inicjowaniu przeprowadzanych na ich terenie działania robót inwestycyjnych i organizacji ich finansowania, 4) by znaczna większość pracowników przemysłowych znajdowała zatrudnienie w licznych drobnych i średnich indywidualnych lub spółdzielczych przedsiębiorstwach, a nie w olbrzymich wielko-kapitalistycznych akcyjnych fabrykach, 5) by państwowy plan gospodarki narodowej nie był dziełem wyłącznie zwierzchnich wykonawczych władz państwowych, wypracowaniem urzędniczym

biur ministerialnych — ale powstawał zbiorowym wysiłkiem myśli i odnośnych ministrów i przedstawicieli nauki ekonomicznej i reprezentantów samorządów zawodowych oraz wojewódzkich i wybitnych praktycznych znawców najważniejszych działów gospodarczej przedsiębiorczości, a także interesów i dążeń poszczególnych warstw społecznych.

A obok tego rodzaju planu państwowego, obejmującego całą Rzeczpospolitą, powinny w podobny również sposób być opracowywane bardziej szczegółowe plany wojewódzkie i powiatowe.

Samo więc już opracowanie planów gospodarczych przedsiębiorczości narodu wymagać będzie współpracy z władzami państwowymi licznych obywatelskich czynników, z najprzeróżniejszych wychodzących środowisk. I współpraca ta winna dać bynajmniej nie zastąpienie przez przedsiębiorczość państwową przedsiębiorczości prywatnej i samorządowej, jak to widzimy na wschodzie od nas, ani nawet podporządkowanie dążeniom i interesom państwa działalności gospodarczej wszystkich obywateli, jak to się dzieje we Włoszech i Niemczech — ale jaknajpełniejsze zharmonizowanie dążeń jednostek i warstw społecznych do własnego dobrobytu z ekspansją ekonomiczną całości narodowo-państwowej. Bo nie chcemy żadnej u nas odmiany państwa totalnego. Ale by dojść do takiego zharmonizowania trzeba, żeby wszyscy biorący udział w opracowaniu planu gospodarczej działalności narodu, byli nie orędownikami jedynie interesów jednej jakiejś grupy zawodowej czy klasy społecznej, albo też dzielnicy państwa, czy wreszcie prestiżu tego lub innego rodzaju „władzy“, ale rzecznikami jednej wielkiej wspólnej myśli społeczno-gospodarczej narodu, wnoszącymi do ścisłego i konkretnego planu jej realizacji każdy właściwy sobie zasób wiedzy i doświadczenia, oraz dążenia i ambicje reprezentowanej przez się części narodu.

*Zanim powstanie plan gospodarczej przedsiębiorczości narodu, musi być nasamprzód przewodnia myśl społeczno-gospodarcza — idea określająca zasadnicze podstawy, na których chcemy oprzeć naszą ekonomiczną przyszłość.*

Bo przecie wszelki plan musi służyć jakiemuś celowi. Zanim będziemy decydować, co robić, by osiągnąć lepszy



od dotychczasowego społeczno-ekonomicznego ustroj — musimy przede wszystkim stworzyć syntetyczną, obejmującą całokształt życia narodu wizję tego lepszego w przyszłości ustroju. Tak — całokształt życia narodu — a nie tylko ekonomicznych potrzeb i interesów społeczeństwa.

Bo dobra gospodarcze są tylko środkami materialnymi zaspakajania naszych cywilizacyjnych potrzeb. A ustroj ekonomiczny narodu to system form organizacyjnych współpracy, zapewniający narodowi jaknajpełniejsze zaopatrzenie jego członków i ich grup w materialne środki zaspakajania ich cywilizacyjnych potrzeb, dążeń i zadań.

To tylko ustroj kapitalistyczny uczynił dążenie do bogactwa — celem samym dla siebie. I słusznie najlepszy znawca historii kapitalizmu Sombart w swej ostatniej pracy o niemieckiej gospodarce planowej powiedział: „odsylam dążenie do bogactwa tam, skąd przyszło — do diabła”.

Uprawnionym, a w naszym położeniu koniecznym jest dążenie do podniesienia sił wytwórczych narodu na najwyższy możliwie poziom. Ale nie może być ono jedynym celem przebudowy naszego gospodarczego ustroju, a już żadną miarą nie możemy podporządkowywać mu wszystkich naszych cywilizacyjnych i politycznych dążeń.

Być może, najszybciej byśmy doszli do uprzemysłowienia Polski, powierając rozbudowę górnictwa i głównych gałęzi produkcji przetwórczej wielko-kapitalistycznym przedsiębiorcom amerykańskim. Nikt u nas jednak z takim projektem nie wystąpił i nie wystąpi. Bo uprzemysłowienie Polski nie jest dla nas celem samym w sobie, ale środkiem zapewnienia nam nade wszystko naszej narodowo-państwowej niezależności. Niewątpliwie też osiągnęlibyśmy największe bogactwo, przeobrażając się w społeczeństwo o znacznej przewadze liczebnej ludności przemysłowej nad rolniczą. Ale nie spotkałem Polaka, któryby pragnął zredukować naszą ludność wiejską do 8%, jak to widzimy w Anglii. Najzapaleńsi zwolennicy przemiany naszego uwarstwienia zawodowego mówią o 35% rolników za 20 lat, zamiast obecnych 60 paru. A osobiście nie uważam za pożądane obniżenia odsetka ludności wiejskiej poniżej 40%. Bo choć wartość produkcji ludności wiejskiej niższa jest niż miejskiej — ale wieś wytwarza wiele cennych sił moralnych, które zamierają w miastach. Można

też przytoczyć wiele argumentów na poparcie tezy, że najwyższą w stosunku do liczby ludności sumę majątku i dochodu społecznego osiągają narody o wielko-kapitalistycznym ustroju, o olbrzymich miliardowych przedsiębiorstwach i fortunach, a zarazem olbrzymich masach proletariatu. A mimo to może naszym ideałem być Polska, w której nie będzie ani jednego miliardera, ale natomiast znaczna większość narodu składać się będzie z ludzi gospodarczo samodzielnych, średnio zamożnych, dążących nie do bogacenia się przez podporządkowywanie swym osobistym zyskom działalności i interesów współobywateli, lecz do powiększania swego dochodu przez dostarczanie współobywateľom coraz wartościowszych dóbr i usług.

Wszędzie, gdzie wprowadzono gospodarkę planową, czy to w Rosji, czy we Włoszech, czy w Niemczech, czy w Stanach Zjednoczonych — wprowadzono ją dla realizacji określonego ideału całego kulturalnego życia narodu. Nie od programu pięciolatek zaczął się komunizm w Rosji, ani od „Carta di Iovore“ faszyzm we Włoszech, ani od planów Schachta narodowy socjalizm w Niemczech. Wręcz przeciwnie, najsamprzód powstała idea prymatu rasy germańskiej, potem zjawiała się dostosowana do niej koncepcja stanowego ustroju społeczno-ekonomicznego, a na sam koniec przyszła planowa gospodarka „dostarczenia zatrudnienia“ (Arbeitsbeschaffung).

Zapewne, w tej chwili mogą i powinny nasze ministerstwa gospodarcze opracować plany odbudowy zrujnowanej przez wojnę i wrogie okupacje sił gospodarczych Polski.

Dalsze i szersze są jednak aspiracje większości naszego społeczeństwa, a także i zapowiedzi programowe Rządu.

I powszechnie, mówiąc o gospodarce planowej, myśli się o planowym stworzeniu nowego lepszego układu wszystkich naszych sił i prac gospodarczych. Więc trzeba nam przede wszystkim ustalić sobie, jakiej pragniemy Polski, czy Polski zaborczej, gloryfikującej egoizm narodowy i nienawiści rasowe, czy Polski, która by stała się przykładem państwa naprawdę chrześcijańskiego, czy Polski silnych różnic i przeciwieństw klasowych, czy też jaknajwiększej harmonii społecznej — o scentralizowanej przedsiębiorczości w urzędach państwowych oraz wielko-kapitalistycz-



nych trustach i koncernach, czy też jaknajliczniejszych inicyjatyw indywidualnych...

Ale jeśli dla należytego ustalenia planu państwowego gospodarki narodowej i uzupełniających go planów wojewódzkich i powiatowych konieczne jest, by była najsamprzód idea lepszej Polski, uznana przez większość opinii narodowej i syntetyzująca wszystkie uprawnione dążenia poszczególnych jej organów — to tym bardziej dla realizacji tych planów jest niezbędne, by powstał i ogarnął większość narodu potężny prąd ideowy, budzący nowe twórcze energie i ambicje, szczególnie w nowym pokoleniu.

Trzeba również gruntownej reformy naszej moralności gospodarczej. Musi stanowczo ustać tak powszechne u nas poprzednio niedotrzymywanie terminów i przekraczanie kosztorysów, przyznawanie przydziałów i zamówień „swoim“, czy protegowanym, albo co już najgorsze za łapówkę.

Lepiej nie zaczynać w ogóle planowej gospodarki, niż by miały wciąż zawodzić preliminarze kosztów i przewidziane w planie terminy. Trzeba sobie z tego zdać wyraźnie sprawę, że bez zapanowania u nas zachodnio-europejskiej rzetelności, takiej jaką widzimy choćby tu w Anglii, a która jest również w Holandii, Danii, Szwecji, Norwegii... hasło podniesienia naszych sił wytwórczych do poziomu zachodnio-europejskiego, będzie takim samym zakłamanym frazesem, jakim były sanacyjne wielko-mocarstwowe przechwałki bez samolotów i tanków.

Ale nie narzuci się społeczeństwu rzetelności najsurowszymi nawet karami. Położyć radykalnie kres wszelakiemu protekcyjnizmowi i łapownictwu, „kantom“ jakiegokolwiek rodzaju, niedotrzymywaniu wziętych na siebie zobowiązań — potrafi tylko nacisk i kontrola silnej moralnej opinii publicznej. Nasza opinia publiczna bywa i tak słaba, że wydawać się może iż jej wcale nie ma, i tak potężna jak w żadnym innym narodzie. Miarą jej potęgi jest, że w jednej tylko Polsce wśród wszystkich okupowanych krajów Niemcy nie zdołali znaleźć żadnego Quislinga, ani wytworzyć jakiegokolwiek grupy ugodowej. A jednak ten sam szary tłum zwykłych obywateli, który naciskiem swej opinii zmusił był Prezydenta Mościckiego wraz z Marszałkiem Rydzem i rządem Sławoja-Składkowskiego do odrzu-

cenia ultimatum Hitlera i rozpoczęcia kroków wojennych, a dziś swą bohaterską walką z najazdem staje się „natchnieniem świata“ — ten sam tłum polski w ostatnich kilkunastu latach prawie nie reagował na nierzetelność gospodarczych działań. Wieluż to ludzi, o których poza ich oczyma mówiono „paskarz“, „łapownik“, „rekin“ — było zapraszanych na bardzo wybitne stanowiska w różnych stowarzyszeniach.

Czemu się to działo? Po prostu dlatego, że stuletnia przeszłość walka o niepodległość wytworzyła najsamprzód w inteligencji, a następnie w masach robotniczych i włościańskich, potężny prąd idealizmu narodowego — gorący, żywy patriotyzm — a w pracy gospodarczej widziano u nas powszechnie tylko mniej lub więcej umiejętnie załatwianie osobistych interesów.

Ale żebyśmy w najbliższym po wojnie dwudziestoleciu, zamiast stać na miejscu jak w ubiegłych dwudziestu latach, dopędzili rozwojem gospodarczym narodu zachodnich sąsiadów — na to trzeba przede wszystkim zespolic jak najściślej indywidualne dążenia gospodarcze z ambicją patriotyczną zapewnienia Polsce koniecznej dla wypełnienia Jej dziejowych zadań siły ekonomicznej. Gdy nastąpi to zespolenie, powstanie nie mniej silna jak w sprawach narodowo-politycznych opinia moralna również w sprawach ekonomicznych.

Zespolenia tego wszakże nie wytworzy żadne ministerialne planowanie. Bo żeby było skuteczne, musi wpływać z kategorycznego nakazu sumień obywatelskich. A nakazy sumień dyktuje nie rachuba, jeno umiłowanie. Umilowanie zaś sprawy — to idea.

Żeby opracowywane przez ministerstwa gospodarcze programy naszej powojennej planowej gospodarki nie pozostały tylko zamierzeniami, ale weszły naprawdę w życie — trzeba by przede wszystkim nastąpiło *uzupełnienie idei niepodległości i wielkości Polski ideą lepszego od dotychczasowego ustroju społeczno-gospodarczego*, któryby zapewnił Polsce niezbędną dla Jej siły politycznej i cywilizacyjnej — siłę ekonomiczną. Praca dla umacniania i ulepszania społeczno-gospodarczego Polski musi się stać powszechną naszą ambicją patriotyczną. W tym kierunku trzeba rozszerzyć i pogłębić nasz idealizm narodowy.



By dorównać zachodniej Europie w ciągu życia bieżącego pokolenia naszymi siłami wytwórczymi i dochodem społecznym — trzeba będzie w ciągu 20 do 25 lat podwoić nasz dochód społeczny. A tymczasem w ciągu ubiegłych między dwoma wojnami światowymi dwudziestu lat jedne tylko Węgry podniosły w Europie swój dochód społeczny o 60%, inne zaś kraje o kilkanaście do dwudziestu paru procent — a my nie zwiększyliśmy go wcale. Obecnie zamierzamy więc z najbierniejszego w Europie pod względem gospodarczym narodu — stać się najczynniejszym. Nie jest to niemożliwe, ale dla zrealizowania tej ambicji konieczną jest duża twórczość naszej myśli społeczno-ekonomicznej. Bo nie dadzą nam gotowych wzorów do naśladowania narody, posiadające jak Anglia, Stany Zjednoczone, Szwecja, kapitały pieniężne przewyższające normalne zapotrzebowanie ich dla rozwoju produkcji krajowej, gdy u nas jednym z najważniejszych zagadnień naszej przyszłości ekonomicznej jest problemat uzupełnienia niewystarczającej dla zatrudnienia w nierolniczych zawodach całego przyrostu ludności kapitalizacji prywatnej przez odpowiednią politykę walutowo-kredytową.

I gdy na Zachodzie istnieje raczej przeludnienie miast, a brak rąk roboczych po wsiach — my mamy zawiele ludności rolniczej, a za mało przemysłowo-handlowej. Więc musimy własnym wysiłkiem myślowym wytyczyć własne drogi powojennej polityki społeczno-gospodarczej, opracować swoiste metody polskiej planowej gospodarki społecznej.

Nie dokonają tego żadne urzędy. Urzędnicze myślenie społeczno-gospodarcze jest dziś zasadniczo takie same, jakim było i przed wojną i nie wybiegnie poza „plany robot publicznych“, może nieco szersze lub bardziej zabarwione doktryną społeczną, wyznawaną przez kierownika danego resortu — ale będące tak samo jak za Kwiatkowskiego szeregiem doraźnych tylko przedsięwzięć władz państwowych, mających na celu jedynie uzupełnianie zbyt słabej przedsiębiorczości prywatnej, a nie wydobyć z narodu nowych energii gospodarczych, któreby zrównały nasze siły wytwórcze z siłami zachodnio-europejskich społeczeństw.

Tylko z zespolenia rzetelnej wiedzy naukowej z do-

świadczaniem praktycznych działaczy przemysłowych, handlowych, rolniczych, komunikacyjnych, walutowych i kredytowych, oraz z ideowymi dążeniami wszystkich kierunków naszej myśli społeczno-politycznej — może powstać plan przebudowy naszego ustroju społeczno-gospodarczego dokładnie przemyślany, obejmujący sobą całokształt ekonomicznego życia narodu i realnie rozwiązujący te wielkie nowe zagadnienia, jakie dokonywujące się w wyniku obecnej wojny przeobrażenia przed Polską stawiają.

Najpodstawowszym zagadnieniem jest: czy nowotworzony po wojnie przemysł należy centralizować czy docentralizować, skupiać w jednym jakimś lub paru specjalnie na to przeznaczonych okręgach, czy też rozwijać go możliwie równomiernie na przestrzeni całego kraju; i czy należy uprzemysławiać Polskę według wzorów angielskich, amerykańskich i niemieckich organizując przede wszystkim wielko-kapitalistyczne przedsiębiorstwa o wielo-milionowych akcyjnych kapitałach zakładowych i setkach oraz tysiącach robotników najemnych; czy też wedle przykładu Szwajcarii powoływać do życia, gdzie to jest tylko technicznie możliwe, przede wszystkim drobne i średnie warsztaty i fabryczki, stanowiące własność indywidualną lub spółdzielczą i zatrudniające kilku, kilkunastu czy kilkudziesięciu pracowników?

Nasze polskie społeczeństwo nie ma wielkich kapitałów pieniężnych. Koncentrując więc nasz przemysł w wielkich akcyjnych przedsiębiorstwach, musielibyśmy, by zabezpieczyć je od nadmiernego na nie wpływu niepolskich akcjonariuszy — wprowadzać w ich współwłasność niemal z reguły banki państwowe. A w ślad za tym pójdzie faktyczne, jeśli nie formalne mianowanie przez ministrów nie tylko dyrekcji fabryk, ale i większości ich rad nadzorczych. I nie ojedzie się też bez tak dobrze nam już znanego nagradzania „zasłużonych“ przeróżnymi synekurami w półpaństwowych przedsiębiorstwach. Nie należy się łudzić: jeśli nadal jak w ostatnim przed wojną pięcioleciu za najlepszy, bo najprostszy sposób uprzemysłowienia Polski uważać będziemy powoływanie do życia możliwie nielicznych, a za to możliwie wielkich przedsiębiorstw: to albo kierownictwo naszą produkcją przemysłową obejmą niepolscy prywatni kapitaliści, albo dostanie się ono do rąk



rodzimej naszej ale biurokracji państwowej. Ani jedna ani druga z tych ewentualności nie jest zbyt pociągająca.

Niewątpliwie łatwiej zatrudnić 200.000 ludzi, organizując 50 fabryk o przeciętnie 4000 robotników, niż inicjując i finansując powstanie 4000 warsztatów i fabryczek o 50 przeciętnie pracownikach.

Ale niezawsze dochodzi się do najlepszych wyników, idąc po linii najmniejszego oporu. Jeśli chcemy uprzemysłowić nie tylko nasz kraj lecz i nasz naród — to musimy wybrać trudniejszą, ale jedynie zabezpieczającą normalny postęp naszej narodowej kultury — metodę uprzemysłowienia Polski od dołu, przez zakładanie nie tylko w kilku wielkomiejskich centrach co roku kilkudziesięciu wielkich fabryk, lecz równocześnie tysięcy warsztatów i fabryczek we wszystkich niemal prowincjonalnych miastach i miasteczkach.

Niezbędnym ku temu wszakże warunkiem jest wytworzenie nowej licznej polskiej warstwy przedsiębiorczej.

Narazie wielu ludzi z inteligencji, wyrzuconych przez władze okupacyjne z urzędowych stanowisk, wzięło się do handlu i drobnych przedsiębiorstw przemysłowych. Znaczna ich część jednak wróci po wojnie do służby państwowej. A za jakieś 6 lat po odzyskaniu wolności kraju — powinniśmy mieć już tysiące młodzieży pochodzenia ludowego, należycie wykształconych w średnich szkołach zawodowych i z odbytą praktyką nie tylko w krajowych, lecz i zagranicznych przedsiębiorstwach. Z młodzieży tej, ożywionej powszechnym dziś w masach włościańskich dążeniem do gospodarczego i cywilizacyjnego dźwignania się w zwyż własnym wysiłkiem — będzie można wytworzyć naprawdę liczną i energiczną warstwę przedsiębiorczą, udzielając ludziom, posiadającym właściwe kwalifikacje umysłu i charakteru wszelkiej pomocy potrzebnej im dla założenia warsztatu, sklepu czy fabryczki, choćby posiadali minimalne tylko własne kapitały pieniężne.

Jest to rzecz tak wielkiej doniosłości dla postępu całej naszej cywilizacji społeczno-narodowej — że trzeba będzie nie cofać się nawet przed ryzykiem przepadnięcia części kredytów udzielanych niezamożnej, a tylko odpowiednio uzdolnionej młodzieży, na zakładanie własnych przedsiębiorstw.

Ale nasamprzód trzeba będzie tę młodzież wykształcić, co potrwa dobrych kilka lat.

— A co tymczasem?

Najzasobniejsze do niedawna w ludzi przedsiębiorczych środowisko, z którego w ostatnim przed wojną dziesięcioleciu czerpaliliśmy dla Ziemi Czerwieńskiej i Wołyńa większość nowych polskich kupców i przemysłowców — mieszczaństwo wielkopolskie — jest dziś straszliwie przezebione.

Czyż więc dopóki nie wytworzymy znacznej liczby przedsiębiorców rękodzielniczych, drobno - fabrycznych i handlowych, skierowując odpowiednio ku temu żywotną ekspansję mas włościańskich — trzeba będzie ograniczyć się do zakładania tylko wielko-kapitalistycznych fabryk, a poza tym do powiększania jedynie istniejących już drobnych i średnich warsztatów?

Wprowadzilibyśmy przez to naszą politykę przemysłową od razu na fałszywą drogę, z której nie łatwo byłoby po tym zejść.

Trzeba temu koniecznie zaradzić. — Ale nie zarządzą temu najlepsze zamiary rządu i najmądrzejsze plany jego działania jeśli nie powstanie wśród naszej młodej inteligencji, szczególnie znajdującej się dziś na ziemi brytyjskiej, nowy prąd ideowy, który skieruje wielką naprawdę jej ambicję narodową, nie ku polityce i pracy w urzędach państwowych po powrocie do kraju, lecz ku budowaniu niezależności i siły gospodarczej Polski własną inicjatywą i działalnością gospodarczą.

Mówi się dziś dużo i wśród naszych tu inżynierów i żołnierzy i młodych oficerów o najprzeróżniejszych politycznych, społecznych i ekonomicznych reformach. Bodaj jednak najpilniejszą jest reforma ideału życiowych młodego pokolenia, zastąpienie ideału jak najlepiej płatnej i dającej jak najszerszą władzę posady w urzędzie państwowym czy wielkokapitalistycznym przedsiębiorstwie, przez ideał społecznej i gospodarczej samodzielności, opartej o posiadanie i rozwój własnego warsztatu pracy.

\* \* \*

Drugim zasadniczym zagadnieniem naszej nowej ideologii społeczno-gospodarczej jest zagadnienie konsolidacji



narodowej przez zmniejszanie różnic w sytuacji społecznej, dochodach i majątku poszczególnych warstw społecznych.

Są dwa równania społeczno-cywilizacyjne: równanie w dół i równanie w górę.

Wymownymi symbolami pierwszego są chociażby powszechnie znany portret wielkiego rosyjskiego pisarza i reformatora obyczajowo-religijnego hrabiego Lwa Tołstoja w zgrzebnej koszuli, bosonogiego i orzącego prymitywną drewnianą sochą oraz niemniej znane fotografie Gandiego, równie bosonogiego i odzianego jedną tylko płachtą. Bo też jedną z podstawowych cech wschodniego idealizmu społecznego jest tendencja do równania w dół.

Antytezą jego jest to wszystko, co się dzieje w Wielkiej Brytanii. Tu nie znosi się Izby Lordów — ale podnosi się do godności parów i wprowadza się do niej przewodców socjalistycznych, zasłużonych w walce o poprawę bytu robotników. Zachodnio-europejskie równanie — to równanie w górę.

O naszej przynależności do zachodniej cywilizacji świadczy między innymi i to właśnie, że naszym tradycyjnym równaniem społecznym było nie odbieranie warstwom wyższym ich uprawnień, lecz dopuszczanie do nich warstw niższych. Gdy szlachta dochodziła do władzy, nie skasowała Senatu, ale uzyskała równy z nim udział Izby poselskiej w stanowieniu praw oraz wybór króla „wiritim“ t. j. powszechnym głosowaniem całego rycerstwa. Najpopularniejszą maksymą naszej szlacheckiej demokracji XVI, XVII i XVIII wieku — było „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie“.

A przedziwnie jest dziś do niej podobna współczesna nasza demokracja chłopska. Małorolny gospodarz czuje się takim samym na swych paru morgach „panem“ jakim jest na swych kilkuset morgach właściciel sąsiedniego folwarku. Lat temu 55 — a pamiętam dobrze te czasy, bo już wówczas pracowałem w tajnej oświacie ludowej — włościain nasz uważałby był przemówienie doń per „pan“ za drwiny. Dziś jest ono w powszechnym użyciu po wsiach. Nieraz słyszałem ubolewanie inteligentów miejskich nad zanikiem regionalnych strojów ludowych i gorszenie się lekkomyślnością młodzieży chłopskiej, ubierającej się w niedzielę „po państku“. Istotnie, w wielu okolicach nie tylko

dziewczęta wiejskie idą do kościoła ubrane w takie same na pozór, choć oczywiście tańsze, sukienki, jak noszone przez panienki dworskie, ale i włościańska młodzież męska ubiera się od święta w czarne garnitury ze spodniami w paski i półbuciki. Mnie jednak zawsze to mocno radowało. Drobne to bowiem i niby to tylko powierzchowne, ale bardzo cenne objawy zasadniczego dążenia naszego ludu do równania ku górze — świadczące niezbitcie, że nie tylko na wierzchołkach naszej cywilizacyjnej struktury, ale i w jej najgłębszych podstawach jesteśmy społeczeństwem zachodnio-europejskim.

W myśl też ideologii równania ku górze, a nie w dół, która jest naszym tradycyjnym narodowym sposobem pojmowania demokracji, a zarazem ogniwem zespalającym nas z całą zachodnią cywilizacją — powinniśmy w najbliższym po wojnie dziesięcioleciu nie tylko ustalić kierunek, ale i przystąpić do skutecznej realizacji naszego rozwiązania kwestii robotniczej.

Bo jedno jest pewne: z chwilą gdy państwa podpisujące traktat wersalski zobowiązały się „nie uważać nadal płacy roboczej za rynkową cenę siły roboczej i zapewnić robotnikom swych krajów przyzwoity zarobek“ dalsze istnienie współczesnego proletariatu, licznej bardzo warstwy ludzi, zmuszonych całe życie pracować w cudzych przedsiębiorstwach dla bogacenia cudzych rodzin, staje się niedomaganiem społecznym, podobnie jak w początkach średnich wieków stało się nim przez liczne wieki poprzednio za naturalny stan rzeczy uważane niewolnictwo, a w XIX wieku — poddaństwo.

Toteż już w 1927 roku postawiłem w mej „Ekonomii Społecznej“ tezę iż wiek XX „albo uwłaszczy robotników, albo wywłaszczy prywatnych właścicieli kapitalistycznych przedsiębiorstw“.

Rozwiązanie kwestii robotniczej przez wywłaszczenie kapitalistów nastąpiło w Rosji — zgodnie z odwieczną tendencją cywilizacji wschodniej: równanie w dół. A za zniesieniem prywatnej własności „narzędzi i środków produkcji“ — bo gdy jej nie mają wszyscy — to niech nikt jej nie ma — poszło nieuchronnie upaństwowienie całej przedsiębiorczości; dalszą zaś naturalną tego konsekwencją



było podporządkowanie całego życia jednostek rozkazodawstwu władzy państwowej — państwo totalne.

W obawie przed tą właśnie konsekwencją zachodnio-europejskie stronnictwa socjalistyczne ilekroć dochodziły w ostatnim dwudziestoleciu do władzy — powstrzymywały się od upaństwowiania jakiegokolwiek większej gałęzi przemysłu czy handlu.

Natomiast skierowały one swe wysiłki do podniesienia zarobków robotników tak, by ich stopa życiowa zrównała się z trybem życiowym drobnego mieszczaństwa i by mogli nabywać własność czy uzyskiwać długoletnie dzierżawy kilkuizbowych domów, nieraz z kawalkiem gruntu, albo też papierów reprezentujących oprocentowujący się kapitał. Obecnie zaś Prezydent Roosevelt proklamuje, jako jedno z naczelnych zadań lepszego po wojnie urzędzenia świata, powszechne wszystkich cywilizowanych ludzi zabezpieczenie od niedostatku. I ku temu samemu też zmierza projekt Beveridge'a. Niech nie tylko posiadacze nieruchomości czy kapitałów pieniężnych, ale wszyscy będą wolni od obawy nędzy, w razie utracenia zarobku czy sił do pracy wskutek kalectwa, choroby lub starości. Jest to typowe równanie ludzi ku górze. Jestem głęboko przekonany, że i Polska po wojnie rozszerzy i zreformuje swój system ubezpieczeń społecznych w kierunku wskazanego przez Beveridge'a ich zespolenia i upowszechnienia.

Mamy odmienną jednak od Wielkiej Brytanii strukturę społeczną. Większość naszej ludności — to włościanie. A dla włościanina najlepszym zabezpieczeniem od biedy są melioracje jego gospodarstwa. Wątpliwym więc jest bardzo, czy byłoby u nas racjonalne rozciąganie obowiązku ubezpieczeń od bezrobocia, choroby, kalectwa i starości również na samodzielnych gospodarzy rolnych. Co ważniejsze jednak jeszcze — nasz dochód społeczny jest o tyle niższy od angielskiego, że zarówno stawki jak i premie ubezpieczeniowe będą musiały być znacznie mniejsze od proponowanych przez Beveridge'a. Odpowiednio też mniejsze u nas będą dobroczynne skutki ubezpieczeń społecznych.

Natomiast możemy — a gdy możemy to i powinniśmy — *podnieść pozycję społeczną robotników, w wyższym niż to się dzieje na zachodzie stopniu, usamodzielniając ich gospodarczo przez przyznanie im udziału we wspól-*

*własności przedsiębiorstw i ich kierownictwie oraz przez zaopatrzenie ich we własne mieszkania czy domy z ogrodami, pozwalającymi na produkcyjne zatrudnienie we własnym gospodarstwie części rodziny.*

Znajdziemy się bowiem po wojnie w tej niebywalej dotychczas gdzie indziej sytuacji, że w dyspozycji władzy państwowej znajdzie się duża część wielko-kapitalistycznych przedsiębiorstw górniczych i przemysłowych. Jeszcze przed wojną w rękę Niemców krajowych i zagranicznych znajdowało się znacznie więcej niż w rękę Polaków kapitałów naszych przedsiębiorstw akcyjnych, szczególnie śląskich i łódzkich. Nie tylko bowiem Niemcy byli głównymi ich akcjonariuszami, ale i głównymi wierzycielami. A w czasie wojny przemysł nasz został jeszcze o wiele bardziej zniemczony. Ale po uwolnieniu Polski z okupacji niemieckiej nie pozostawimy na dotychczasowym naszym terytorium ani żadnych skupisk niemieckich, ani żadnej własności niemieckiej.

Wszystkie przez Niemców dziś kierowane przedsiębiorstwa będzie musiała przejąć władza państwowa. Wielkim jednak byłoby błędem upaństwowienie ich wzorem naszego wschodniego sąsiada.

Wymaga tego nasza dziejowa rola i jest to kardynalnym warunkiem zachowania naszej integralności państwowej, byśmy zachowali ścisły związek z cywilizacją zachodnią nie byli pomostem przenikania cywilizacji wschodniej na zachód.

Przy tym doświadczenie obecnej wojny poucza niezwykle przekonująco, o ile wydatniejszy jest przemysł prywatny od państwowego. Z.S.R.R. przez szereg pięciolatek usilnie rozbudowywał swą wielko-fabryczną produkcję sprzętu wojennego. Przy pierwszym zaraz śledztwie, w październiku 1939 roku wysoki urzędnik N.K.W.D. drwił ze mnie i z Polski, mówiąc: „tu we Lwowie, pełno po sklepach zegarków, spinek, krawatów, garniturów męskich i damskich, u nas tego mało, nikt u nas nie ma choćby takich jak wy spinek u mankietów — ale za to wjechaliśmy do was na tankach, jakich nie posiadacie, u nas takich tanków bardzo dużo“. I niewątpliwie w chwili napaści niemieckiej na Rosję, była ona wielokrotnie lepiej zaopatrzona w sprzęt bojowy niż, nie mówiąc już o nas, Francja



i Anglia w połowie 1940 roku. Ale już jesienią 1941 roku, nie sowiecki państwowy przemysł zaopatrywał w broń i amunicję armię angielską, lecz wręcz odwrotnie — formowany pośpiesznie od półtora roku prywatny przemysł angielski i amerykański uzupełniał braki sowieckiego państwowego przemysłu wojennego. I co przy tym bardzo znamienne, w Anglii nie kilka wielkich koncernów, ale 80.000 odrębnych firm pracuje dziś dla potrzeb armii ogromnie intensywnie i szybko według jednego ustalonego przez rząd planu. Nikt nie może zaprzeczyć, że obecna, czasu wojny, społeczna gospodarka Wielkiej Brytanii jest nawskroś planowa. Ale rząd ustala tu tylko plany i kontroluje ich wykonanie. Wykonywują je jednak przedsiębiorstwa prywatne i organizacje społeczne. A i zaopatrzenie wojska w sprzęt bojowy oraz ludności w dobra konsumcyjne i pomoc materiałowa dostarczana sojusznikom idzie tu nieskończenie sprawniej niż w komunistycznej Rosji.

Przy tym, upaństwowienie tych wszystkich akcyjnych przedsiębiorstw, które w tej chwili są w niemieckim zarządzie, ale których współwłaścicielami byli akcjonariusze amerykańscy, angielscy, belgijscy, francuscy — wywołało by najwyższą obawę przed angażowaniem się kapitałów bogatych sojusznicznych narodów w odbudowę gospodarczą Polski i szybkie jej następnie uprzemysłowienie. Wraz za państwami totalnymi przegra tę wojnę i autarkiczna polityka gospodarcza. Powstaną obecnie odmienne od dawnych formy międzynarodowej współpracy ekonomicznej. Ale tylko w ramach tej współpracy zdołamy wejść trwale na drogę dużego społeczno-gospodarczego postępu. Więc nie można zaczynać od zrażenia sobie pochodzących z sojusznicznych narodów kół kierujących międzynarodowym obrotem kapitałów. Prawa zagranicznych współwłaścicieli naszych kopalń, hut, fabryk — poza Niemcami i ich satelitami — będą musiały być przywrócone. Ale w takim razie dziwną byłoby niesprawiedliwością utrzymanie dokonanego przez Niemców wywłaszczenia polskich właścicieli i współwłaścicieli.

Pomimo to w dyspozycji państwa znajdzie się po przejęciu od wszelakiego rodzaju Niemców bodaj czy nie większość praw własności i współwłasności przedsiębiorstw, zatrudniających powyżej 500 robotników. Bo poza przed-

wojennymi jest u nas pewna ilość kopalń i fabryk świeżo założonych przez władze okupacyjne. A nie jest wykluczone, że uzyskamy jeszcze tytułem odszkodowania przeniesienie do Polski części istniejących w Niemczech zakładów metalurgicznych i chemicznych, które produkują tam dziś broń i amunicję.

W 1938 roku w przedsiębiorstwach o zwyż 500 robotnikach pracowało w sumie około 250.000 ludzi. Nie wiele się chyba omyłę przyjmując cyfrę około 150.000 robotników przedsiębiorstw, których kapitał akcyjny znajduje się w dyspozycji państwa nawet po restytucji praw przedwojennych współwłaścicieli polskich i zagranicznych spośród narodów sprzymierzonych.

Jak już powiedziałem — nie jest pożądane prowadzenie tych przedsiębiorstw przez państwo, nawet w formie t. zw. „przedsiębiorstw wydzielonych“. Ale nie jest również wskazane odsprzedanie ich zwykłym spółkom akcyjnym — choćby dlatego, że nie będzie dość po temu krajowych prywatnych kapitałów. Przy tym duża ich część należy do tak zwanych „kluczowych“ przemysłów, unarodowienie i uspołecznienie których jest ze wszech miar potrzebne. Nie jest oczywiście niemożliwym poddać i spółki akcyjne ściśle dyrektywom kierującej planową gospodarką narodu władzy państwowej. I stanie się to konieczne wobec przedsiębiorstw, których przedwojenny kapitał akcyjny znajdował się w większości w ręku obywateli państw sojusznicznych. Natomiast wielkie przedsiębiorstwa, których kapitał zakładowy był w większości w posiadaniu Niemców i ich sprzymierzeńców powinny być oddane w wieczystą dzierżawę spółkom o charakterze nie tyle towarzystw akcyjnych, co spółdzielni, których udziały kapitał znajdował by się w 40 procentach w posiadaniu robotników, w 40 również procentach w rękach odbiorców produktów danych przedsiębiorstw i ewentualnie przedwojennych ich akcjonariuszów, a w 20 procentach we władaniu państwa. Zarówno jednak robotnicze udziały jak i odbiorców wytworów przedsiębiorstwa muszą być imienne i sprzedażne jedynie w łonie odnośnej korporacji, oraz za jej zezwoleniem. Będzie to konieczne dla zapobieżenia skupu większości udziałów mniej zamożnych ich posiadaczy przez kilku kapitalistów czy ich agentów, przez co by został całkowicie spaczony



spółdzielczy charakter przedsiębiorstwa. I nie przypadkowy skład tych drobnych licznych udziałowców na walnych zebraniach spółdzielni, lecz korporacja robotnicza oraz odbiorców delegowała by do rady nadzorczej po  $\frac{4}{10}$  jej członków a  $\frac{2}{10}$  jej mianował by minister przemysłu i handlu. Dyrekcję zaś mianowała by rada nadzorcza. Zawsze jednak powinien wchodzić do niej delegat korporacji robotniczej.

Z pewnością udział delegatów korporacji robotniczych w radach nadzorczych i dyrekcjach tego rodzaju spółdzielni przyczyniłby się silnie do zwiększenia w nich wydajności pracy i pomniejszenia kosztów nadzoru. Ale do tego trzeba będzie dwóch postanowień: 1) 40 procent czystego dochodu idzie do podziału między właścicieli udziałów robotniczych, 2) maksymalna dywidenda dla udziałowców wynosi 5 procent (przyjmując stopę eskonta weksli na 3 procent), a przewyższający ją dochód poza odliczeniami na kapitał rezerwowo, amortyzację urządzeń i techniczne ulepszenia, idzie na budowę domów robotniczych. Domki te powinny być budowane przez korporację robotniczą i być zasadniczo jej własnością, z tym jednak, że dozwolone byłoby członkowi jej, który chciałby nabyć domek na własność, spłaceniu kosztu jego budowy przez uiszczanie w ciągu szeregu lat odpowiednio większego komornego.

Podobnie przejęte od Niemców budynki i urządzenia przedsiębiorstw pozostawały w zasadzie własnością państwa, a spółdzielnie byłyby wieczystymi ich użytkownikami opłacającymi skarbowi państwa umiarkowany czynsz dzierżawny, z którego powstałby fundusz państwowy na popieranie dalszej rozbudowy odnośnych gałęzi przemysłu. A wobec tego kapitał udziałowy tego rodzaju „spółdzielni fabrycznej“ czy „górnicy“ byłby o wiele mniejszy, niż w spółkach akcyjnych. Właściwie niewiele co przewyższałby on sumę potrzebnego dla jej funkcjonowania kapitału obrotowego wraz z funduszem amortyzacyjnym. Wobec tego nie będzie trudno znaleźć nabywców udziałów takich spółdzielni nawet wśród właścicieli drobnych przedsiębiorstw będących jej odbiorcami, oraz spłaceniu do 10 lat przez korporację robotniczą wartości przypadających na nią 40 procent udziałów. Oczywiście przy organizowaniu spółdzielni będzie koniecznym udzielenie korporacji kre-

dytu i odpowiednio do obciążenia zarobków robotniczych spłatami tego kredytu będzie musiała być unormowana wysokość płac roboczych.

W ten sposób będziemy w stanie od razu w pierwszych paru latach po odzyskaniu wolności uwłaszczyć stokilkadziesiąt tysięcy robotników przemysłowych.

A w ciągu dalszych 20 lat będzie można doprowadzić do udziału we współwłasności zakładów przemysłowych i ich kierownictwie, oraz do posiadania własnych trzy lub cztero izbowych mieszkań z kawałkami gruntu, ogół robotników, by nie było w Polsce ludzi pracowitych i rządnych, którzy by przez całe swe życie, pomimo swej pracowitości i oszczędności byli tylko biernymi wykonawcami cudzych rozkazów w cudzych przedsiębiorstwach.

Jedną z głównych dźwigni szybkiego uprzemysłowienia Polski będzie planowe przez państwo inicjowanie, a częściowo i organizowanie zapotrzebowania prac inwestycyjnych oraz ich finansowanie.

Z jednej strony jest to poważnym niedomaganiem naszego życia, że dopiero teraz pod koniec pierwszej połowy XX wieku wejdziemy na drogę rozwoju naszych sił wytwórczych w tym stopniu, w jakim istnieją one w Niemczech już od co najmniej pół wieku, że więc jesteśmy mocno zapóźnieni w naszym postępie ekonomicznym.

Z drugiej jednak strony fakt, że dopiero teraz wytworzymy znaczną większość naszego przemysłu (bo za 20 lat powinniśmy mieć co najmniej dwukrotnie więcej zatrudnionych w nim osób, niż było w r. 1939) pozwala nadać mu lepsze formy organizacyjne od tych, jakie wytworzył był w zachodniej Europie rozwój kapitalizmu w okresie najsilniejszego swego rozkwitu, t. j. w drugiej połowie ubiegłego wieku.

Nie sądzę, aby należało w tym celu narzucić drogą ustawowego przymusu jedną jakąś formę organizacyjną np. opisaną powyżej spółdzielni. Szybkiego uprzemysłowienia kraju nie osiągniemy, jeśli nie wytworzymy w krótkim przeciągu czasu licznej warstwy przedsiębiorstw. A różne są u różnych ludzi zdolności. Są ludzie doskonale umiejący pracować zespołowo, ale tylko z osobami równymi im stopniem umysłowej i obyczajowej kultury. Są inni, którzy są znakomitymi kierownikami nielicznych grup od-



powiednio dobranych pracowników, z którymi złączy ich wzajemne zaufanie — ale którzy nie potrafią organizować wielkich mas ludzkich. Są też wysoce utalentowani, ale samowładni organizatorzy — którzy mogą być tylko kierownikami własnych indywidualnych przedsiębiorstw. Są typowi współdzielcy i typowi dyrektorowie akcyjnych spółek.

W ustroju społeczno-gospodarczym opierającym się na prywatnej przedsiębiorczości istnieją zawsze obok siebie równocześnie wszystkie niemal typy zakładów przemysłowych, jakie wytwarzały się lub były przejmowane z zewnątrz w ciągu całej historii danego narodu. Nie sprzyja postępowi ekonomicznemu zbyt duża jednolitość organizacyjnych form gospodarczej współpracy.

Ale w pewnych okresach historycznych szczególnie korzystnym bywa rozwój jednego, czy paru określonych typów przedsiębiorstw.

Obecnie najbardziej będzie u nas pożądanym jaknajszersze upowszechnienie się przedsiębiorstw średnich, powoływanych do życia przez pojedynczych organizatorów, czy nieliczne grupy wspólników, dobierających do współpracy z sobą zespoły kilkunastu lub kilkudziesięciu robotników, którzy stopniowo będą wchodzić we współwłasność odnośnych zakładów przemysłowych i uzyskiwać głos w ich kierownictwie.

Ten typ przedsiębiorstw powinien być szczególnie silnie popierany przez państwo i samorządy komunalne. A najskuteczniejszym dlań poparciem będzie udzielanie tego rodzaju zakładom przemysłowym pierwszeństwa zarówno przy zamawianiu odpowiednich prac lub towarów, jak i przy udzielaniu kredytów.

Co się zaś tyczy dużych ściśle indywidualnych oraz wielkich akcyjnych przedsiębiorstw — to nie będzie niemożliwym za lat kilka po usunięciu spowodowanego wojną zniszczenia sił gospodarczych kraju — ustawowe nałożenie na nie obowiązku, przeznaczania części czystego dochodu na budowę domów robotniczych, oraz dopuszczenia do współpracy w ich kierownictwie przedstawicieli robotników.

A już od pierwszej chwili odbudowując nasze miasta trzeba będzie niedopuszczać do stawiania znów przez pry-

watnych niezbyt sumiennych przedsiębiorców, tandetnych koszarowych kamienic z jednoizbowymi, a najwyżej dwuizbowymi mieszkaniami, bez należytych higienicznych urządzeń — a natomiast tworzyć specjalne dzielnice niewielkich solidnie budowanych domków z dwoma mieszkaniami, złożonymi z 2 do 3 pokoi z kuchnią, łazienką, kanalizacją, wodociągiem i oświetleniem elektrycznym lub gazowym. Dzielnice takie powinny by budować samorządy miejskie, przy współdziałaniu jednak spółdzielni mieszkaniowych robotniczych, rękodzielniczych i drobno-urzędniczych z tym, że normą będzie wydzierżawienie mieszkań na warunkach ułatwiających lokatorom nabycie ich na własność ratalnymi spłatami przez dłuższy szereg lat rzeczywistego kosztu ich budowy.

Powszechnie jest dziś wśród nas dążenie do jaknajszybszego uprzemysłowienia Polski. Powszechna jest też troska o polepszenie wyglądu miast i życia w nich, szczególnie warstwy robotniczej. Ale pomimo najintensywniejszego uprzemysłowienia Polski najprawdopodobniej za życia rozpoczynającego obecnie pracę zawodową pokolenia rolnictwo będzie źródłem utrzymania nadal około 20 milionów naszych obywateli. A i za 40 lat — 20 milionów stanowić będzie u nas około 38% ludności.

Nie należy przy tym utożsamiać procentu ludności rolniczej z procentem ludności wiejskiej. Po wsiach mieszkają nie tylko rolnicy. I im kraj jest bardziej uprzemysłowiony, tym stosunkowo jest więcej po wsiach kupców, rękodzielników, właścicieli i pracowników drobnych i średnich fabryczek. Oczywiście dopóki powyżej 40% naszej ludności stanowić będzie ludność rolnicza — wsie o przewadze pracowników nierolniczych trafiać się będą w Polsce wyjątkowo i gospodarczą podstawą ogółu naszych gmin wiejskich będzie praca na roli. W orbicie też kultury chłopskiej, rolniczej żyć będą nie tylko w najbliższych dwóch dziesięcioleciach, ale daj Boże i zawsze, również czerpiący główny swój dochód z pracy w nierolniczych zawodach mieszkańcy wsi.

Poprzednio już wskazywałem, iż jednym z naczelných zadań naszej gospodarki planowej powinno być jaknajbardziej równomierne uprzemysłowienie całego kraju, a nie tworzenie tylko kilku wielkich centrów przemysłu-



wych — oraz wspomaganie rozwoju przede wszystkim średnich i drobnych, indywidualnych i spółdzielczych fabryczek i warsztatów, tak by co najmniej 60% pracowników przemysłowych zarabiałoby w przedsiębiorstwach zatrudnionych poniżej 50 osób. W takim razie wszakże znaczna część przyrostu ludności wiejskiej, choć będzie pracować w nierolniczych zawodach, pozostawać będzie w swych wsiach rodzinnych. A gdy we Francji w 1910 roku było około pół miliona pracowników przemysłowych, wytwarzających we własnych mieszkaniach towary dla wielkich przedsiębiorców czy spółdzielni — więc i my możemy mieć równą lub nawet większą ilość osób zatrudnionych w przemysłach domowych. Trzeba tylko będzie przez odpowiednią organizację kooperatywną ochronić ich od wyzysku wielkokapitalistycznych „pracodawców“. I przeważna część pracowników tego przemysłu domowego będzie mogła żyć nadal po wsiach, pozostając nawet częściowo w domach swych rodziców — gospodarzy rolnych.

Jeśli by do końca XX wieku przyrost naszej ludności był ten sam co w ostatnich przed wojną latach — w dotychczasowych granicach Polski za lat 58 mielibyśmy 55 milionów mieszkańców. Ale że wraz ze wzrostem potrzeb cywilizacyjnych rozrodczość narodu zwykle słabnie, prawdopodobnie ta cyfra będzie mniejsza i nie będzie przewyższać 50 milionów.

Pożądane jest i możliwe, by z tych 50 milionów dwadzieścia parę milionów to jest 40 do 50 procent żyło nie tylko po wsiach, lecz i życiem wiejskim, w związku z przyrodą i z całą umysłową i uczuciową kulturą pracowników rolnych.

Ma niewątpliwie duże zalety kultura miejska. Ludność miejska jest na ogół ruchliwsza, bardziej przedsiębiorcza od wiejskiej i nowe prądy myślowe rodziły się przeważnie w miastach. Ale nie jest dziełem przypadku, że gdy nadto zmaleje procent ludności wiejskiej, jak np. w Wielkiej Brytanii — powstaje w miastach zwyczaj wyjeżdżania z nich na wieś na „koniec tygodnia“. Instynktownie broni się w ten sposób naród przed utratą związku z ziemią i z przyrodą. W zgiełku miejskim, w natłoku zmieniających się co chwila na ulicach wielkich miast wrażeń zatracają się rozważa, chroniąca przed demagogią i realizm myśle-

nia, zabezpieczający od przyjmowania złudnych wniosków zręcznej dialektyki. Żywszy jest ruch myśli w miastach — ale zdrowszy jest sąd ludności wiejskiej. A co jeszcze ważniejsze — tylko po wsiach i małych miasteczkach istnieje silna moralna opinia. Wielkie miasto działa pod tym względem jak dżungla. Zrobił paskudztwo na Mokotowie, przeniósł się na Pragę — i nadal jest szacownym obywatelem. Jeśli wszakże Polska ma spełnić swą dziejową rolę, jeśli ma się stać ostoją trwałego, opartego na moralności chrześcijańskiej pokoju cywilizacyjnego postępu narodów środkowej Europy — to bardziej jeszcze, niż o rozwój sił naszych materialnych musimy dbać o naszą siłę moralną, by nie tylko nie słabła, ale potężniała.

Jesteśmy wszyscy głęboko przekonani o stanowczym zwycięstwie narodów sprzymierzonych. I wiemy na pewno, że zwycięstwo to przywróci nam niepodległość. Ale byłoby wielce niebezpiecznym łudzenie się, że po zwycięstwie tym będzie Polska miała zapewnione sobie na zawsze spokojne życie. Pokój zapewnia tylko stałe jego pilnowanie. A pilnować go skutecznie może tylko ten, kto ma dostateczną dla zwycięskiego odparcia wszelkiej napaści siłę. Więc Polska musi być mocna. A najmocniejszą będzie — gdy istnieć w niej będzie równowaga sił duchowych wsi i miasta. I dlatego powinniśmy tak prowadzić naszą powojenną politykę ekonomiczną i społeczno-kulturalną, by stale około połowy naszej ludności stanowiła ludność wiejska.

Przeczytawszy te słowa niejeden z czytelników, co całe życie spędza w dużym mieście, zawoła: czyż więc mamy zostawać ciągle w tyle za postępowaniem zachodnio-europejskim, który jest przecie dziełem miast.

To prawda — dzisiejszą kulturę zachodnio-europejską stworzyły przede wszystkim miasta, ale niesłusznym było by wyprowadzanie stąd wniosku, że postęp cywilizacyjny może dziś tworzyć tylko ludność miejska.

Najsilniejszy w ostatnich 50 latach pęd ku górze, najuporczywsze wysiłki dla dźwignania się na coraz wyższe szczeble drabiny społecznej, wykazał u nas lud włościański. We wszystkich naszych warstwach społecznych stwierdzić możemy w ciągu ubiegłego półwiecza niewątpliwy postęp. Ale gdy 50 lat temu poziom życia kulturalnego, oświaty i wyrobienia obywatelskiego był o wiele wyższy wśród re-



kodzielników miejskich i drobnego kupiectwa niż wśród robotników przemysłowych, a u tych ostatnich niż wśród włościan, w znacznej większości nie umiejących podówczas czytać i pisać i obojętnych na sprawy ogólnonarodowe, nie wyłącznie wiejskie — to dziś bodaj czy nie góruje świadomością społeczno-polityczną nasze włościanstwo i nad proletariatem fabrycznym i nad mieszczaństwem południowych i centralnych województw. Żadna inna warstwa społeczna nie zdobyła się u nas w ostatnim dziesięcioleciu na akt polityczny tej miary i tej wartości narodowo-państwowej, co Nowosielce. Kiedykolwiek i gdziekolwiek u nas schodzili się i zjeżdżali w większej liczbie ziemianie, kupcy, rękodzielnicy, robotnicy — zawsze wśród ich postulatów pierwsze miejsce zajmowały żądania dotyczące ich klasowych czy zawodowych interesów. A w Nowosielcach zjazd przeszło 100 tysięcy chłopów przedłożył „drugiej osobie w Państwie“ marszałkowi Rydzowi żądania domagające się jedynie i wyłącznie naprawy Rzeczypospolitej. Ani słowa o krzywdach czy potrzebach chłopskich.

A tak zwany „strajk chłopski?“

Kto zna życie naszych małorolnych — ten wie, jak wielkie ma dla nich znaczenie każda złotówka uzyskana ze sprzedaży ich produktów w miastach i miasteczkach. I oto parę milionów włościan przede wszystkim w Małopolsce, tam właśnie gdzie co drugie gospodarstwo ma mniej, niż dwa hektary ziemi — wyzbywa się przez tydzień tego tak koniecznego dochodu, by zademonstrować swe domaganie się rządów naprawdę parlamentarnych. Głupio i podle prasa sanacyjna i nie tylko sanacyjna insynuowała wówczas, że strajkiem tym kierują komuniści. A tymczasem, choć chłopci mogli mieć niejedną słuszną żal do obszarników, którzy niemal powszechnie popierali rządy „pułkowników“ — nie było ani jednego wypadku jakiegoś nieprzyjaznego wystąpienia przeciwko dworom. Rząd Sławoja-Składkowskiego przeprowadził „pacyfikację“ metodami drakańskimi. Ale postawa włościan w czasie tej pacyfikacji była taka, iż parę miesięcy potem wojewoda lwowski, Belina-Prażmowski, mówił mi, że moralnymi zwycięzcami byli jednak chłopci, a nie policja i sądy.

I jakże pouczające są wydane u nas kilka lat przed wojną autobiografie działaczy wiejskich i opisy małorolnych

gospodarzy. Autorzy ich stale piszą, że posiadają połowę lub jedną trzecią gruntu, jaki mieli ich ojcowie — ale mają prokrotnie większe zbiory dzięki lepszej gospodarce. Postęp wiedzy rolniczej szedł u nas po wsiach, poczynając od dziewięćdziesiątych lat ubiegłego wieku znacznie szybciej od przyrostu ludności i dzielenia gruntu.

Włościanstwo nasze nie tylko wszakże szybkością swej ekspansji kulturalnej góruje dziś nad innymi warstwami. Co niemniej ważne — zespala ono również bardziej, niż jakakolwiek inna warstwa swe rodzinne i stanowe ambicje z ekspansją gospodarczą, cywilizacyjną i polityczną całego narodu i państwa. Bo doszła dziś wieś nasza już do kresu swej samowystarczalności. Dalsze dzielenie gruntów spowodziłoby obniżenie jej skali życiowej. Rozumie to doskonale ogół włościanstwa — to też nie szczędzi największych wysiłków, by dać dzieciom nierolniczy fach w ręce. Są wsie, które co roku dawały po kilku, a niekiedy i kilkunastu studentów lwowskim wyższym zakładom naukowym. O wiele naturalnie liczniejszy jest przyływ ze wsi młodzieży do rzemiosła, handu, fabryk, przedsiębiorstw transportowych. W miastach słabszy jest przyrost naturalny ludności, niż po wsiach. Mimo to, gdy w całym kraju od 1921 po 1939 ludność powiększyła się o 29% — to w 14 największych miastach wzrosła ona u nas 54%. Imigracja do nich ze wsi wyniosła w ciągu tych 18 lat około 700 tysięcy ludzi. To też nie ma prawie wsi, któraby nie dostarczyła młodzieży czy do stanu duchownego, czy do któregoś z urzędów państwowych, czy do wojska, marynarki, rzemiosła, górnictwa, przemysłu fabrycznego, na stanowiska i robotników i majstrów i dyrektorów. A że wieś to nie arytmetyczna tylko suma gospodarstw, lecz organiczna całość ze zbiorową opinią — więc nie tylko poszczególne rodziny włościańskie ale cała wieś ma zazwyczaj uczuciowy i myślowy związek z najprzeróżniejszymi innymi warstwami społecznymi. Nie ma żadnego innego stanu, któryby tak jak stan włościański zasilał swą młodzieżą wszystkie inne warstwy naszego narodu. Nie zawsze tak było. Jeszcze w pierwszych latach ubiegłego stulecia chłopci stanowili tak w sobie zamkniętą i oddzieloną od reszty narodu przez niską skalę życiową i ciasnotę swych pojęć warstwę — że ogromna większość inteligentów po-



chodzenia włościańskiego zmieniała nazwiska, by zerwać łączność ze wsiami rodzinnymi. Niejednokrotnie w 1902 i 1903 roku rozważaliśmy z Franciszkiem Bujakiem, wówczas jak i ja docentem Wszechnicy Jagiellońskiej, jak temu zaradzić. Ale szybki i duży następnie wzrost dobrobytu wsi naszej przede wszystkim dzięki dużym zarobkom emigracyjnym dał włościanstwu poczucie własnej siły, a z poczucia własnej siły powstał pęd ku górze, dążenie do zapewnienia dzieciom wyższej skali życiowej i pozycji społecznej. Jest to ogromnie doniosłe dla całej naszej przyszłości, że imigracja nasza ze wsi do miast, która w drugiej połowie ubiegłego wieku była przede wszystkim wędrówką „za chlebem”, bo go w chatach włościańskich brakowało — w XX stuleciu staje się coraz bardziej prądem ekspansji kulturalnej włościanstwa, które kieruje coraz liczniejszą młodzież do wszelkich innych zawodów i stanów dla zdobywania w nich wyższych i możliwie najwyższych stanowisk w hierarchii społecznej.

*Trzeba jasno sobie uświadomić te dwa fakty; pierwszy, że warstwą najbardziej dziś związaną wszystkimi swymi życiowymi dążeniami z postępem siły i dobrobytu całości narodowo-państwowej jest nasze włościanstwo, i dlatego myśli i czuje najbardziej patriotycznie, i drugi — że po wsiach są najsilniejsze źródła zasilające wszystkie warstwy narodu żywą siłą młodzieży żądnej dźwigania siebie i całej Polski coraz bardziej w górę.*

I dlatego jednym z naczelnych zadań naszej narodowo-społecznej polityki musi być zabezpieczenie Polski przed wyczerpywaniem się i słabnięciem tych źródeł. Wzrost dobrobytu wsi, w ostatnim przed wojną światową ćwierćwieczu zrodził dzisiejszą ekspansję cywilizacyjną i polityczną włościanstwa. Nie tylko wszakże w razie zbiednienia wsi po wojnie, ale i dłuższego zastoju jej gospodarczego i kulturalnego postępu — obniżyłby się niechybnie poziom ambicji i zainteresowań ogółu włościan do troski o chleb powszedni dla własnych rodzin.

*Więc jedną z naczelnych zasad naszej przyszłej gospodarki planowej powinno być jednocześnie i na równi z uprzemysłowieniem Polski, jej elektryfikacją, rozbudowaniem nowoczesnego systemu komunikacji — podniesie-*

*nie do jaknajwyższego poziomu majątku, dochodu i cywilizacyjnego życia wsi polskiej.*

Nie można powiedzieć sobie: skoncentrujemy na razie wszystkie nasze wysiłki na jaknajszerszym uprzemysłowieniu Polski, bo gdy to się stanie, samorzutną tego konsekwencją będzie wzrost dobrobytu i rolnictwa. Byłoby to może słusznym, gdyby nasze włościanstwo było warstwą kulturalnie bierną, ale jest wręcz przeciwnie — zasila ono dziś cały naród swą życiową ekspansją. To też jest rzeczą najwyższej wagi, by wieś dawała zawodom miejskim od pierwszej po wojnie chwili możliwie najlepszy materiał ludzki, młodzież energiczną, pracowitą, z jaknajbardziej wszechstronnymi zainteresowaniami intelektualnymi i z jaknajwyższym poczuciem osobistej godności. Pierwszym tego warunkiem — jest przyzwoite odżywianie się dzieci i po chatach wiejskich i następnie w czasie nauki w miastach. A wiele było na naszych uniwersytetach studentów, których nie stać było na najtańszy obiad w stołówce akademickiej. Znałem takich, których jedynym pożywieniem były przywołone co pewien czas z domu ziemiaki i woreczek pencaku. Jakże się dziwić że zdawali egzamina na ledwo dostatecznie.

Chcemy wszyscy dorównać coprędzej siłami wytwórczymi kraju zachodnim sąsiadom. Koniecznym jest wszakże dla tego dorównania im przede wszystkim przedsiębiorczością myślową. A dlatego znów trzeba, byśmy co prędzej dorównali im poziomem kulturalnego życia: odżywiania się, urządzenia mieszkań, czytelnictwa w rodzinach włościańskich.

Trzy są naczelne przyczyny dzisiejszego zbyt niskiego poziomu cywilizacyjnego życia naszego włościanstwa: po pierwsze nadmiar małorolnych, gospodarczo niesamodzielnych gospodarstw, po drugie — zbyt mała wydajność naszych pól, obór, chlewni i kurników, po trzecie — zbyt niskie ceny produktów rolniczych w porównaniu z cenami przetworów przemysłowych.

By zapobiec pierwszemu z tych niedomagań — trzeba a) położyć stanowczo kres dalszemu dzieleniu gospodarstw przez dostarczenie całemu przyrostowi ludności wiejskiej zatrudnienia i przyzwoitego zarobku w nierolniczych za-



wodach, jako też przez odpowiednią reformę prawa spadkowego, b) zwiększyć procent gospodarstw posiadających dość ziemi dla wyżywienia rodziny włościańskiej t.j. w zwyż 5 hektarów — z obecnych 36% na 70%.

Niemniej wszakże koniecznym od powiększenia ogólnej przestrzeni gruntów włościańskich jest również zwiększenie dochodu z hektara gospodarstw chłopskich. Przeciętny dochód brutto z hektara w latach 1930 — 1935 wynosił w Polsce 260 złotych, w Szwecji zaś 659 złotych, w Niemczech 808 złotych, w Holandii 843 złote, a w Danii 913 złotych. Nie mamy tak korzystnego klimatu jak Holandia i Dania, czy Nadrenia, ale mamy lepszy niż Szwecja. Więc nie jest niemożliwe trzykrotne niemal podniesienie wydajności naszych gospodarstw rolnych, a tym samym i skali życiowej wsi. Niezbędne jest jednak dlatego jak najszybsze a) skomasowanie gruntów włościańskich, b) wydrenowanie większości naszych pól, c) należyte zagospodarowanie pastwisk gminnych, d) doprowadzenie do należytego stanu dróg wiejskich, e) zaopatrzenie ogółu gospodarstw w nowoczesne budynki i urządzenia gospodarcze: obory, chlewnie, gnojownie, silo na kiszonki, f) organizowanie na wielką skalę spółek włościańskich dla wspólnego zakupu i użytkowania maszyn rolniczych ulepszających uprawę gruntów, h) wprowadzenie uzupełniających dla młodzieży wiejskiej po ukończeniu szkoły powszechnej kursów rolniczych, których należyte ukończenie byłoby niezbędnym warunkiem objęcia gospodarstwa w spadku po rodzicach. To wszystko znów wymagać będzie specjalnej, różnej od finansowania rozbudowy przemysłu, akcji kredytowej. Na razie stwierdzam, że naprawdę korzystnym będzie dla włościan forsowne meliorowanie i inwestowanie swych gospodarstw przy pomocy kredytu — tylko wtedy, gdy stopa procentowa wraz z amortyzacją nie będzie przewyższać 3% i spłata procentu oraz rat amortyzacyjnych zaczynać się będzie dopiero po kilku latach, gdy odnośnie melioracje i inwestycje podniosą już należycie dochody.

I koniecznym jest również zabezpieczenie naszej wsi przed wywoływanymi wahaniami koniunkturalnymi na światowych giełdach spadkami cen produktów rolniczych poniżej nieraz ich kosztów produkcji. Musimy zapewnić naszym rolnikom stałość i opłacalność cen zbożowych

i w tym celu zorganizować oparty o Izby Rolnicze monopol handlu zbożem.

Powszechnym jest dziś w wysoce uprzemysłowionych krajach zjawiskiem szybki spadek nie tylko procentu lecz absolutnej liczby ludności wiejskiej. Musimy uchronić przed przed nim Polskę, musimy, uprzemysławiając forsownie nasz kraj, nie wyczerpać jednak tego rezerwuaru energii i zdrowia moralnego narodu, jakim jest wieś i rolnictwo.

Ale jedna jest tylko na to naprawę rada: zrównać skalę życiową ludności wiejskiej ze skalą życiową średnio zamożnego mieszczaństwa. Praca na roli powinna dawać ten sam dochód, co praca w warsztacie rzemieślniczym czy w fabryce. Ku temu powinna zmierzać nasza planowa gospodarka narodowa od pierwszej chwili po wojnie.

\* \* \*

Wieś nasza przeszła już dotychczas przez trzy wielkie przebudowy. Pierwszą z nich to było przejście jej na t. zw. „prawo niemieckie“ w 13. stuleciu. Pierwotnie bowiem składała się ona z zagród, posiadających formę, zbliżoną do koła lub wielokątów, z leżącymi po środku budynkami. Jak na to wskazują nazwy najstarszych naszych wsi: Raclawice, Oszkowice, Śmiłowice, Orenice, Stanisławice... były to nasamprzód osiedla potomków jednego wspólnego przodka: Raclawa, Oszka, Śmiła, Orana, Stanisława itd. Gdy się rodzina silnie rozrastała — część synów opuszczała gospodarstwo ojcowskie i zakładała w najbliższym sąsiedztwie nowe dla siebie zagrody. A że uzyskiwano grunta orne przeważnie przez wypalanie puszczy, więc miały one wskazaną już formę nieregularnych kół. Były wprawdzie już za Mieszka I. i Chrobrego wsie niewolne, złożone najprawdopodobniej z osadzanych na ziemiach książęcych jeńców wojennych. Ogół jednak wiejskiej naszej ludności składał się niewątpliwie z ludzi wolnych, siedzących na swych własnych zagrodach i uiszczających tylko księciu, a potem królowi, pewne powinności w naturze. Ale w drugiej połowie XI wieku ustala się przejęta z zachodniej feudalnej Europy zasada, że cała niezajęta przez poszczególnych właścicieli ziemia kraju jest własnością monarchy. A panujący



szczególnie po Kazimierzu Odnowicielu rozdają ją hojnie biskupom, klasztorom, swym urzędnikom i rycerzom. Za Chrobrego drużyny jego składały się z wojowników, uzbrajanych, odziewanych i żywionych z dochodów monarszych gospodarstw. Za Śmiałego większość drużynników posiadała własne dwory. I dlatego śpieszno im było wracać z Kijowa do domu. Szybko zanikała niczyja puszcza, w której każdy mógł zakładać dowolnie swą osadę. Wychodzący z ojcowskich gospodarstw synowie — osiadali już w XII wieku przeważnie na cudzych, „pańskich” ziemiach. Ale że panowie ziemi o tyle mieli z niej pożytek — o ile osadzali na niej kmieci, gotowych z oddanych im do użytku gruntów uiszczać pewne daniny — więc było duże zaofiarowanie ziemi, przewyższające znacznie zapotrzebowanie jej ze strony niewielkiego wówczas naturalnego przyrostu naszej ludności. Toteż uiszczane panom ziemi „powinności” były bardzo małe. Ten ich jednak niski stan, ta „taniość” nowych w Polsce osiedli — poczęła na przełomie XII i XIII stulecia przyciągać coraz liczniejszych przybyszów z Niemiec. Na kilkadziesiąt już lat przed najściem Mongołów na Polskę istniała silna na Śląsku kolonizacja niemiecka. Stosunek zapotrzebowania do zaofiarowania ziemi zaczął się zmieniać na korzyść jej panów. Nastąpiło powszechne podnoszenie powinności do poziomu istniejącego we wsiach osadników niemieckich. Ale wraz z tym do niemieckiego wzoru dostosowuje się cała organizacja nie tylko nowo zakładanych, lecz i dawniejszych polskich osiedli wiejskich. Zabudowuje się wieś po obu stronach biegnącej poprzez nią drogi. Grunta uprawne dzieli się na trzy pola, kolejno obsiewane oziminą, zbożami jarymi i w trzecim roku odpoczywające (ugorowane), przy czym w każdym z tych pól wydzielane są dla każdego z pojedynczych gospodarstw pasy ziemi, biegnące przez całą ich długość. Wieś podlega zwierzchniemu sądownictwu dziedzica, ale ma swój sąd ławniczy. A na straży jej porządku prawnego, jak również przestrzegania przez obie strony, pana i włościan, postanowien „umowy osadniczej” (lokacyjnej), stoi sołtys, posiadający dwu albo trzykrotnie większy od normalnego nadział ziemi i odbywający tylko powinność wojskową, ale nie uiszczający żadnych danin ani robocizn i niewiele co różniący się trybem życia od zwykłego rycerza. Choć nieco

już zwiększone po przejściu na „prawo niemieckie“ — powinności kmiecie były wciąż jeszcze niewielkie. Normalnie nie dochodziły do jednego dnia w tygodniu pracy z „łanu“, (około 15 ha). W wielkiej przeciętnej za Kazimierza Wielkiego włościanin „poddany“, siedzący na pańskiej ziemi, obowiązany był do odrobienia panu około połowy tej przestrzeni ziemi, jaką sam posiadał, oraz do pozostawienia po sobie na posiadanym gospodarstwie jednego ze swych synów (reszta mogła swobodnie wieś opuścić), ale też zapewnione miał za to sobie dziedziczne swego gospodarstwa posiadanie. Przy tym była jeszcze wówczas pokaźna ilość „chłopów-dziedziców“, siedzących na własnej ziemi, oraz pośrednią między nimi a szlachtą stanowiących warstwę „włodyków“ i „scartabellów“. Nie byli też ówczesni kmiecie bierną warstwą w narodzie. Mieli oni poważny obok duchowieństwa i rodów szlacheckich udział w zjednoczeniu Polski za Łokietwa.

W drugiej połowie XV i początku XIV wieku dokonała się druga przemiana wsi — niestety na szkodę włościan, a choć początkowo korzystna dla panów, w dalszych swych konsekwencjach jednak fatalna i dla nich i dla całej Polski. Po pokoju toruńskim, który dał nam ujście Wisły, zaczął szybko wzrastać eksport zboża do zachodniej Europy. Wzrost zapotrzebowania na produkty rolnicze na rynkach krajowych w ówczesnej Francji, Anglii i Niderlandach, wskutek silnego rozkwitu miast, dał przewagę tamtejszym gospodarstwom włościańskim nad folwarcznymi. Panowie zachodnio-europejscy chętnie godzili się na ofiarowywaną im przez chłopów zamianę robocizn na czynsze pieniężne i rozdawali im w dzierżawę grunta folwarczne. Ale u nas wzrosło zapotrzebowanie zboża dla rynków zagranicznych. Chłop jednak nie mógł wysyłać do Gdańska swych kilku korcy zboża. Mógł to robić tylko właściciel folwarku, będący w stanie załadować swym zbożem co najmniej parę tratów. Wytworzyła się sytuacja sprzyjająca przede wszystkim rozwojowi gospodarki folwarcznej. Szlachta wykupiła sołectwa, większość kmieci-dziedziców i włodyków przeobraziła się w szlachtę zagrodową — a masa chłopska stopniowo coraz bardziej schodziła ze stanowiska gospodarczo-samodzielnych, dziedzicznych posiadaczy (choć nie właścicieli) gruntów, do roli wynagradzanych



jedynie używalnością coraz mniejszych kawałków ziemi robotników folwarcznych. A najbardziej pogorszył się stan włościan po wojnach szwedzkich. W końcu XVIII wieku niewiele zostało gospodarstw łanowych. Przeważały gospodarstwa pól łanowe (6 do 8 ha). A niemało było i „ćwierćrolników“ oraz „zagrodników“, posiadających od 2—3 ha. Pańszczyzna zaś była przeciętnie w zachodnich i środkowych województwach przeszło trzykrotnie większa niż za Zygmunta Starego. Naczelną przyczyną tego wzrostu pańszczyzn — było dzielenie gospodarstw włościańskich przez spadkobierców. Nowo bowiem brane pod uprawę ziemie były przyłączane całkowicie niemal do folwarków. Ogólna przestrzeń gruntów chłopskich nie powiększała się — ale ludności włościańskiej przybywało. A na tym większe jej nieszczęście ustał w tym samym mniej więcej czasie rozwój naszych miast. Cały niemal przyrost ludności wiejskiej żyć musiał nadal z pracy na roli. Więc po śmierci gospodarza synowie jego zwracali się do dziedzica o zezwolenie na podział ojcowiskiej zagrody. Pan zaś zgadzał się na to pod warunkiem, że każdy z synów odrabiać mu będzie na polach folwarcznych mniej więcej tyle, co ojciec. Bo tych pól folwarcznych przybywało. Ale mimo to nie przybywało dworom dochodu, a Polsce plonów. Wręcz przeciwnie — chłop zbiedniały pracował coraz gorzej. Przy tym folwark, przrzuciwszy całą uprawę pól na pańszczyźnianych gospodarzy — pozbył się własnego inwentarza. A wobec tego coraz gorsze było nawożenie gruntów folwarcznych. I w wyniku tego wszystkiego eksport zboża z Polski w końcu XVIII wieku był dwukrotnie mniejszy niż na początku XVI stulecia. Co zaś najgorsze — w XVIII wieku zmalał szalenie przyrost ludności w Polsce. Miał wielką rację Korzon, upatrując w tym jedną z głównych przyczyn upadku mocarstwowego znaczenia Rzeczypospolitej w dobie Saskiej.

Może niejeden z czytelników w tej chwili sobie mówi: Po co w rozważaniach o przyszłości Polski tyle nam się mówi o Jej przeszłości? Czynień to jednak nie z profesorskiego tylko zwyczaju, ale dlatego, że z przytoczonych faktów płyną trzy niezwykle ważne wskazania dla naszego myślenia o przyszłości. Pierwsze — że nie ma prawdziwego postępu gospodarki włościańskiej bez wzrostu zapotrzebowania na jej plody na rynkach krajowych, bez podnosze-

nia się więc siły nabywczey miast. Drugie — że wieś musi biednieć, gdy cały przyrost jej ludności żyje z tej samej przestrzeni gruntów, co poprzednie pokolenia, gdy więc nie ma on odpływu albo na nowe tereny pracy rolniczej, albo do przemysłu, handlu i innych nierolniczych zawodów. A trzecim wskazaniem jest — iż egoistyczna klasowa polityka społeczno-gospodarcza nie tylko wyniszcza żywe siły narodu, lecz w ostatecznych swych konsekwencjach przynosi szkodę i tej warstwie, która ją uprawiała.

Ostatnim wielkim przeobrażeniem wsi było uwłaszczenie, przywracające znacznej większości włościan pierwotną ich rolę samodzielnych gospodarzy. A odzyskawszy niezależność od folwarków, chłopskie zagrody okazały się już po paru dziesięcioleciach gospodarczo od nich silniejszymi. Poczynając od dziewięćdziesiątych lat ubiegłego wieku chłopi wykupywali coraz bardziej grunta obszarów dworskich, płacąc za nie znacznie wyższe ceny, niż by mogła je należycie oprocentować gospodarka folwarczna. Reforma rolna nie stworzyła parcelacji — tylko ją unormowała, przyspieszyła jej tempo i zwiększyła jej rozmiary.

Uwłaszczenie zmieniło zasadniczo społeczne i gospodarcze położenie włościan. Wyzwolilo ono tłumione przez kilkaset lat poddaństwem i pańszczyzną siły życiowe masy drobnych rolników, które stworzyły dziś prąd ekspansji gospodarczej, kulturalnej i politycznej włościaństwa naszego, równie potężny jak ruch szlachecki 15 stulecia. (Bo ówczesna szlachta była też w porównaniu z rządzącym poprzednio Polską możnowładztwem — masą drobnych rolników). I poprawił się w ostatnich 50 latach stan zabudowań wiejskich. Z roku na rok przybywa też wsi skomasygowanych. Naogół jednak układ pól i typ chat oraz gospodarczych budynków włościańskich, za wyjątkiem byłego zaboru pruskiego, nie zmienił się po uwłaszczeniu. Wciąż jeszcze olbrzymia większość gospodarstw włościańskich składa się z rozrzuconych na przestrzeni całej wsi, odległych nieraz jeden od drugiego o parę kilometrów, długich, wąskich pasów ziemi. Wciąż jeszcze zagrody włościańskie przylegają ściśle jedna do drugiej po obu stronach drogi, przeważnie wyboistej, nadmiernie zacienionej, a wskutek tego błotnistej. I nadal przeważają po wsiach niskie, z małymi okienkami, w byłym Królestwie prze-



ważnie słomą kryte chaty, z dwiema, a najwyżej trzema mieszkalnymi izbami, z których jedna służy nie tylko za kuchnię i jadalnię, ale i za sypialnię i za warsztat pracy dla części członków rodziny. Marnuje się też ciągle jeszcze znaczna część nawozu z powodu braku należytych gnojowni. Na podwórku przed oborą stoją po każdym deszczu kałuże gnajówki, a obórki są duszne, ciemne, brudne.

Ale nie jest to wina niedbalstwa naszych włościan. Jeszcze przed poprzednią wojną spotykało się w Małopolsce wsie o dużej ilości raczej dworków, niż chat, krytych dachówką, niekiedy murowanych, albo zbudowanych z belek, obitych zewnątrz pionowo biegnącymi deskami, z ganczkami, dużymi oknami, o czterech izbach mieszkalnych i kuchni, odmiennych stylem ale nie gorszych od domów włościan czeskich czy szwajcarskich. Były to jednak wsie o silnej emigracji zarobkowej do Stanów Zjednoczonych. A gdy się widziało we wsi schludne, widne obórki i w nich utrzymane w doskonałej czystości krowy, przed chatami zaś ładne kwiatowe ogródki — można było iść o zakład, że ze wsi tej jeżdżą dziewczęta na zarobek do Danii. I dziś również w wielu wsiach wśród tradycyjnych naszych chałup zjawiają się tu i tam znacznie wyższe i obszerniejsze domy mieszkalne. Bez wyjątku jednak niemal budowane są za zarobione we Francji pieniądze.

Powszechnie wszakże wygląd wsi naszych nieco się tylko poprawia, pozostaje jednak zasadniczo ten sam co 100 lat temu — bo mimo szybszego niewątpliwie postępu wydajności gospodarstw włościańskich od ich rozdrabniania się wskutek działań spadkowych — nieuchronnych przy dotychczasowym przeludnieniu zawodu rolniczego — nie stać było włościaństwa naszego na gruntowną przebudowę *własnymi siłami* całej struktury wsi i gospodarstw wiejskich.

Jeśli jednak koniecznym jest — jak na to wskazałem — dla zachowania siły moralnej naszego narodu, by co najmniej do końca stulecia 40 — 50% naszej ludności żyło nadal po wsiach — to tym samym konieczne jest również zrównanie poziomu całego kulturalnego życia rodzin włościańskich, nie tylko odżywiania się, ale i mieszkania, a przede wszystkim dochodów ze skalą życiową średnio zamożnego mieszczanina.

A dla tego konieczna jest znów przebudowa całego układu pól, dróg wiejskich, rozmieszczenia zagród, domów mieszkalnych i zabudowań gospodarczych, a także metod uprawy roli i organizacji współpracy poszczególnych gospodarstw w obrębie wsi. Ambicją naszą narodową stać się winno, by wieś nasza przeszła obecnie w najbliższych po wojnie 20 latach równie gruntownie „na prawo zachodnio-europejskie“, jak przeszła była w 13 stuleciu na „prawo niemieckie“.

Ale choć niewątpliwie idą w tym kierunku jej dążenia, by doszła do tego własnymi siłami trzeba by co najmniej 80 a nie 20 lat, a jeśli długo jeszcze poziom kulturalnego życia będzie po wsiach o wiele niższy, niż w miastach, najlepsza, najenergiczniejsza część przyrostu ludności wiejskiej porzuci zawód rolniczy. Do tego dopuścić nie można. Więc tak samo jak uznaliśmy po poprzedniej wojnie za konieczne wspomóc, przyspieszyć i unormować ustawodawstwem i kredytem państwowym ruch parcelacyjny — tak samo po wojnie obecnej powinniśmy przez należytą inicjatywę i pomoc państwową przyspieszyć przebudowę całej materialnej struktury życia wiejskiego, do której samorzutnie już teraz co światlejsza część włościanstwa naszego dąży.

Przede wszystkim jednak trzeba dokończyć racjonalnie przebudowę ustroju rolnego, tak zwaną reformę rolną. Bo póki przeszło 60% naszych gospodarstw włościańskich nie będzie posiadać tej ilości ziemi, jaka jest konieczna dla wyżywienia rodziny chłopskiej przy jej obecnej bardzo niskiej skali życiowej — to większość włościan nie będzie w stanie skorzystać z najdogodniejszych nawet kredytów na przebudowę swych osad — gdyż nie będzie miała czym ich spłacić.

Nie posiadamy dokładnej liczby istniejących w chwili wybuchu wojny gospodarstw małorolnych. Nie da jej nam skorygowanie odpowiednich cyfr statystycznych z roku 1931 liczbami dotyczącymi przeprowadzonych z tytułu reformy rolnej parcelacji. Bo jednocześnie z powiększaniem się dzięki parcelacji liczby pełnorolnych gospodarstw, zwiększała się wskutek działów spadkowych ilość małorolnych. A liczby dokonanych po 1931 r. włościańskich działów spadkowych nie mamy. Co najmniej jednak koło 700.000



gospodarstw miało w 1939 r. poniżej 2 ha, a około miliona od 2 do 5 ha. Nieznaczna ich tylko część, leżących w pobliżu dużych miast, lub posiadających szczególnie urodzajne grunta dawała dochody, wystarczające dla utrzymania rodziny ich właścicieli. Więc mieliśmy w każdym razie przeszło  $1\frac{1}{2}$  miliona gospodarzo niesamodzielnych osad włościńskich.

Dotychczas sparcelowaliśmy już  $2\frac{1}{2}$  miliona hektarów, tworząc 154.000 nowych zupełnie gospodarstw (kolonii) i powiększając 503.000 osad przeciętnie o 2 ha, 65% nabywców gruntów stanowili małorolni. Zatem w ciągu ubiegłych 20 przedwojennych lat reforma rolna zapewniła samodzielność gospodarczą niespełna 500.000 małorolnym poprzednio gospodarstwom. Zgodnie z obowiązującą dziś ustawą o reformie rolnej, pozostaje do parcelacji jeszcze około  $1\frac{1}{2}$  miliona ha. Przeprowadzając parcelację nadal, w podobny jak dotychczas sposób, doprowadzilibyśmy do pełnorolności zaledwie jeszcze 300.000 osad chłopskich. A żeby mogła się dokonać pożądana przebudowa wsi — koniecznym jest, by co najmniej 70% gospodarstw włościńskich miało zwyż 4 ha ziemi. Jest to bowiem najniższa granica rozmiaru zdolnej do gospodarczego postępu osady. Wobec tego jednak trzeba upelnorolnić nie 300.000 ale co najmniej 800.000 małorolnych. Nie byłoby wcale racjonalnym ekonomicznie sparcelowanie doszczętnie całych istniejących jeszcze 5 milionów ha uprawnych gruntów folwarcznych. Równałoby się to bowiem doszczętnemu uusnieniu z zawodu rolniczego gospodarzy o wyższym akademickim wykształceniu, pozbawiając zarazem kraj większości producentów selekcyjnych nasion i hodowców zarodowego żywego inwentarza. Są nimi na zachodzie Europy nie tylko wprawdzie właściciele folwarków, lecz i wielorolni kmiecie, t. zw. w Niemczech Grosbauern. Ale tej właśnie warstwy poza Wielkopolską, Pomorzem i Śląskiem nie mamy prawie wcale. Może nam ją natomiast skutecznie zastąpić warstwa właścicieli drobnych 100 — 160 ha folwarków. A wtedy staną się zupełnie zbędne wielkie majątki ziemskie kilkuset — czy parutysięczno-hektarowe. Wystarczy zaś pozostawienie dla tych drobnych folwarków 8 — 10% rolnego obszaru kraju, t. j. od 2 — 2,  $\frac{1}{2}$  milj. ha, nowelizując ustawę o reformie rolnej, tak, by

zwiększała ona przeznaczoną na parcelację sumę hektarów o z górą milion.

Mielibyśmy w takim razie na upełnorolnienie małorolnych do dyspozycji jeszcze co najmniej  $2\frac{1}{2}$  milj. ha. i przez parcelację ich moglibyśmy doprowadzić zwyż 800.000 drobnych osad do zwyż 4-hektarowego rozmiaru. Ale trzeba będzie na to: a) objąć kontrolą urzędów ziemskich obrót ziemią nie tylko folwarczną lecz i włościan, sprzedających dawne swe gospodarstwa dla nabycia nowo utworzonych na parcelowanych folwarkach kolonii; b) udzielać takiej samej pomocy kredytowej małorolnym, kupującym ziemię od sąsiadów, przenoszących się na tworzone z parcelacji folwarków kolonie, jaką otrzymują ci ostatni; c) zwiększyć znacznie i udogodnić wszelki kredyt parcelacyjny, tak by przy parcelacji kolonizacyjnej pokrywał on do 80% ceny kupna ziemi, a cały niemal kapitał uzyskany ze sprzedaży posiadanego poprzednio przez kolonistę gospodarstwa szedł na postawienie należytych nowych budynków.

Obliczenia te dotyczą dotychczasowego terytorium Rzeczypospolitej. Bo nie jestem zwolennikiem dzielenia skóry na żyjącym niedźwiedziu. Ale należy stwierdzić, że niezbędne dla zabezpieczenia europejskiego pokoju włączenie Prus Wschodnich do Polski, pozwoli na podniesienie najniższej granicy rozmiaru samowystarczalnych gospodarstw, a poza tym na zwiększenie warstwy wielkocłopskiej. Nie miałoby bowiem sensu gospodarczego dzielenie licznych w Prusach Wschodnich wielkokmiecych zagród; należałoby je zachować w całości, zmieniając tylko ich właścicieli. Niemniej oczywiście dobroczynne skutki dla poprawy naszego ustroju rolnego miałyby i rozszerzenie naszej zachodniej granicy.

Ale nie tylko zwiększenie przeciętnego rozmiaru zagród włościańskich i upełnorolnienie znacznej większości małorolnych dziś gospodarstw winno stanowić treść powojennej przebudowy wsi. Parcelację trzeba zespolić ściśle z równoczesną komasacją wsi, biorących udział w parcelacji sąsiednich folwarków, oraz z drenowaniem wszystkich potrzebujących tego gruntów (bo nie wszędzie jest ono racjonalne), na całym obszarze zarówno dawnych dworskich jak i włościańskich pól.



Czy jednak przy komasacji oraz parcelacji kolonizacyjnej należy zachować dotychczasowy typ wsi zabudowanej wzdłuż drogi, czy też rozrzucić domy wraz z budynkami gospodarczymi wśród pól, tak by leżały one z reguły pośrodku przynależnego do nich i posiadającego możliwie kwadratową formę gruntu? Z techniczno-rolniczego punktu widzenia — to ostatnie byłoby korzystniejsze. Mimo to jednak sądzę, że większe od pożytków byłyby wyniki stąd straty. Wieś bowiem nasza nie jest tylko sumą pojedynczych gospodarstw; stanowi ona organiczną całość kulturalno-gospodarczą. I pod żadnym względem nie należy tej spójni nadwierać. A zupełne uniezależnienie życia jednych gospodarstw od drugich rozluźniłoby ją niewątpliwie, nie mówiąc już o tym, o ile utrudniłoby się przez to dzieciom dostęp do szkoły w czasie zasp śnieżnych i wiosennych roztopów. Nie sposób jednak też nie widzieć, że w olbrzymiej większości naszych wsi zabudowania są nadmiernie stłoczone, a pola nadmiernie od nich odległe. Przy nowej naszej przebudowie wsi powinniśmy przyjąć za bezwzględna regułę, by zabudowania gospodarcze przylegały zawsze bezpośrednio do roli. A jeśli pola przyjmą racjonalniejszą od dzisiejszych wąskich pasków formę, np. przy 5-hektarowym obszarze 100 m szerokości i 500 m długości prostokątów — trzeba będzie i zabudowania poszczególnych gospodarstw odsunąć jedno od drugich co najmniej o 50 m. Opłotki powinny przestać przylegać do siebie. By to osiągnąć konieczne będzie przenoszenie przy komasacji na nowe miejsca co najmniej połowy, a niekiedy i większej części zabudowań, ale nie nierównomierne rozrzucenie ich wśród pól, jeno stworzenie nowej drogi i nowej wzdłuż niej linii zagród w odległości 500 albo 1000 m od pierwszej.

## V. POLSKA GOSPODARKA PLANOWA.

Ustaliliśmy sobie dotychczas trzy tezy: musimy wytworzyć sobie nowy ustrój społeczny; osiągnąć to możemy tylko przez gospodarkę planową; naczelnym jej zadaniem jest zrównanie naszego dochodu społecznego z dochodem zachodnich sąsiadów, t. j. co najmniej dwukrotne powiększenie go. W 1918 r. wynosił on około 16 miliardów złotych. Uwzględniając przyrost ludności, jaki nastąpi w ciągu 20 lat, powinniśmy mieć zgodnie z powyższym programem w 1965 r. około 42 miliardów dochodu społecznego. A na to trzeba by włożyć w inwestycje gospodarcze mniej więcej 60 miliardów pieniężnych kapitałów założycielskich. By jednak uzyskać w tym okresie czasu 60 miliardów przyrostu kapitałów pieniężnych, musiałyby zaś oś ich zwiększać się co roku przeciętnie o 2 miliardy. W pierwszych po wojnie latach mógłby wprawdzie przyrost ich być powolniejszy, sięgając około 1 miliarda. Tym większy jednak musiałby on być następnie. Ale nawet w latach najlepszych koniunktur nie przewyższał przyrost naszych kapitałów pieniężnych połowy tej sumy, t. j. pół miliarda. Nie sposób więc, nawet najoptimistyczniej wyobrażając sobie przyszłość, liczyć na to, że tych 60 miliardów powstanie drogą oszczędności, robionych w Kraju. I p. Barański uprzedzał Radę Narodową, że trzeba będzie w tym celu otrzymać przynajmniej 20 milj. inwestycyjnych kapitałów z zagranicy. Daj Boże, by życzenie to się spełniło. Ale i dla nagromadzenia w ciągu 20 lat drogą oszczędności z bieżących dochodów 40 miliardów zakładowych trzeba by zużywać na inwestycje, a nie na konsumpcję, względnie produkcję dóbr konsumcyjnych.



7 do 8% dochodu społecznego. Tymczasem w okresie między 1919 a 1938 r., w krajach anglosaskich procent ten wynosił 2 — 3 od sta. Tak wielkie inwestycje pokrywane z oszczędności społecznej byłyby związane nieuchronnie ze stosunkowo niską skalą życiową. Bo jeżeli chce się dużo oszczędzić ze swych dochodów, trzeba nieuchronnie mniej konsumować, a więc minimalnie podnosić powszechną skalę życiową. Rosja Sowiecka ze swego dochodu społecznego włożyła w inwestycje 20%, czy nawet więcej. Każdy jednak, kto był w Z.S.R.R. wie, że było to osiągnięcie nie tylko stagnacją, ale nawet obniżeniem skali życiowej najszybszych mas ludności. Czy może to być naszym celem? W naszym, zachodnio-europejskim rozumieniu społeczeństwa, istnieje ono nie dla własnej tylko potęgi, ale dla dobra ogółu obywateli, dla ulepszania ich życia. Nie możemy więc po to, by za 20 lat mieć maksymalny przemysł zbrojeniowy, przez cały ten czas żyć bez kulturalnego postępu mas ludowych. Siła obronna państwa polega bowiem nie tylko na rozmiarach produkcji narzędzi walki, lecz w niemniejszym stopniu i na sile moralnej narodu. A nie jej tak nie podkopuje w społeczeństwach demokratycznych — do których i my należymy — jak życiowa bezradność szerokich warstw społecznych. Nie ma zaś w ogóle optymizmu życiowego tam, gdzie rodzice nie mają przeświadczenia, że ich dzieci będą lepiej od nich żyły.

Zresztą tylko w państwie komunistycznym można przez dłuższy okres czasu robić wielkie inwestycje bez podnoszenia siły nabywczej i spożycia ogółu społeczeństwa. W państwie zaś nie komunistycznym — niezależnie od rozmiaru interwencji państwowej w życie gospodarcze — zawsze rozwój sił wytwórczych musi być oparty na równoczesnym rozwoju siły nabywczej społeczeństwa; nikt bowiem nie będzie produkować dóbr, na które nie będzie nabywców. Każdy więc, robiąc nowe inwestycje musi wiedzieć, że jeśli nie natychmiast, to po pewnym przeciągu czasu zjawi się zapotrzebowanie na zwiększoną, dzięki jego inwestycji produkcję. Konieczne jest zatem utrzymanie odpowiedniego stosunku pomiędzy rozwojem produkcji inwestycyjnej, a rozwojem produkcji konsumcyjnej i podnoszeniem się skali życiowej społeczeństwa.

Ale podnoszenie się skali życiowej zależy nie tylko od

ilości wyprodukowanych dóbr konsumcyjnych lecz i od zarobków masy konsumentów.

Przyjdzie kiedyś czas, nie wcześniej jednak, niż za jakieś lat 15 po wojnie, w którym samorzutne zapotrzebowanie pracy ze strony istniejących przedsiębiorstw przemysłowych, handlowych, kredytowych, transportowych i wszelkiego rodzaju innych nierolniczych zakładów i instytucji prywatnych i publicznych równać się będzie zapotrzebowaniu zarobków ze strony całego przyrostu ludności.

Dotychczas jednak to ostatnie znacznie górowało nad pierwszym. A gospodarka władz okupacyjnych w Polsce nie wzmogła, lecz osłabiła siłę nabywczą naszego rynku wewnętrznego i zdeorganizowała liczne przedsiębiorstwa. W pierwszym roku po wojnie a częściowo i w drugim nie będziemy w stanie przywrócić własnymi siłami przedwojennej, choć tak niskiej w porównaniu z zachodnio-europejską, skali życiowej naszemu społeczeństwu. Zdają sobie sprawę z tego i Stany Zjednoczone i Wielka Brytania, że na nie spadnie w wielkim stopniu zadanie zaspokojenia najniezbędniejszych potrzeb ludności krajów wyzwanych przez ich armie spod przemocy niemieckiej.

Pomimo zmniejszenia się wskutek klęsk wojennych zaludnienia Polski o kilka milionów, zapotrzebowanie pracy w urzędach i instytucjach państwowych i komunalnych oraz istniejących przedsiębiorstwach będzie narazie o wiele mniejsze od jej zaofiarowania. A wobec tego, postulat zatrudnienia całego przyrostu ludności w nierolniczych zawodach, da się osiągnąć jedynie przez planowe wytworzenie przez państwo odpowiedniego zapotrzebowania pracy wewnątrz kraju oraz należyte sfinansowanie go.

Najprostszym sposobem wytwarzania przez państwo zapotrzebowania pracy są roboty publiczne. Robotami publicznymi nazywamy organizowane przez władze państwowe i samorządowe prace o charakterze użyteczności publicznej.

Może jednak państwo zwiększać planowe zapotrzebowanie pracy również innymi sposobami jako to: a) inicjując prace inwestycyjne prywatno-gospodarczego charakteru i w tym celu zachęcając i wspomagając powstawanie odpowiednich spółek, koncernów i spółdzielni; b) zapew-



niając nowopowstającym przedsiębiorstwom zbyt na rynku krajowym wytwarzanych przez nie dóbr; c) ułatwiając prywatnym przedsiębiorstwom otrzymanie potrzebnych im zagranicznych kredytów towarowych; d) uzyskując współdziałanie zagranicznych kapitałów inwestycyjnych w odbudowie i rozbudowie gospodarczej Polski.

W pierwszych jednak 2 latach większość prac inwestycyjnych stanowić będą roboty publiczne.

Jeśli wszakże mają one rzeczywiście zapewnić przyzwoite zarobki całej ludności potrzebującej ich, a nie zatrudnionej w istniejących przedsiębiorstwach, urzędach i instytucjach — nie mogą być one koncentrowane w samych tylko w wielkich miastach czy wybranych okręgach — ale powinny być prowadzone możliwie równomiernie na całej przestrzeni kraju. Jedną z najszybciej podnoszących dochód społeczny inwestycji jest budowa dobrych dróg. Jest to powszechnie uznawane. Myśli się jednak przy tym zazwyczaj o wielkich liniach komunikacyjnych. A tymczasem duża jest ekonomiczna doniosłość nie tylko wielkich gościńców łączących z sobą miasta, województwa i powiaty, ale również dobrych dróg gminnych t. zn. dróg polnych. Są one dziś w możliwym stanie jedynie w województwach zachodnich oraz na płaskich równinach o lekkiej, nie zlewnej glebie. W olbrzymiej natomiast większości Kraju, nasze wiejskie t. zw. „polskie“ drogi na wiosnę i na jesieni są pełne głębokich wyboi, kałuż i błota, w którym wozy grzęzną prawie po osie. Doprowadzenie dróg tych do należytego stanu, zmniejszy od razu o kilka procent ilość niezbędnego w gospodarstwach włościańskich pociągowego inwentarza, a o kilkanaście procent zużycie wozów. Równie korzystnymi gospodarczo będą roboty publiczne, regulujące potoki górskie, zabezpieczające pola przed wylewami rzek oraz osuszające bagna. Najbardziej jednak pracochłonne, a zarazem najpilniejsze będą roboty związane z odbudową zniszczonych osiedli. Fałszywym byłoby powierzenie odbudowy zniszczonych miast czy ich dzielnic wyłącznie inicjatywie właścicieli odnośnych placów budowlanych. Nasze stosunki mieszkaniowe były jedne z najgorszych w Europie. Olbrzymia większość zniszczonych przez działania wojenne domów była ohydna. Nie można dopuścić, by wracało to, co było w dzielnicach ro-

botniczych i żydowskich Warszawy oraz w prowincjonalnych miastach i miasteczkach. Wraz z odbudową zniszczonych osiedli musi nastąpić gruntowna poprawa naszych stosunków mieszkaniowych. W nowostawianych domach nie może być nadal mieszkań jednoizbowych bez żadnych higienicznych urządzeń. A te urządzenia będą wymagały często równoczesnej regulacji ulic, rozbudowy kanalizacji, wodociągów, przewodów elektrycznych czy rurociągów gazowych. Musimy postawić sobie za zadanie doprowadzenie za życia istniejącej generacji do tego, by najmniejsze mieszkanie robotnicze składało się z 2 pokoiów, kuchni, sypialni i łazienki. I do tego należy dostosować plany powojennej odbudowy zniszczonych osiedli. Nie sądzę, by należało wykluczyć odbudowę i przez właścicieli zrujnowanych budynków, oczywiście przy ścisłym ich zastosowaniu się do ogólnego planu odbudowy danej dzielnicy czy danego miasteczka. Większość ich jednak nie będzie posiadała potrzebnej dla pokrycia choćby połowy kosztów odbudowy gotówki. Wprawdzie, możemy się spodziewać, że Niemcy zostaną zmuszone do dania nam poważnych odszkodowań za dokonane przez nich u nas zniszczenia, i właścicielom zniszczonych budynków będzie przysługiwało prawo do odpowiedniego udziału w uzyskanych odszkodowaniach, ale odszkodowań tych nie dostaniemy w pieniądzu — bo brać niemieckich banknotów nie zechcemy — ani w materiałach budowlanych, jeno w urządzeniach fabrycznych, taborze kolejowym, statkach handlowych i t. p. Na poczet udziału w wartości tych odszkodowań mogłyby być przyznane określone konta w Banku Krajowym czy specjalnym Banku Odbudowy. Bardziej jednak celowym od wypłaty tych kont w gotówce poszczególnym właścicielom będzie pokrycie nimi części kosztów budowy dla nich nowych na ich parcelach domów przez samorządy miejskie czy koncesjonowane i kontrolowane przez państwo wielkie towarzystwa budowlane, być może nawet zagraniczne. A gdy odbudowa obejmie i wiele budynków państwowych — zdaje mi się na miejscu tu będzie postawienie postulatu zerwania z fatalną naszych pomajowych rządów manią reprezentacyjną, stawiania luksusowych gmachów dla wyższych urzędów, banków państwowych i ich filij, gdy brakowało koniecznych pomieszczeń dla szkół oraz szpitali. Natomiast



byłoby bardzo pożyteczne, gdyby nasze samorzady miejskie i powiatowe włączyły do swych planów robót budowlanych obok odbudowy, względnie rozbudowy domów mieszkalnych, stawianie budynków, przeznaczonych specjalnie na urządzenie w nich racjonalnych, możliwie zmotoryzowanych warsztatów rzemieślniczych oraz drobnych i średnich fabryczek. Ułatwiłoby to znacznie zakładanie nowych przedsiębiorstw przemysłowych przez ludzi z odpowiednią wiedzą techniczną i organizacyjnymi zdolnościami — ale o skromnych zasobach pieniężnych. A takich będziemy mieli obecnie bardzo dużo.

Jak już jednak powiedziałem, państwo będzie musiało nie tylko organizować bezpośrednio czy za pośrednictwem samorządów lokalnych inwestycyjne roboty publiczne. Zadaniem jego będzie również inicjować i wspomagać inwestycje prywatno-gospodarczego charakteru: zakładanie nowych, oraz rozbudowę istniejących już przedsiębiorstw przemysłowych, górniczych i transportowych, jak również melioracje, podnoszące wydajność gospodarstw rolniczych. Na te ostatnie — kładę szczególny nacisk — nie dlatego, bym je uważał za ważniejsze od inwestycji przemysłowych i komunikacyjnych — ale ponieważ się za mało na ogół u nas o nich myśli. Wszyscy u nas mówią o szybkim powojnie uprzemysłowieniu Polski. Istotnie jest ono konieczne. Ale nieodzownym warunkiem rozwoju przemysłu jest wzrost zapotrzebowania na jego towary. Mało jest prawdopodobne, byśmy mogli w obecnych warunkach gospodarki światowej uzyskać znaczniejszą przewagę naszego eksportu nad importem. Dobrze będzie, jeżeli przeważką tą będziemy w stanie spłacać zagraniczne kredyty towarowe, o które będziemy musieli się starać dla szybszej odbudowy zniszczonego wojną życia gospodarczego. Rozwój więc naszego przemysłu trzeba będzie oprzeć głównie na wzroście siły nabywczej wewnętrznego rynku. A że 61% naszej ludności czerpie swą siłę nabywczą z dochodów gospodarstw rolnych — przeto od tempa wzrostu tych dochodów zależy będzie w dużej mierze i tempo wzrostu naszej produkcji przemysłowej. Byłoby więc wielkim błędem odkładanie na dalszy plan inwestycji rolniczych do czasu, gdy silniejsze uprzemysłowienie kraju automatycznie zwiększy zasoby pieniężne włościan, wytwarzając znaczniejsze zapo-

trzebowanie miast na wysoko wartościowe produkty rolnicze. Jeśli chcemy przez rozwój naszego przemysłu nie tylko wzmacniać potęgę państwa, lecz równocześnie podnosić skalę kulturalnego życia narodu — konieczne jest równoczesne też z inwestycjami przemysłowymi przeprowadzenie jaknajszerszej zakrojonych inwestycji rolniczych. Największe i najszybsze korzyści da drenowanie pól, a następnie zaopatrzenie zagród włościańskich w racjonalne obory, chlewnie, silo dla kiszzonek, gnojownie, jako też wspólnie używane maszyny i narzędzia lepszej uprawy ziemi. Nie da się tego zrobić za pomocą robót publicznych. Są to bowiem inwestycje charakteru prywatno gospodarczego, a nie użyteczności publicznej. Ale państwo przy pomocy samorządów powiatowych oraz Izb Rolniczych i towarzystw rolniczych, jako też związków spółdzielczych może, a gdy może, to i powinno inicjować na wielką skalę oraz finansować organizację odpowiednich spółek wiejskich: wodnych, drenarskich, budowlanych, maszynowych.

Tego rodzaju inwestycyjną polityką rolniczą, wraz z należytych dokończeniem reformy rolnej i powszechną komasacją będziemy w stanie w ciągu już kilkunastu lat podwoić wydajność i dochody naszych gospodarstw wiejskich. Że nie jest to fantazją, wskazuje na to choćby następujący fakt: Przeciętny statystyczny zbiór z hektara głównych zbóż wynosił u nas między 1924 — 1938 r. (w najlepszych latach) 12 cetnarów z ułamkiem, a tymczasem — zarówno wedle wspomnianych już opisów małorolnych gospodarstw, jak i szczegółowej ankiety, przeprowadzonej przez dr Stysia w jednej ze wsi Małopolski Środkowej, poszczególni gospodarze uzyskują do 14 cetnarów z jednej morgi. Że przeciętna wydajność naszych gospodarstw wiejskich jest o tyle niższa od tego, co może być jednak w naszych warunkach przyrodniczych uzyskane — winien temu nie tyle nawet stosunkowo niski poziom wiedzy rolniczej po wsiach, co brak należytych melioracji, dobrych narzędzi, budynków i urządzeń gospodarczych. Jednym z najpilniejszych zadań naszej powojennej gospodarki planowej powinno być zaradzenie temu brakowi.

Świadomość potrzeby wielkich, natychmiast po wojnie robót inwestycyjnych przejawia się we wszystkich naszych tu na ziemi brytyjskiej prowadzonych dyskusjach ekono-



micznych. Ale żeby zrealizować ten postulat, trzeba mieć potrzebne dla wykonania odpowiednich prac — siły i środki. A i tych i tamtych nie posiadamy obecnie w dostatecznej mierze.

Nie zbraknie nam jedynie rąk roboczych. Nie stawia się jednak domów, nie buduje gościńców, nie drenuje pól samymi tylko niefachowymi robotnikami. Już dziś, należy poczynić starania o przygotowanie kadr instruktorów, którzyby w równie szybkim tempie, jak to się obecnie dzieje w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych, wykształcili u nas potrzebną ilość fachowców. Sądzę, że nadmierna ambicja narodowa nie powinny zabronić nam zwrócić się po tych instruktorów do naszych wielkich sprzymierzeńców. Opracowuje się dziś plany powojennej pomocy Stanów Zjednoczonych i Brytyjskiego Imperium dla wyzwolonych spod okupacji niemieckiej krajów kontynentu europejskiego. Zwracam się do odpowiednich czynników tu i w Ameryce z przedstawieniami, dotyczącymi maszyn, narzędzi i surowców, których otrzymanie z zagranicy będzie nam niezbędnie potrzebne dla należytej odbudowy naszego gospodarczego życia. I te nasze przedstawienia są rozpatrywane rzeczowo i życzliwie. Coraz bowiem powszechniejszy jest w krajach, wysoce rozwiniętych przemysłowo i zasobnych w kapitały nawrót do tezy przed pierwszą wojną światową, uznawanej za ekonomiczny niemal aksjomat, od której jednak pod wpływem nadmiernych nacjonalistycznych egoizmów odstąpiły po 1918 r. kierownicze koła wielu państw — że dobrym odbiorcą eksportowanych towarów jest tylko zamożny klient, a wobec tego w interesie krajów, których przemysł jest nastawiony na duży eksport, leży dopomaganie krajom importującym ich produkty do jaknajsilniejszego gospodarczego postępu. Możemy zatem liczyć na zagraniczne kredyty towarowe, które dostarczą nam surowców i maszyn potrzebnych dla realizacji wielkiego programu inwestycyjnego, a których nie mamy i mieć nie możemy, albo nie potrafimy na razie wytworzyć u nas w Kraju.

Powojenna międzynarodowa współpraca ułatwi nam uzyskanie dostatecznej ilości surowców oraz maszyn.

Albo poza tym, ziszczenie postulatu zapewnienia przyzwoitego zarobku w kraju wszystkim chcącym pracować,

wymaga rozstrzygnięcia niezwykle trudnego zagadnienia sfinansowania tych wielkich prac inwestycyjnych, jakie są dla osiągnięcia tych celów niezbędne.

Jest to zagadnienie kluczowe całej naszej powojennej planowej gospodarki.

Jeśli na ogół — jak na to poprzednio wskazałem — nie znajdujemy ani na zachodzie ani na wschodzie wzorów, które moglibyśmy kopiować — to stosuje się to przede wszystkim do sprawy sfinansowania planowanych wielkich inwestycji.

Obecnie z inicjatywy państwa lub w jego bezpośrednim zarządzie dokonywane są w Wielkiej Brytanii i w Stanach Zjednoczonych olbrzymie prace gospodarcze dla opatrzenia armii w sprzęt bojowy. Są to swego rodzaju inwestycje w dzieło przyszłego lepszego, po złamaniu zaborczych imperializmów państw osi ustroju politycznego państw. Ale by móc je przeprowadzić, obniżono do minimum produkcję i przywóz dóbr konsumpcyjnych oraz całą skalę życia ludności. I uczyniono to w społeczeństwach, posiadających pięciokrotnie większy od naszego dochód społeczny na głowę ludności. To też obecna silnie zmniejszona konsumpcja anglo-saska, daleka jest jeszcze od niedostatku, który był u nas niestety udziałem znacznej większości narodu. Z wielkiego majątku i dochodu społecznego naszych anglo-saskich aliantów można było, nie wywołując biedy, szkodliwej dla zdrowia i kulturalnego życia ludności, przeznaczyć część wystarczającą dla wytworzenia w ciągu paru lat największego jakikolwiek kiedy był w świecie przemysłu wojennego. Ale i z tak wielkiego majątku i dochodu można zabrać tak wiele tylko w czasie wojny, gdy naród jest gotów do największych ofiar ze swego dobrobytu — dla zwycięstwa.

W ogóle żadna gospodarka wojenna nie może być dobrym wzorem gospodarki pokojowej, a polityka finansowa kraju o wielkim dochodzie społecznym i wielkich wkładach bankowych nie nadaje się do naśladowania przez kraj o pięciokrotnie niższym dochodzie społecznym i co najmniej dziesięciokrotnie mniejszej sumie wkładów bankowych.

Z tych samych względów nie możemy skopiować przedwojennej gospodarki finansowej hitlerowskich Niemiec.



Od pierwszej bowiem chwili była ona naprawdę gospodar-  
ką wojenną. Przewodnią jej maksymą było: Niemcy woła  
armaty od masła. I pomimo ostrego kryzysu, istniejącego  
w chwili dojścia Hitlera do władzy, suma kapitałów pie-  
niężnych, nagromadzonych w formie wkładów bankowych  
i oszczędnościowych, była wówczas w Niemczech około 6  
razy większa na głowę ludności, niż u nas w 1938 r.

Czy nie możemy jednak wzorować naszej powojennej  
polityki finansowej na sowieckiej polityce finansowej z cza-  
sów pięćdziesiąt lat? Dochód bowiem społeczny na głowę lud-  
ności był w Z.S.R.R. jeszcze mniejszy, niż u nas, a rozmiar  
robót inwestycyjnych przeprowadzanych tam ostatnimi  
czasami był nie mniejszy od projektowanego przez nas. Obok  
tych podobieństw są jednak tak wielkie różnice gospodar-  
czej struktury Polski a naszego wschodniego sąsiada, że  
choć z jego systemu finansowania szybkiej rozbudowy prze-  
mysłu możemy, tak samo zresztą, jak i z doświadczeń finan-  
sowych operacji Schachta, wyprowadzić pewne pozytywne  
dla nas wskazania — to jednak nie da się u nas w całości  
zastosować wzoru sowieckiego. W ustroju bowiem komuni-  
stycznym jeden jest tylko właściciel wszystkich przedsię-  
wzięciw — państwo. A wobec tego, może tam  
przyjmować znacznie szersze rozmiary, niż w krajach pry-  
watnej przedsiębiorczości — rozrachunkowa, bezgotówko-  
wa wymiana dóbr. Wraz z tem mniejsze jest tam stosun-  
kowo zapotrzebowanie pieniężnych kapitałów. W krajach  
kapitalistycznych — fabryka metalurgiczna musi, by móc  
produkować, zakupić nasamprzód w hucie za określoną su-  
mę pieniędzy odpowiednią ilość ton stali; a huta musi  
znów, by stal tę wytworzyć, zakupić nasamprzód w kopalni  
surówkę żelaza. W ustroju komunistycznym handlowe te  
transakcje zamienia rozkaz odpowiedniej kierowniczej wła-  
dzy. Rozkazem przenosi się rudę z kopalni do huty, stal  
z huty do fabryki traktorów, a traktory do kolchozów. Nie  
ryzykuje tam nigdy żadne przedsiębiorstwo, że nie znajdzie  
zbytu na swe produkty. Wobec bowiem upaństwowionego  
całego handlu zarówno detalicznego, jak i hurtownego, nie  
indywidualne zapotrzebowania, ale rozkazy władz normu-  
ją w Z.S.R.R. cały zbył towarów. A przy tym — i co bodaj  
w danej sprawie najważniejsze — cena dóbr jest tam usta-  
lona wyłącznie znów rozkazami państwowymi tak, iż sto-

sunek ilości znajdujących się w posiadaniu nabywców pieniędzy do ilości zaoferowanych im dóbr, nie ma żadnego wpływu na poziom cen. Inflacja znaków pieniężnych nie grozi tam nigdy drożyzną. A my z tym niebezpieczeństwem liczyć się będziemy musieli poważnie.

Na czym więc oprzeć mamy nasz system finansowania wielkich robót inwestycyjnych?

Przeważnie mówi się o przeznaczaniu na to odpowiedniej części naszego dochodu społecznego, którą oblicza się na 7 — 8 jego procent.

Istotnie, w wielkiej przeciętnej trzeba będzie taki procent z naszego dochodu społecznego przeznaczyć w ciągu pierwszych 15 lat na inwestycje, by po 20 latach osiągnąć podwojenie naszego na głowę ludności dochodu społecznego. Ale realnie można zabierać na finansowanie inwestycji część pewną tylko pieniężnego dochodu społecznego. A z owych 16 miliardów złotych naszego dochodu społecznego, poważną część — co najmniej jedną czwartą — stanowi dochód naturalny. Przy tym należy zważyć, że rekwizycje, konfiskaty, więzienia, deportacje i masowe mordowanie ludności zniszczyły znaczną ilość przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych ludności żydowskiej. Wszystkie raporty krajowe mówią o dużym zubożeniu całego naszego społeczeństwa. Obliczają one spadek dochodu społecznego w General-Gubernatorstwie pod koniec 1941 roku na 40 procent. Najoptimistyczniej licząc — nie możemy oczekiwać w pierwszym po wojnie roku większej nad 10 miliardów sumy całego dochodu społecznego, a ponad 7 — 8 miliardów — pieniężnego. Uczyni to na głowę ludności, która prawdopodobnie spadnie do 30 milionów, około 350 przedwojennych złotych, a na rodzinę około 1.200 zł, co stanowi minimum egzystencji wolne od podatku dochodowego. Nie da się zabrać zeń wiele na inwestycje.

Ale mówi się: w pierwszych 2 latach po wyzwoleniu Kraju spod wrogiej okupacji żyć będziemy z reliefu. Niewątpliwie relief ułatwi nam nie tylko odżywienie wygłodzonej ludności, ale częściowo i odbudowę zniszczonych warsztatów pracy. Da on nam maszyny i pewne surowce, nie da jednak pieniędzy potrzebnych na opłacenie robotników, inżynierów, techników, buchalterów, urzędników



fabrycznych, biur administracyjnych i handlowych, zatrudnionych w robotach inwestycyjnych, które będziemy musieli rozpocząć jednak natychmiast po wojnie, choćby dla zatrudnienia całej naszej potrzebującej zarobków ludności, oraz na zakup krajowych surowców.

A gdy zważywszy, że z deportacji wróci około 2 milionów ludzi, którzy stracili dawne swe przedsiębiorstwa i warsztaty pracy — musimy — skromnie licząc — przewidywać konieczność zatrudnienia już w pierwszym po wojnie roku około pół miliona ludzi w robotach publicznych oraz inicjowanych przez państwo pracach inwestycyjnych prywatno-gospodarczego charakteru.

Jeśli ma być pół miliona ludziom dostarczony przyzwoity zarobek — płaca ich musi przeciętnie wynosić na rok około 1.200 zł przedwojennych. Na same więc wypłaty pracownikom, zatrudnionym w organizowanych i inicjowanych przez państwo robotach inwestycyjnych, trzeba będzie wydawać w pierwszych 4 latach po mniej więcej 600 milionów rocznie. Wraz z zakupami krajowych surowców koszt inwestycji koniecznych dla ziszczenia zapowiedzi programu rządowego sięgać będzie, pomimo pomocy reliefowej, na samym początku około 1 miliarda. Wyniesie do 10% prawdopodobnego w tym czasie całego dochodu społecznego, a do 12% pieniężnego. Dochód ten zaś, jak już powiedziałem, stać będzie na poziomie minimum egzystencji, jakie było dotychczas wolne od podatku dochodowego. Przy tym należy pamiętać, że nie będziemy mogli mieć mniejszego od przedwojennego budżetu państwowego i mniejszych budżetów komunalnych. Zadania bowiem administracji państwowej i samorządowej nie zmniejszą się, a na pewno wzrosną znacznie w porównaniu z przedwojennym stanem rzeczy. Więc z wymienionych wyżej 7 — 8 miliardów prawdopodobnego rocznego dochodu społecznego, gospodarka publiczna zabierać będzie co najmniej trzy miliardy. Jestem pewien, że najsilniejsze przykręcanie śruby podatkowej nie wycisnie tej kwoty z tak bardzo zbiedniałego wskutek rabunkowej gospodarki okupantów społeczeństwa. Trzeba być przygotowanym w pierwszych kilku latach na duże deficyty budżetu państwowego oraz budżetów samorządowych i na pokrywanie tych deficytów

dużymi pożyczkami wewnętrznymi. Z bieżącego dochodu społecznego, zbyt małego, by można było pokryć wydatki ciał publicznych zwyczajnymi wpływami skarbowymi — nie da się uzyskać i wpływów nadzwyczajnych, t. j. pożyczek. Trzeba więc będzie po nie sięgnąć do nagromadzonych oszczędności z poprzednich lat, t. j. do depozytów bankowych i wkładów w instytucjach oszczędnościowych. W 1938 roku dochodziły one do 3 miliardów. Ale we wrześniu 1939 r. gwałtownie wycofywano wkłady z kas oszczędności i nawet z Banku Gospodarstwa Krajowego. Nie posiadam informacji, czy i wiele wniesiono nowych wkładów do instytucji kredytowych za okupacji niemieckiej. Niewątpliwie jednak, suma wkładów, jaką zastaniemy po uwolnieniu Polski od wojsk niemieckich, przy przeliczeniu na przedwojenne złote depozytów w 1940, 1941, 1942 i 1943 r. wedle ich siły nabywczej w chwili ich lokowania w instytucji kredytowej będzie znacznie niższa od owych 3 miliardów z 1938 r. Zbyt optymistyczne będzie bodaj ocenienie jej na półtora miliarda. A przecież nie sposób zużyć w całości sumę istniejących w Kraju depozytów na długoterminowe kredyty, jakimi z konieczności rzeczy będą pożyczki państwowe, zaciągane na pokrywanie deficytów budżetowych, oraz kredyty inwestycyjne. Nie utrzymamy bowiem należytego stosunku między produkcją dóbr konsumcyjnych a rozwojem inwestycji, jeśli zabraknie instytucjom kredytowym zasobów pieniężnych na kredyty krótkoterminowe, t. zn. handlowe, przyspieszające i rozszerzające ruch kapitałów obrotowych. I nie można też pozbawić tych instytucji koniecznych rezerw.

Z powyżej powiedzianego wypływa nieodwołalnie wniosek, że nie zdołamy ani z nagromadzonych oszczędności w latach poprzednich, ani z bieżących oszczędności, robionych z dochodu społecznego, jaki zastaniemy w Kraju — wydzielić w pierwszych latach po wojnie przy pomocy choćby najbardziej przymusowych środków kapitałów pieniężnych, dostatecznych dla zatrudnienia całej potrzebującej zarobków ludności i rozpoczęcia rzeczywistej odbudowy i rozbudowy gospodarczych sił Kraju. Będzie nadzwyczaj dobrze, jeśli z tych dwóch źródeł uda się uzyskać w pierwszych paru latach połowę potrzebnych sum pieniężnych. A przypominam, że pomimo pomocy reliefowej, bę-



dziemy musieli — by ruszyć należycie z miejsca, inwestować z początku co roku po miliardzie kapitałów pieniężnych.

Zatym, jeśli nie zechcemy zrezygnować z zatrudnienia wszystkich potrzebujących pracy zarobkowej, będziemy musieli zużyć w ciągu pierwszych trzech lat co najmniej półtora miliarda na inwestycje z trzeciego jakiegoś źródła, poza wskazanymi powyżej dwoma klasycznymi, że tak powiem, źródłami wkładów kapitałowych, t. j. poza nagromadzonymi poprzednio w instytucjach kredytowych depozytami pieniężnymi i dobrowolnymi, czy przymusowymi oszczędnościami z bieżącego dochodu społecznego.

*Cechą zasadniczą ustroju kapitalistycznego jest — jak już poprzednio powiedziałem — zależność tempa rozwoju przedsiębiorczości od tempa i rozmiaru nagromadzenia się kapitałów pieniężnych prywatnych, czy publicznych.*

*My zaś musimy wręcz odwrotnie do tempa i rozmiaru zamierzonych inwestycji dostosować tempo i rozmiar formowania kapitałów pieniężnych.*

Czy jednak nie działo się coś podobnego u nas w pierwszych po poprzedniej wojnie latach? Toć żeśmy wówczas rozpoczęli odbudowę gospodarczą kraju ze zupełnie zdevaluowanymi zasobami banknotów rosyjskich i austro-węgierskich i z niemającą żadnego kruszcowego pokrycia marką polską. I nie ograniczyliśmy naszych ówczesnych wydatków czy to na administrację państwową, czy na wojnę, czy na uruchomienie fabryk, niemal bez wyjątku w końcu 1918 r. zdemontowanych i nieczynnych, czy na odbudowę zniszczonych we wschodniej połowie kraju gospodarstw rolnych — do sumy posiadanych wkładów pieniężnych. Możemy dziś rozważać pytanie: czy większe były korzyści wygrania wojny i stosunkowo szybkiej odbudowy fabryk, wsi i folwarków — czy spowodowane dewaluacją straty nagromadzonych poprzednio wkładów bankowych i oszczędnościowych oraz hipotecznych wierzytelności? Osobiście sędzę, że większe od strat były korzyści ówczesnej inflacji.

Mimo to jednak nie zamierzam bynajmniej doradzać czegoś podobnego. Bo tylko dlatego nie skończyła się ówczesna inflacja kompletną katastrofą ekonomiczną, iż wobec istniejącego wówczas wolnego międzynarodowego

obrotu towarowego i pieniężnego, szybsza w stosunku do innych walut niż do towarów i płac na rynku krajowym dewaluacja marki polskiej wytworzyła szczególnie u nas niskie, przy obliczaniu ich w złocie czy w dolarach lub funtach, koszta produkcji. Dało to nam dużą premię eksportową i czynny bilans handlowy. W 1923 r. mieliśmy naprawdę dwie waluty: jedną dla drobnych wypłat na rynku krajowym, drugą, służącą nie tylko do obrotów na rynkach międzynarodowych, lecz i dla kapitalizacji wewnętrznej. Pierwszą była marka, drugą — dolar. W ciągu 5-ciu lat od 1919 do 1924 r. na miejsce zdevaluowanych przez inflację wkładów i wiarytelności markowych powstały dzięki samej inflacją spowodowanej premii eksportowej — nowe wkłady i wiarytelności dolarowe. Wszystko to jednak, co się dziś projektuje w Anglii i Stanach Zjednoczonych na temat powojennego międzynarodowego obrotu pieniężnego wskazuje, że obecnie żaden kraj nie uzyska premii eksportowej i przyływu obcych, drobnych walut wskutek deprecjacji własnej waluty. W razie więc ponownej dewaluacji naszych znaków pieniężnych wskutek nieopatrznej pieniężnej inflacji — stworzone przez nią na razie kapitały pieniężne po kilku latach znikłyby. Byłby to zastrzyk podniecający chwilowo naszą przedsiębiorczość — po czym jednak nastąpiłby fatalny zastój.

A jednak będziemy mieli do wyboru jedno z dwojga: albo zrezygnować z wielkiego programu szybkiego przemysłowienia Polski — albo też, uzupełniać niedostateczną dla jego wykonania sumę wkładów inwestycyjnych za pomocą kapitałów, zaczerpniętych z dawniejszych i bieżących oszczędności — przez odpowiednią akcję kredytowo-walutową.

Podstawę dla wytworzenia potrzebnego ku temu nowego systemu polityki walutowej dają przemiany, jakie stopniowo dokonały się na polu stosunków pieniężnych i kredytowych już od dwustu kilkudziesięciu lat, t. j. od chwili założenia pierwszego emisyjnego banku, banku Anglii — które jednak osiągnęły pełny swój wyraz w czasie ostatniego światowego kryzysu.

Przemiany te polegały na stopniowej coraz większej dematerializacji pieniądza. Do 1914 r. banknot był wprawdzie tylko znakiem zastępującym określoną ilość złota,



które w każdej chwili można było zań dostać. Ale już wówczas t.zw. pokrycie złota wynosiło około  $\frac{3}{4}$  sumy emitowanych banknotów, zatem jedna ich czwarta nie mogła być wymieniona na złoto, w razie gdyby wszyscy posiadacze banknotów zażądali równocześnie za nie kruszcu. Naprawdę więc zawsze część banknotów reprezentowała sobą nie określoną ilość złota, ale towarów, które można było za nie dostać. Słusznie też Knapp, twórca t. zw. państwowej albo nominalistycznej teorii pieniądza, w ostatniej ćwierci ub. wieku postawił twierdzenie, że pieniądz jest uprawnieniem dla dysponowania częścią dochodu społecznego. Tak określał on nie tylko banknot, ale i pieniądz kruszcowy. I miał dużą pod tym względem rację. Było to bowiem pewnego rodzaju optycznym złudzeniem, że wartość złotego pieniądza zależała od wartości zawartego w nim kruszcu. Naprawdę raczej wartość złota zależała od siły nabywczej wytwarzanych zeń pieniędzy. Z chwilą, gdyby zaprzestano zakupywać złoto dla celów walutowych — cena jego niewątpliwie spadłaby parokrotnie. Dzisiejsza jego wartość polega więc w dużej mierze na tym właśnie, że jest ono gromadzone przez banki emisyjne jako najlepsze dotychczasowe narzędzie wyplat międzynarodowych.

W ostatniej ćwierci ubiegłego wieku wszystkie państwa europejskie przeszły faktycznie od bimetalizmu lub pieniądza papierowego (Rosja) do waluty złotej. Podówczas też było w obiegu więcej nawet monet złotych niż banknotów. Stało się to ponieważ międzynarodowa gospodarka współpraca, rozszerzająca się tak dalece, iż nie było prawie przedsiębiorstwa, któreby nie miało bezpośrednich stosunków handlowych z zagranicznymi firmami — czyniła niezbędnym dla każdego kraju posiadanie pieniędzy o jaknajstalszym międzynarodowym kursie. Takim pieniądzem było wówczas jedynie złoto lub wymienialny w każdej chwili na złoto banknot. To wytwarzało złudzenie, że rzeczywistym pieniądzem może być tylko rzecz, posiadająca własną wartość możliwie niezmienną, dzięki jej trwałym, nie ulegającym zniszczeniu właściwościom. Złudzeniu temu ulegała powszechna opinia społeczna — ale nie ścisła nauka społeczno-ekonomiczna. W drugim dziesięcioleciu naszego stulecia szereg wybitnych teoretyków ze Szwedem Casselem, Amerykaninem Fisherem oraz Anglikiem Key-

nesem na czele — sformuowało t. zw. ilościową teorię wartości pieniądza. Według niej wartość pieniądza niezależnie od tego, co go stanowi, polega tylko na tym, że można zań otrzymać wszelkie inne dobra, że więc daje on możliwość dysponowania pewną częścią ofiarowywanych na rynku dóbr, względnie częścią realnego dochodu społecznego; ten ostatni bowiem nie na czym innym polega, jeno na sumie stojących do dyspozycji społeczeństwu środków materialnych zaspakajania ich potrzeb. Pod tym względem zgodne są ze sobą obydwie wymienione teorie: nominalistyczna i ilościowa. Różnią się jednak tym, że gdy według Knappa wartość pieniądzu nadaje państwo (tak się naprawdę dzieje z bilonem i asygnatami państwowymi), to według teorii ilościowej — wartość pieniądza wytwarza się automatycznie w wyniku stosunku sumy pieniędzy, zaofiarowywanych na rynku za zapotrzebowane na nie dobra, do rozmiaru zaofiarowywania tych dóbr. Oczywiście ta suma zaofiarowywanych pieniędzy nie jest równoznaczna z ilością znajdujących się w posiadaniu społeczeństwa znaków pieniężnych. Zależy ona również od szybkości obrotu tych znaków z jednej, a rozmiarów tezauryzacji z drugiej strony.

Teoria ta nie wyjaśnia moim zdaniem w pełni wszystkich zmian w ogólnych poziomach cen. Są i inne przyczyny, natury bardziej społeczno-psychicznej — poza zmianami stosunku zaofiarowania do zapotrzebowania pieniędzy i towarów — wpływające na wzrost drożyzny lub jej zmniejszanie się. Ścisła analiza historii wzrostu drożyzny we Francji i w Polsce w ciągu pierwszych kilku lat po poprzedniej wojnie światowej — wskazuje, że o ile początkowo zwiększone emisje znaków pieniężnych wyprzedzały spadek ich siły nabywczej, to później odwrotnie wzrost cen wyprzedzał i wywoływał konieczność wzrostu emisji pieniądza papierowego (bo nie tylko nasza marka lecz i ówczesny banknot francuski był w rzeczywistości pieniądzem papierowym). Nie jest tu miejsce i pora na szczegółowe omówienie korektur, jakie moim zdaniem trzeba wprowadzić do teorii ilościowej wartości pieniądza. Wystarczy ze względu na cel niniejszych rozważań stwierdzenie, że są i inne środki skutecznego oddziaływania na poziom cen poza regulacją stosunku zaofiarowania i zapotrzebowania pieniędzy na rynku.



Zasadnicze jednak twierdzenia teorii ilościowej są słuszne. Bez względu na to, z jakiego materiału jest zrobiony pieniądz, zmiany w jego sile nabywczej, wyrażającej się w zmianach ogólnego poziomu cen, zależą głównie od zmiany stosunku znajdujących się w rozporządzeniu nabywców dóbr i usług i na nabycie ich przeznaczonych sum pieniężnych do ilości tych dóbr i usług, zaofiarowywanych na rynku.

Tak było już w XVI stuleciu. Narody europejskie przeżyły wówczas okres dużego i długotrwałego wzrostu drożyzny, pomimo że pieniądze były jedynie kruszcowe. Szybszy był jednak wówczas dzięki odkryciu kopalń amerykańskich przyrost sum złotych i srebrnych monet na rynkach europejskich od wzrostu zaofiarowania na nich dóbr gospodarczych. Wprawdzie ówczesny powszechny wzrost cen był silnym impulsem rozwoju nowych pozacechowych form produkcji: tak zwanych przedsiębiorstw nakładowych i manufaktur, w których w drugiej połowie XVII i w XVIII wieku wykształciła się wręcz już kapitalistyczna rachunkowość i przedsiębiorczość. Większość jednak przywożonego z kolonij amerykańskich do Hiszpanii srebra i złota szła na cele wojenne a nie gospodarcze. Kładę na to nacisk, by z całą stanowczością powiedzieć: silny wzrost drożyzny w XVI i XVII stuleciu wynikał nie z tej tylko przyczyny, że ilość pieniędzy szybko się wówczas w Europie powiększała, ale że zarazem duża ich część szła na niegospodarcze wydatki i dostawała się do rąk ludzi żyjących rozrzutnie, jakimi był ogół ówczesnych najemnych żołnierzy i ich wodzów. Jest w tym względzie pouczający bardzo fakt, że w miarę jak się silniej rozwijał wywołany tą inflacją przemysł pozacechowy — tempo wzrostu drożyzny malało. W drugiej połowie XVIII wieku było już bardzo słabe.

Z tego płynie następujący wniosek: Nie każdy wzrost sumy pieniędzy znajdujących się w rozporządzeniu nabywców dóbr i usług na cele ich nabycia powoduje wzrost drożyzny, względnie co na to samo wychodzi, dewaluację pieniędzy — dzieje się to wtedy, gdy nie towarzyszy mu równomierny wzrost ilości zaofiarowanych na rynkach towarów i prac.

Tak było powtarzam zawsze tam, gdzie większość cen

kształtowała się na wolnych rynkach, a nie była ściśle normowana z góry przez takie czy inne władze.

Ale obecnie nastąpiło coś jeszcze innego. Stopniowo postępująca, jak już powiedziałem, dematerializacja pieniądza doszła w ciągu ostatniego dziesięciolecia do swej pełni.

Zaczęła się ona przez emitowanie coraz większej ilości banknotów ponad posiadane przez banki zasoby kruszcu. Przed 1914 rokiem wciąż jednak jeszcze pokrycie kruszcowe emisji wynosiło conajmniej 75%, a w niektórych krajach dochodziło do 90%. Przy tym banknot był każdej chwili wymierny na złoto i nie było w szeregu państw przymusu ich przyjmowania. Był on więc raczej notą zastępującą pieniądz właściwy t. j. monetę kruszczową, niż pieniądzem w ścisłym tego słowa znaczeniu. Zmieniło się to gruntownie w czasie ubiegłej wojny i po niej. Zawieszona w czasie wojny wymierny banknotów na złoto została po wojnie w większości państw w nieznacznym stopniu przywrócona. Ustawowe pokrycie emisji banknotów kruszczem spadło przeważnie poniżej 50%, a w szeregu krajów poniżej 30%. Monety złote znikły z obiegu rynkowego. Wprawdzie około 1924 r. we wszystkich niemal państwach europejskich zrównano kurs banknotów z wartością nabywczą ilości kruszcu, jaką banknoty te teoretycznie reprezentowały (praktycznie bowiem banknot reprezentuje kruszec tylko wtedy, gdy jest nań każdej chwili wymierny). Przy tym w jednych państwach jak n. p. w Wielkiej Brytanii podniesiono odpowiednio kurs banknotów, w innych jak we Francji i Włoszech obniżono zawartość złota w jednostce monetarnej. Myśmy też tak postąpili w 1926 r. Ale w czasie kryzysu światowego nasamprzód Wielka Brytania spuściła świadomie i planowo kurs swego banknotu poniżej równi złota. Za nią uczyniły to wszystkie państwa tak zwanego „bloku sterlingowego“. Później, choć z innych motywów Roosevelt oderwał banknot dolarowy od złota, czyniąc pieniądz tak zwany manewrowy, t. j. pieniądz, którego zmianami kursu możnaby regulować koniunkturę rynkową. Wreszcie, choć z innych jeszcze powodów, uczynił to we Francji rząd Bluma. Tylko nasze rządy uważały za szczyt mądrości ekonomicznej uporczywe trzymanie kursu złotego papierowego na równi teore-



tycznej zawartości w nim złota. W drugiej połowie przeszłego dziesięciolecia pieniądź w całym cywilizowanym świecie przestał być rzeczą posiadającą własną wartość — a stał się tylko uprawnieniem do dysponowania częścią zaofiarowanych na rynku dóbr i usług. Nikt, ani największy kapitalista, ani najskromniejszy robotnik otrzymując do swej dyspozycji banknoty nie myśli dziś o tym, wiele one reprezentują kruszcu, jeno wiele za nie można nabyć przeróżnych rzeczy i prac.

Ta zmiana charakteru pieniądza, ta ostateczna jego dematerializacja ma dla nas olbrzymie i to dodatnie znaczenie. Uniezależnia ona w ogromnym stopniu naszą politykę społeczno-gospodarczą od krajów posiadających czy to kopalnie złota i srebra, czy też nagromadzone w bankach wielkie zasoby tych kruszców. Nasza polityka walutowo-kredytowa może być o wiele bardziej samodzielną. Zanim jednak bliżej ją określimy sobie, musimy nasamprzód jeszcze wyjaśnić sobie należycie 1) rolę kapitałów pieniężnych we współczesnym życiu społeczno-gospodarczym, 2) funkcjonowanie współczesnego systemu kredytowego.

Według merkantylistów XVII i XVIII stulecia — naczelnym czynnikiem postępu bogactwa narodów było zwiększanie się posiadanych przez nie sum pieniężnych. Adam Smith w końcu XVIII wieku postawił twierdzenie, że bogactwem narodów są stojące do ich dyspozycji zasoby dóbr użytecznych, a nie sumy pieniędzy. Te ostatnie są tylko jako narzędzia wymiany i mierniki wartości, oznaką bogactwa, ale nie bogactwem.

A jednak polityka merkantylna dała narodom, które ją prowadziły, t. j. Wielkiej Brytanii, Holandii, Belgii i Francji przodujące dotychczas miejsca w gospodarczej hierarchii krajów europejskich. Nie była więc zupełnie błędną doktryna merkantylna. Zasoby pieniężne nie są oczywiście same przez się bogactwem. Ale posiadanie odpowiednich sum kapitałów pieniężnych jest dziś niezbędnym warunkiem postępu gospodarczego społeczeństw. Kapitały pieniężne są bowiem w społeczeństwach niekomunistycznych nieodzownym narzędziem przemieniania istniejących w nich w formie przyrodniczych zasobów kraju, sił roboczych, talentów organizacyjnych, umiejętności technicz-

nych — potencjalnych energii gospodarczych na czynne energie gospodarcze.

Czynnymi bowiem energiami gospodarczymi są tylko działania gospodarstw i przedsiębiorstw. A w każdym gospodarstwie i przedsiębiorstwie następuje zespolenie kierowniczej inicjatywy z pracą wykonawczą przetwarzającą pewne surowce lub półfabrykaty czy eksploatującą pewne zasoby przyrodnicze przy pomocy pewnych narzędzi lub maszyn. Zespolenie to zaś dokonywuje się w krajach o prywatnej przedsiębiorczości drogą kupna i najmu przy pomocy pieniędzy. Były swego czasu złoża węgla w Dąbrowie Górniczej, byli ludzie poszukujący pracy, byli technicy potrzebni dla kierowania pracą w kopalniach, ale nie było kopalń, póki nie zjawili się przedsiębiorcy z odpowiednimi kapitałami pieniężnymi, którzy najęli inżynierów i robotników, kupili potrzebne maszyny, wybudowali należyte budynki. Zastąpić kapitały pieniężne w tej roli koordynatora poszczególnych elementów produkcji i czynnika przetwarzającego przez to potencjalne energie gospodarcze w energie czynne, może jedynie rozkazodawstwo władzy państwowej w państwie komunistycznym.

A że Polska nie zamierza wprowadzać u siebie ustroju komunistycznego — zatem musimy zgoła niewystarczające dla odbudowy kraju kapitały pieniężne, jakie zastaniemy w krajowych instytucjach kredytowych i jakie będzie mogło społeczeństwo nasze odłożyć z bieżących swych zarobków — uzupełnić przez odpowiednie operacje kredytowe.

Czy jest jednak możliwe tworzenie operacjami kredytowymi nowych kapitałów pieniężnych, a nie tylko zespalanie w nie przeróżnych oszczędności oraz przenoszenie ich z dyspozycji jednych osób czy gospodarstw i przedsiębiorstw do dyspozycji innych gospodarzających jednostek?

Klasyczna definicja kredytu głosiła, że istotą jego jest dostarczanie dóbr za otrzymywany dopiero po upływie pewnego czasu równoznacznik ich wartości wraz z wynagrodzeniem korzyści płynącej z gospodarczego użytkowania odnośnych dóbr w danym okresie czasu. Takim był zawsze i jest również dziś kredyt towarowy.

Takim był również kredyt pieniężny w starożytności oraz w wiekach średnich i na ogół w czasach nowożytnych aż do końca niemal ubiegłego stulecia. Istotnym zadaniem



ówczesnych instytucji kredytowych, nie wyłączając banków emisyjnych, było gromadzenie oszczędności, któreby, pozostając w bezpośrednim rozporządzeniu ich właścicieli nie przynosiły zysku, po to, by przemienić je w przynoszące zysk kapitały, oddając je pod pewnymi warunkami i na czas pewien do dyspozycji przedsiębiorstw, rozszerzających przy ich pomocy swe obroty rynkowe i zwiększających uzyskiwane z tych obrotów zyski.

Już jednak w połowie XIX w. ekonomista niemiecki Rau przepowiedział, że po okresie gospodarki pieniężnej przyjdzie okres gospodarki kredytowej. I rzeczywiście dziś w nim żyjemy. Rozwój techniki bankowej stworzył, jak na to słusznie zwrócił uwagę Keynes, obok pieniądza gotówkowego tak nazwany przez niego „pieniądz bankowy“.

W początku 1938 r. mieliśmy w obiegu banknotów na sumę 1.200 milionów. A równocześnie mieliśmy 3 miliardy wkładów bankowych. I właściciele tych wkładów mogli za ich pomocą zwalniać się ze zobowiązań płatniczych — co według prof. Krzyżanowskiego stanowi najistotniejszą funkcję pieniądza.

Zapewne te 3 miliardy wkładów bankowych składały się w przeważnej części z wpłaconych różnymi czasami do instytucji kredytowych sum pieniężnych, pochodzących z oszczędności. Ale banki nie przechowywały w swych kasach otrzymanych w ten sposób sum pieniężnych — lecz wypłacały nimi udzielane przez się kredyty. Kredyty te przez czas, na jaki zostały udzielone, zwiększają obroty rynkowe i podstawę zysków, t. j. kapitał przedsiębiorstw, które je otrzymały. Wprowadziły one więc w obieg rynkowe określane sumy kapitałów pieniężnych, nie zmniejszając jednak przez to sumy depozytów. Wyjaśnię to na przykładzie:

Jednostki A, B, C i D włożyły do banku różnymi czasami łącznie 100.000 zł banknotami. Bank wypłacił tymiż banknotami różnych pożyczek na 70.000 zł. Wypłacalność banku wobec depozytariuszów opiera się na zobowiązaniu dłużników do zwrócenia w określonych terminach udzielonych im kredytów. Ale w danym momencie z powyższych 70.000 zostało spłacone tylko 20.000. A 50.000 pozostaje jeszcze w dyspozycji odnośnych przedsiębiorstw. Jednocześnie A, B, C i D o ile nie wycofywali swych wkładów, ani

nie czynili wypłat z otwartych na ich podstawie rachunków — posiadają je nadal w pierwotnej ich wysokości 100.000 zł. Mogli oni jednak zadysponować w międzyczasie tymi swymi wkładami, zlecając przeniesienie ich na rachunek nowopowstającej fabryki. Bank takie zlecenie normalnie wypełnia. A w ten sposób w obrocie rynkowym znajdują się jednocześnie i złożone pierwotnie do banku 100.000 zł i udzielone następnie na ich podstawie dłużnikom banku a nie spłacone jeszcze 50.000. Technika bankowa zwiększyła obrót rynkowy kapitałów pieniężnych o 50.000 ponad sumę zrobionych oszczędności. W powyższym przykładzie A, B, C i D wnieśli gotówką swą wkłady do banku. I tak się przeważnie działo lat temu 50. Obecnie jednak coraz większa część t. zw. „bankowych pieniędzy“ powstaje przez tworzenie przez same banki odpowiednimi operacjami kredytowymi „wkładów bankowych“. Są to otwierane klientom na podstawie jedynie zobowiązań kredytowych konta bankowe, z których dane firmy mogą dokonywać wypłat.

Tego rodzaju pieniądź bankowy nie jest już wytworem „przyspieszonego obrotu“ wniesionymi poprzednio do banku wkładami gotówkowymi; powstaje on wyłącznie przez udzielany firmom kredyt. Oczywiście stało się to możliwe dopiero wtedy, gdy naczelnymi organizatorami przedsiębiorczości społeczeństw przestali być kupcy i fabrykanci, a stali się dyrektorzy banków. Zaczęło się to już w ostatniej ćwierci ubiegłego stulecia. Ostatecznie jednak rozwój całego przemysłu uzależnił się od finansujących go przedsiębiorstw kredytowych w wieku obecnym. Dziś nie ma jako tako poważnej firmy przemysłowej i handlowej, która nie miała konta bankowego. Ale też wobec tego coraz więcej wypłat dokonywane są nie przez przenoszenie gotówki z kasy jednego przedsiębiorstwa do drugiego, ale przez przeniesienie odnośnej sumy z jednego konta bankowego do drugiego. W miarę jak rozpowszechniała się akcyjna forma przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych rosła ich zależność od finansujących je od pierwszej chwili ich powstania, t. j. od chwili emisji ich akcji firm bankowych. A im bardziej o przyplwywie kapitałów pieniężnych do firm przemysłowych i handlowych decydowały banki — tym bardziej firmy te powierzały instytucjom



kredytowym również zwalnianie ich ze zobowiązań płatniczych. Wraz z tym obrót pieniężny między firmami przyjmował coraz bardziej formę bezgotówkowych rozrachunków. Im zaś powszechniej wypłaty i wpłaty dokonywane były przez wpisy na dobro kont jednych przedsiębiorstw a obciążanie kont drugich — tym bardziej uniezależniały się banki w przyznawaniu kredytów do uzyskanych poprzednio wkładów gotówkowych.

To też słusznie jeden z najwybitniejszych ekonomistów niemieckich trzeciego dziesięciolecia XX wieku Diel rozróżnia dwa rodzaje współczesnego kredytu bankowego: 1) tradycyjny *kredyt wtórny*, polegający na przyjmowaniu nasamprzód wkładów pieniężnych, a następnie na przekazywaniu ich w formie pożyczek krótkoterminowych (eskontu weksli) czy długoterminowych (kredytów hipotecznych) przedsiębiorstwom potrzebującym rozszerzenia swego kapitału obrotowego lub zakładowego; 2) *nowoczesny kredyt pierwiastkowy*, dostarczający przedsiębiorstwom nowych sum kapitałów pieniężnych przez samą tylko operację kredytową — a mianowicie przez otwarcie rachunków bieżących bez podkładu gotówkowych wkładów. Czym są jednak stworzone przez kredyt pierwiastkowe sumy „pieniędzy bankowych?” Czy są one jakimś realnym zbogaceniem narodu, a choćby tylko firm, którym zostały one udzielone do dyspozycji?

Oczywiście nie są one dodatkowym bogactwem — bo bogactwa czysto rachunkowymi operacjami stworzyć nie można. Ale przypominam to, co już powiedziałem poprzednio: kapitały pieniężne nie są same przez się bogactwem — są tylko narzędziem przetwarzania potencjalnych energii gospodarczych w kinetyczne. A te ostatnie tworzą rzeczywiste bogactwo. A więc ściśle mówiąc: nowoczesna technika bankowa pozwala na zespalanie wytworzonym przez „kredyt pierwiastkowy” pieniądzem bankowym, istniejących w kraju gospodarczych energii potencjalnych, t. j. poszczególnych elementów produkcji, jako to zdolności przedsiębiorczych, wiedzy technicznej, sił roboczych, znajdujących się w ziemi złoża węgla i metali, sił wodnych, źródeł ropy i gazów ziemnych w procesy wytwórcze przedsiębiorstw, t. j. w gospodarcze energie czynne. Możliwe zaś jest to dziś tym bardziej — że pieniądź przestał być rzeczą,

a stał się uprawnieniem, które może być dane równie dobrze przez wpłatę określonej sumy banknotów, jak przez zapisanie tej sumy w koncie bankowym firmy na jej dobro.

Ale wszelkie uprawnienie do dysponowania rzeczami czy usługami jest realne tylko wtedy, gdy te rzeczy lub usługi istnieją w odpowiednich ilościach. Więc pomimo wszelkie rachunkowe zabiegi każdej nowozjawiającej się sumie „pieniądza bankowego“ tworzonej przez kredyt pierwiastkowy musi odpowiadać równowartościowy *kapitał rzeczowy*, t. j. zasób dóbr, stanowiący trwałą podstawę dochodowej działalności gospodarczej, jako to maszyn, narzędzi, budynków, kopalń, zapasów materiałów produkcji, zasobów towarów przeznaczonych do sprzedaży, środków komunikacyjnych, melioracji rolnych.

Co jednak w takim razie daje społeczeństwu tworzenie za pomocą kredytu pierwiastkowego nowych kapitałów pieniężnych pod postacią pieniądza bankowego?

Czy dzięki wytwarzanym przez kredyt pierwiastkowy kapitałom pieniężnym — nie musimy dla tworzenia kapitałów rzeczowych zużywać części realnego dochodu społecznego na inwestycje zamiast na konsumpcję?

Oczywiście, żadne operacje bankowe nie zmieniają faktu, że im więcej robotników i inżynierów buduje drogi, elektrownie, fabryki, wydobywa węgiel i żelazo, wytwarza maszyny, reguluje rzeki — tym mniej robotników sporządza meble, obuwie, ubrania, konserwy owocowe, czekoladę, szklanki, talerze i t. p., że więc im więcej zużywamy zasobów i sił wytwórczych na inwestycje, t. j. na powiększanie kapitałów rzeczowych — tym mniej pozostaje ich na pełniejsze zaspakajanie bieżących potrzeb gospodarczych.

Kapitały rzeczowe powstają zawsze przez przeznaczenie na ich produkcję części sił wytwórczych społeczeństwa względnie przez pomniejszenie wyrażającego się w konsumpcji dochodu społecznego.

Ale gdy operując tylko gotówkowym pieniądzem i wtórnym kredytem — rozmiar inwestycji, wytwarzających nowe kapitały rzeczowe jest ściśle uzależniony od rozmiaru nagromadzonych już sum pieniężnych, oszczędzonych z *poprzednich dochodów* — to operując pieniądzem bankowym i kredytem pierwiastkowym możemy uruchamiać w procesach wytwórczych istniejące w kraju elementy pro-



dukcji, przemieniając gospodarcze energie potencjalne w czynne przez wprowadzenie w obrót rynkowy dla zakupu surowców, narzędzi i maszyn oraz najem robotników i kierowniczego personelu sum pieniężnych reprezentujących oszczędności, które będą zrobione z *przyszłych dochodów*.

Dematerializacja pieniądza uniezależnia nas silnie od przyływu kapitałów pieniężnych z krajów posiadających duże zapasy złota.

Rozwój pieniądza bankowego i kredytu pierwiastkowego wyzwała w znacznym stopniu naszą przedsiębiorczość z wiewóz, jakimi krępowała ją dotychczasowa nasza bieda, wyrażająca się między innymi w niedostatecznych zasobach skapitalizowanych oszczędności.

Naczelną przyczyną naszego gospodarczego zastoju między 1919 a 1937 rokiem była ścisła zależność tempa rozwoju przedsiębiorczości od szybkości nagromadzania się pochodzących z oszczędności kapitałów pieniężnych.

Współczesny rozwój techniki bankowej, pozwala wszakże na stworzenie systemu walutowo-krdytowego uzupełniającego niedostateczne nagromadzenie się oszczędności gotówkowych oraz niedostateczny przyływ pieniężnych kapitałów zagranicznych przez wytwarzany kredytem pierwiastkowym pieniądz bankowy w rozmiarach umożliwiających produkcyjne użytkowanie wszystkich istniejących w Polsce elementów wytwórczości.

W ten sposób przyszły nasz rozwój gospodarczy nie będzie krępowany już dotychczasowym brakiem kapitałów pieniężnych, będzie zależał jedynie od własnych naszych zdolności organizacyjnych, od sumy naszych inicjatyw przedsiębiorczych, od ilości i jakości kierowników technicznych, ilości i jakości robotników oraz maszyn, narzędzi i surowców, jakimi będziemy mogli rozporządzać.

Oczywiście nie wyzwała to nas w pełni z krępujących naszą przedsiębiorczość oddziaływania dawnej naszej biedy. Bo wskutek niej brak nam i wielu realnych elementów produkcji: zarówno urządzeń gospodarczych, jak i należyście wykwalifikowanych pracowników. To też nie możemy marzyć o dorównaniu za życia obecnego pokolenia dobrobytem Anglii, posiadającej dziś pięciokrotnie większy od nas dochód społeczny. Ale realnym jest dążenie do dwu-

krotnego zwiększenia skali życiowej i naszych kapitałów rzeczowych w ciągu następnego dwudziestolecia.

Niezbędnym tego wszakże warunkiem jest — ażeby stwarzany przez kredyt pierwiastkowy pieniądz bankowy nie tracił swej siły nabywczej w miarę zwiększania się jego ilości. Przy inflacyjnej bowiem dewaluacji pieniądza — może wraz z powiększeniem się jego ilości — wartość nabywczą całej jego sumy nie tylko nie wzrastać, ale nawet maleć. Tak było u nas w 1922 i 1923 r. Żeby u nas nie było inflacyjnej dewaluacji niezbędne jest, by wzrostowi kapitałów pieniężnych towarzyszył stuprocentowo równomierny wzrost kapitałów rzeczowych, względnie zasobów dóbr konsumcyjnych. Część bowiem kapitałów pieniężnych zostaje używana na najem pracowników. A wartość ich wynagrodzeń zależy od ilości dóbr, jakie mogą oni za nie nabyć dla zaspokojenia swych potrzeb.

Dla tego wszakże jest znów konieczne, ażeby wszelkie przyznawane przedsiębiorstwom kredyty, zwiększające sumę kapitałów pieniężnych: 1) były udzielane wyłącznie na cele produkcyjne, zwiększające realne bogactwo społeczeństwa, a nie dla działań zwiększających jedynie bogactwo poszczególnych firm przez zabieranie go innym jednostkom gospodarczym, 2) były w pełni użytkowywane na te właśnie produkcyjne cele, dla ziszczenia których zostały przyznane.

Tego wolna gra indywidualno-gospodarczych interesów nie zapewni. Może to uczynić tylko gospodarka planowa poddająca 1) kierownictwu państwowemu cały proces przyrostu kapitałów pieniężnych i ich przypływu do poszczególnych gałęzi przedsiębiorczości oraz 2) ścisłej kontroli zużycia kredytów inwestycyjnych odpowiednio do celów, na jakie zostały przyznane.

Najdokładniejsze jednak dostosowanie kredytowej działalności banków do ustalonego przez odpowiednią centralną władzę państwową planu odbudowy i rozwoju gospodarczych sił kraju, i najściślejsza kontrola zapewniająca, iż udzielane kredyty zużyte zostaną w pełni i wyłącznie na cele produkcyjne, dla których zostały udzielone — nie zabezpieczy jeszcze w pierwszych powojennych latach siły nabywczej naszych pieniędzy. Nie będzie bowiem w paru pierwszych latach należytego stosunku między rozmia-



rem prac inwestycyjnych a produkcją dóbr bezpośredniego użytku. Dla szybkiej odbudowy zniszczonych wojną osiedli, dla zapewnienia zarobków całej potrzebującej ich ludności — będziemy musieli przeznaczyć na roboty inwestycyjne i wprowadzić w obrót rynkowy sumy kapitałów pieniężnych, które podniosą siłę nabywczą ogółu konsumentów znacznie ponad normalną wartość znajdujących się na rynku dóbr bezpośredniego użytku. Stworzy to poważne niebezpieczeństwo spekulacyjnego wzrostu cen. Częściowo zapobiedz mu będzie można przez: a) wprowadzenie w jak najszerszych rozmiarach rozrachunków bezgotówkowych, zmniejszających nagromadzenie się banknotów w rękach pojedynczych osób, b) zorganizowanie szerokiej i naprawdę korzystnej dla szerokich warstw ludności akcji oszczędnościowej, względnie emisji papierów procentowych (pożyczek państwowych i komunalnych, oraz akcji i obligacji nowoorganizowanych z inicjatywy państwowej wielkich przedsiębiorstw); zabiegi te jednak mogą zmniejszyć w dużym stopniu niebezpieczeństwo drożyzny, dewaluującej nasze banknoty — nie usuną go jednak w zupełności. Trzeba więc będzie w pierwszych latach, dopóki nie wytworzymy należytego stosunku między pracami inwestycyjnymi a produkcją dóbr konsumpcyjnych, regulować konsumpcję w podobny sposób, jak się to dzieje obecnie w Wielkiej Brytanii. Ale i tego nie dosyć. Jeśli w tak bardzo zdyscyplinowanym społeczeństwie angielskim istnieje „czarny rynek“, to w naszym społeczeństwie, które obecnie ratuje się od śmierci głodowej przez nieustanne obchodzenie przepisów porządkowych władz okupacyjnych — będzie bardzo duża skłonność do zaopatrywania się w towary w nielegalny sposób. To też dla walki z paskarstwem trzeba będzie użyć silniejszych od stosowanych tutaj zabiegów. Policja i sądy nie wystarczą u nas. Koniecznym będzie wprowadzić przymusowe organizacje branżowe handlu detalicznego, któreby współdziałały z władzami państwowymi i komunalnymi dla szczegółowego ustalania cen i pilnowały ścisłego przestrzegania ich przez poszczególnych kupców, ponosząc niejako zbiorową odpowiedzialność za postępowanie swych członków.

Jak z powyższego wynika w pierwszych paru latach po wojnie wraz z reglamentacją konsumpcji będziemy musieli

mieć na ogół ceny nie wolno handlowe, ale normowane i to ceny nie tylko w hurtowym lecz i detalicznym handlu. Następnie trzeba będzie przywrócić dla szybszego rozwoju naszej przedsiębiorczości na ogół współzawodnictwo handlowo-przemysłowe wraz z cenami konkurencyjnymi. W systemie jednak gospodarki planowej, który będzie musiał być nadal zachowany, konieczne jest zapewnienie państwu wpływu na ogólny poziom cen, nie tylko za pośrednictwem stosownej polityki walutowo-kredytowej, lecz i przez regulowanie maksymalnej i minimalnej granicy cen oraz zafiarowania głównych czynników produkcji, a więc sił pędnych, jako to węgla, elektryczności, najważniejszych surowców krajowych i półfabrykatów: żelaza, stali, drzewa, zboża. Ceny te powinny być oczywiście normowane z równomiernym uwzględnieniem interesów zarówno przetwórców względnie ostatecznych konsumentów odnośnych dóbr, jak i ich wytwórców. Muszą one czynić produkcję ich opłacalną, ale również muszą umożliwiać produkcję ich przetworów po cenach konkurencyjnych na rynkach międzynarodowych, o ile przetwory te mają być eksportowane, względnie po cenach odpowiednich do skali zarobków tych warstw naszego społeczeństwa, których konsumpcji mają one służyć. Tak więc cena zbóż winna stać na poziomie zapewniającym pięciohektarowym gospodarstwu dochód wystarczający dla przyzwoitego utrzymania rodziny włościańskiej, a zarazem nie podnoszącym ceny mąki i chleba ponad normę konieczną dla pełnego zaspokojenia ich zapotrzebowania przez warstwę niewykwalifikowanych robotników. Z obliczeń prof. Bujaka i moich, robionych w 1937 r. w lwowskiej izbie rolniczej wynikało, iż obu tym postulatom czyniłaby zadość cena żyta wahająca się zależnie od urodzaju w granicach 22 do 25 zł. za cetnar metryczny. By wszakże utrzymać stale na takim poziomie ceny zbożowe — jest naprawdę tylko jeden skuteczny środek, t. j. monopol handlu zbożem. Premie eksportowe okazały się już bezskuteczne. Monopol ten powinna wykonywać specjalnie do tego powołana instytucja społeczna oparta o samorządy gospodarcze: rolniczy, handlowo-przemysłowy i robotniczy. Dla zapewnienia zaś należytego wpływu władzy państwowej na poziom cen i rozmiar zafiarowania naczelných sił pędnych oraz metali wystarcza-



łaby w normalnych warunkach organizacja branżowa odnośnych kopalń, hut i fabryk oraz poddanie polityki tych związków kontroli odpowiednich władz państwowych. Skuteczność zaś tej kontroli gwarantowałaby bardziej jeszcze od przepisów prawnych, zwiększona znacznie po wojnie na całym kontynencie zależność odnośnych przedsiębiorstw od akcji kredytowej banków emisyjnych.

Ingerencja państwa w całe nasze życie gospodarcze będzie dzięki właśnie decydującemu jego wpływowi na ruch kapitałów pieniężnych o wiele większa, niż przed wojną. Ale będzie ona naprawdę korzystna tylko wtedy, gdy będzie ona nie tłumić inicjatywy prywatne, lecz wręcz odwrotnie wspomagać je i nimi kierować. Zastosowany do życia społeczno-gospodarczego szablon gospodarczy — jest zawsze czynnikiem застоju, a nie postępu. Bo zawsze krępuje on twórcze inicjatywy, przedsiębiorcze energie i dorabianie się większych dochodów i majątków. Złudzeniem zaś jest wyobrażanie sobie, że może się podnosić w powszechnym swym dobrobycie społeczeństwo złożone z jednostek, których celem życiowym jest jedynie zaspakajanie swych tradycyjnych codziennych potrzeb, bez dążenia do gospodarczego i kulturalnego wywyższenia się. Twórcze inicjatywy są wszakże indywidualne. A ludzie są różni, o różnych uzdolnieniach przedsiębiorczych. Są tacy, którzy świetnie będą prowadzić niewielkie gospodarstwa czy przedsiębiorstwa, oparte przede wszystkim na ich własnej pracy przy współudziale paru tylko sił pomocniczych, ale nie potrafią organizować współpracy większych zrzeszeń ludzkich. I tu leży tajemnica tych zdarzających się niekiedy bankructw kupców czy rękodzielników, którzy tracili majątki, jakich się dorobili poczynając od drobnych przedsiębiorstw, z chwilą gdy zamieniali je na wielkie. I na odwrót, są ludzie o szczególnych zdolnościach organizacyjnych, którzy tym większe uzyskują wyniki, im większymi kierują przedsiębiorstwami. Są też ludzie znakomicie organizujący współpracę robotników, z którymi są w bezpośrednim osobistym stosunku, ale nie umiejący posługiwać się korzystnie skomplikowanym aparatem biur handlowych i technicznych oraz kierowników i nadzorców poszczególnych działów pracy.

To też przestrzegam usilnie przed modną nawet w nie-

których seminariach ekonomicznych, a nie tylko urzędach, koncepcję określania tak zwanej „optymalnej“, t. j. najkorzystniejszej wielkości przedsiębiorstw czy gospodarstw w różnych działach produkcji. Optymalna bowiem ich wielkość zależy nie tylko od momentów rzeczowych, t. j. stanu techniki oraz rodzaju rynków odbiorczych, lecz i od szczególnych uzdolnień ludzi, stojących na czele przedsiębiorstw. Optymalna wielkość dla jednego może być zgoła nieodpowiednia dla drugiego. I właśnie ta różnica ludzkiej uzdolnień sprawiła, że wszystkie przepowiednie, których było tyle w końcu przeszłego stulecia, na temat pochłonięcia przez wielko-kapitalistyczny przemysł i handel wszystkich drobnych i średnich przedsiębiorstw jako przedmiotów minionych epok, czy też odwrotnie, zachowania się w pewnych działach produkcji jedynie rękodziela — nie sprawdziły się. Najlepszy, najdokładniejszy badacz i znawca nowoczesnego kapitalizmu Sombart w ostatniej swej pracy: „Der Deutsche Socialismus“ (niemiecki socjalizm) stwierdził, że wszystkie niemal formy organizacyjne produkcji i handlu, wytworzone w poszczególnych okresach przez jakie przechodziła historia ekonomiczna Europy w ciągu średnich i nowych wieków, zachowały się do dziś dnia w mniejszym lub większym stopniu i istnieją równocześnie obok siebie. I dlatego też gospodarka planowa musi być ściśle narodową, dostosowaną dokładnie do historii i cech kulturalnych każdego narodu. Jest w tym dużo słuszności. O ile chodzi o Polskę, to w wyniku całej naszej dotychczasowej ewolucji społeczno-gospodarczej, naczelnym motorem naszego postępu ekonomicznego będą tkwiące w naszej masie włościańskiej energie przedsiębiorcze, a więc dorabianie się od małego do coraz większego dochodu i majątku. I do tego powinna być dostosowana nasza struktura zarówno społeczno-ekonomiczna, składać się z gospodarstw i przedsiębiorstw różnej wielkości od najmniejszych do największych. Jedynie w rolnictwie będzie koniecznym istnienie maksymalnej granicy majątków ziemskich, gdyż inaczej nie dałoby się doprowadzić większości gospodarstw włościańskich do samowystarczalności. Poza tym należy w naszej gospodarce planowej iść w zgodzie z ogólną tendencją rozwojową europejskiego przemysłu i handlu, która prowadzi wbrew programom nie tylko Marksa, lecz i większości eko-



nomistów kierunku liberalnego, nie do pochłaniania dawniejszych form organizacyjnych przez najnowsze i zmniejszania się przez to ich różnaitości, lecz wręcz przeciwnie do coraz większego ich różniczkowania się wraz z pojawieniem się coraz to rozmaitszych wynalazków technicznych i metod organizacji pracy jako też zbytu handlowego.

W wyniku tych wszystkich rozważań możemy sformułować naczelne cele i zasady polskiej planowej gospodarki w szeregu następujących tez. Ma ona do spełnienia:

1) Konieczne dla zabezpieczenia Polski przed nowym najazdem nieprzyjacielskim zrównanie jej sił wytwórczych z siłami wytwórczymi państw zachodnich.

2) Konieczne dla zapewnienia polskiemu narodowi należytego udziału w postępie materialnej i duchowej cywilizacji wszechludzkiej — podniesienie za życia obecnego pokolenia dochodu społecznego do poziomu istniejącego u zachodnich naszych sąsiadów.

3) Zapewnienie każdemu chcącemu pracować zatrudnienia i przyzwoitego zarobku w kraju.

4) Jak najpełniejsze szarmonizowanie dążenia jednostek do własnego dobrobytu z gospodarczym postępem całości narodowo-państwowej.

5) Stałe zmniejszanie istniejących między poszczególnymi warstwami społecznymi różnic przez podnoszenie udziału warstw żyjących z zarobków własnej pracy w dochodzie i majątku społecznym.

By te cele zostały osiągnięte niezbędne jest:

a) Przeobrażenie zawodowego podziału ludności tak, by za lat 20 procent zatrudnionych w rolnictwie obniżył się w istniejących obecnie 61% na około 40%, natomiast by procent pracowników przemysłowych podniósł się z 19% na 35%.

b) Zatrudnienie całego przyrostu ludności potrzebującej pracy zarobkowej zarówno wiejskiej jak i miejskiej w przemyśle, handlu i innych nierolniczych zawodach.

c) Przeprowadzenie niezbędnych dla dwukrotnego zwiększenia przypadającej na głowę ludności sumy produkcji i wraz z tym realnego dochodu społecznego, prac inwestycyjnych w zakresie odbudowy, rozbudowy i przebudowy osiedli nie tylko miej-

skich lecz i wiejskich, dróg i linii komunikacyjnych lądowych i morskich, elektryfikacji kraju, regulacji rzek i potoków, melioracji rolnych, budowy nowych oraz technicznych ulepszeń istniejących zakładów przemysłowych.

- d) Uzupełnienie niedostatecznej kapitalizacji prywatnej i zbyt słabego przyływu zagranicznych kapitałów inwestycyjnych przez planową akcję walutowo-kredytową tak, by rozmiar i tempo przyrostu kapitałów pieniężnych odpowiadały całkowicie ich zapotrzebowaniu na wskazane pod c) zwiększenie siły wytwórczej kraju.
- e) Planowe kierowanie ruchem kapitałów pieniężnych tak, by one szły nie tylko tam, gdzie mogą przynieść jak największe zyski, lecz przede wszystkim tam, gdzie są potrzebne dla postępu sił wytwórczych, dobrobytu i bezpieczeństwa całości narodowo-państwowej.
- f) Regulowanie rozmiaru produkcji i cen głównych sił pędnych oraz materiałów dalszej wytwórczości odpowiednio do potrzeb wskazanego pod c) rozwoju sił wytwórczych kraju.
- g) Zapewnienie ogółowi gospodarstw włościańskich niezależności ekonomicznej i stałego postępu dobrobytu przez podniesienie ich wydajności i częściowe ich uprzemysłowienie, oraz należyte dokończenie reformy rolnej.
- h) Przybliżenie skali zarobków z pracy rolnej do skali zarobków z pracy przemysłowej.
- i) Udostępnienie większości robotników przemysłowych udziału we własności przedsiębiorstw i kierownictwie ich produkcją.
- j) Umożliwienie jak największej liczbie pracowników w nierolniczych zawodach posiadanie kilkuizbowych z odpowiednimi higienicznymi urządzeniami domów, względnie mieszkań z ogrodami, dającymi zatrudnienie części członków rodziny.

Organizacyjnymi zasadami zdolnego do przeprowadzenia powyższych prac i przeobrażeń ustroju społecznego musi być:

- 1) Objęcie przez centralną władzę państwową kierow-



nictwa przedsiębiorczości społeczeństwa (t. zw. gospodarka planowa).

2) Utrzymanie nadal jako podstawowej formy organizacyjnej gospodarczej pracy i współpracy prywatnych przedsiębiorstw i gospodarstw.

3) Współistnienie wszystkich racjonalnych gospodarczo form prywatnych przedsiębiorstw wielkich, średnich i małych, indywidualnych, spółkowych i spółdzielczych, z tym jednak, że popierane będą w szczególności w zakresie drobnej i średniej przedsiębiorczości organizacje spółdzielcze, a wśród wielkich przedsiębiorstw, szczególnie w t. zw. kluczowych gałęziach produkcji znaczna ich część posiadać będzie bardziej uspołecznioną formę, zapewniającą robotnikom udział w ich własności i kierownictwie.

4) Tworzenie przedsiębiorstw państwowych i komunalnych dla spełnienia jedynie tych zadań, których w danym stanie rzeczy przedsiębiorczość prywatna wykonać nie zdoła.

5) Koncentracja znacznej większości obrotu kredytowego w bankach państwowych lub kierowanych przez centralne władze państwowe tak, by ich uzupełnieniem tylko były komunalne i spółdzielcze instytucje kredytowe oraz banki prywatne o specjalnych zadaniach. Bezpośrednią rolę władz państwowych w polskim systemie gospodarki planowej będzie:

- a) Ustalenie przy współudziale samorządów zawodowych i przedstawicieli nauk ekonomicznych planu prac zwiększających siły wytwórcze kraju, w szczególności prac inwestycyjnych.
- b) Uzupelnienie swą inicjatywą i organizacją działalności niedostatecznego zapotrzebowania tych robót ze strony prywatnych przedsiębiorstw i gospodarstw.
- c) Pozyskiwanie dla przeprowadzenia prac zwiększających wytwórczość krajową współpracę zagranicznych kapitałów inwestycyjnych oraz kredytów towarowych.
- d) Finansowanie inicjowanych przez się prac inwestycyjnych.

- e) Regulowanie odpowiednio do całego planu uprzedyslowienia kraju udziału Polski w wymianie międzynarodowej.

Natomiast wykonanie prac inicjowanych i finansowanych przez centralne władze państwowe powinno być zasadniczo funkcją przedsiębiorstw prywatnych, zarówno indywidualnych jak spółkowych i spółdzielczych. Konieczna zaś w systemie gospodarki planowej ścisła kontrola nad należytym i terminowym wykonywaniem objętych planem państwowym prac, powinna być powierzona samorządom zawodowym i terytorialnym, jako też związkom spółdzielczym.



## VI. ZAGADNIENIE INTELIGENCJI

Przez sto lat od początku trzeciego dziesięciolecia XIX wieku po co najmniej 1926 r. warstwą kierującą polskim życiem politycznym był ogół pracowników umysłowych, tak zwana: „inteligencja“.

Warstwa „inteligencji“ — było to specyficzne naszej społeczno-politycznej historii zjawisko. Na zachodzie Europy pracownicy umysłowi w olbrzymiej większości zaliczają się do mieszczaństwa (burżuazji) nawet jeśli już od kilku generacji służą na urzędach państwowych i mają odległych już tylko krewnych na stanowiskach właścicieli lub kierowników przedsiębiorstw handlowych czy przemysłowych. Bo też przeważnie są oni mieszczańskiego pochodzenia. I polityczne ich rodzin tradycje są ściśle związane z walkami „stanu trzeciego“ niejednokrotnie rewolucyjnymi, o wpływ na życie społeczne i państwowe, o zniesienie przywilejów stanowych, o wolność ekonomiczną i rządy konstytucyjne, ograniczające samowolę nie tylko monarchów, lecz i biurokracji. Tylko nieliczna „cyganeria literacka i artystyczna“ przeciwstawiała się jaskrawie mieszczańskiemu życiu. Ale też nie miała ona ani w Anglii ani we Francji ani w Niemczech żadnej społeczno-politycznej roli. Wprawdzie w Niemczech mówiono także o „stanie urzędniczym“ (Beamtenstand). I niewątpliwie miał on w okresie „republik Weimarskiej“ swą własną politykę, nie we wszystkim zgodną z dążeniami rządzących wówczas stronnictw: socjalistycznego i centrum, która nie mało pomogła Hitlerowi do tak łatwego opanowania władzy. Nie skupiała jednak ideowo koło siebie niemiecka biurokracja całego tamtejszego świata pracowników umysłowych. Raczej istniały du-

że przeciwieństwa poglądów między nią a innymi zawodami intelektualnymi, z których każdy miał odrębne od innych dążenia i metody myślenia.

Nasza inteligencja do końca XIX w. była przeważnie ziemiańskiego pochodzenia. W Polsce przedrozbiorowej zawodowych pracowników umysłowych wcale prawie nie było. Dopiero w Księstwie Warszawskim po 1807 r. powstała zawodowa warstwa urzędnicza. Nie ona jednak rządziła krajem, a armia. Bo też z 6 lat historii Księstwa — 3 były latami wojny: 1807, 1809 i 1812. W wojsku tym zaś byli przeważnie oficerowie i podoficerowie, co razem z francuskimi armiami przeszli parokrotnie całą Europę wywracając trony i przywracając równe wszystkim ludzi prawa. Pod ich wpływem wykształciła się umysłowość pierwszej naszej biurokracji. Pomimo upadku Napoleona i złączenia Królestwa Polskiego unią dynastyczną z Rosją — trwał między 1815 a 1830 żywy wciąż związek rozrastającej się coraz bardziej inteligencji (bo do warstwy urzędniczej i oficerskiej dołącza się jeszcze nauczycielstwo i młodzież świeżo założonych uniwersytetów: warszawskiego i wileńskiego oraz liceum krzemienieckiego) z francuskim i w ogóle zachodnio-europejskim prądem liberalnym.

Miało Królestwo swój Sejm i rząd konstytucyjny z namiestnikiem — kościuszkowskim i napoleońskim generałem Zajączkiem na czele. Ale Zajączek był powolnym narzędziem nie mającego żadnych ku temu formalnych uprawnień, a mimo to narzucającego despotycznie ministrom swą samowolę Konstantego. Jeden tylko Lubecki uniał mu się skutecznie przeciwstawić. Stawało się coraz jaśniejszym, że absolutny cesarz rosyjski nie może być naprawdę konstytucyjnym królem polskim. Szczególnie po wejściu na tron Mikołaja I. zaostrzał się coraz bardziej konflikt między posiadającym wielowiekowe tradycje swobód konstytucyjnych społeczeństwem polskim — a caratem rosyjskim. Konflikt ten znalazł jawny, jaskrawy swój wyraz w „Sądzie sejmowym“. Wydał zaś Sąd sejmowy wyrok uwalniający od winy i kary aresztowanych członków tajnych patriotycznych związków pod naciskiem warszawskiej opinii. Okazała się ona silniejszą od woli monarchy oraz przestróg członków rządu i generalicji, dyktowanych obawą o los konstytucyjnych instytucji. Nie rządziła — bo



naprawdę rządili wówczas w Królestwie jedynie Mikołaj z Konstantym, ale stała już na czele narodu w drugiej połowie dwudziestych lat ubiegłego wieku inteligencja złożona z przeważnej części oficerów i urzędników, a dalej literatów, artystów, profesorów, nauczycieli, lekarzy, adwokatów, kształcącej się młodzieży i bardziej oświeconego ziemiaństwa. Skupiała się ona przede wszystkim w Warszawie i miastach wojewódzkich i choć pochodziła niemal całkowicie z dworów szlacheckich — żyła jednak już życiem miejskim. Ale niemieszczzańskim. Zachowała ona bowiem dużo z kulturalnych i politycznych tradycji szlacheckich. Nie wszystkie one były najlepsze. Było nadal za wiele beztroski życiowej, chęci pokazania się, pańskiej ponad stan rozrzutności, pełnienia obowiązków z łaski, zawadiactwa. Ale za to było też wiele hojności, silnego poczucia osobistego i narodowego honoru, łatwego ryzykowania swym życiem i mieniem dla celów wyższych. Nade wszystko zaś pozostała żywa i silna świadomość odziedziczonej po przodkach, którzy od wieków kierowali losami Rzplitej, odpowiedzialności za przyszłość Ojczyzny i fanatyczne umiłowanie wolności.

Gdy przestały rządzić Polską dwory szlacheckie — bo rządy sprawowały już w niej państwa zaborcze — wzięły w swe ręce kierownictwo walką o zachowanie bytu narodowego i o odzyskanie niepodległości państwowej ogół pracowników umysłowych, zespolonych bez względu na różnicę zawodowych zajęć wspólną duchową kulturą oraz wspólnymi tradycjami i aspiracjami w jedną warstwę społeczną.

Była to nowa warstwa „inteligencji“ — jak już powiedziano — przeważnie szlacheckiego, ziemiańskiego pochodzenia. Ale nie ze swego szlachectwa wyprowadzała ona swe prawo i swój obowiązek przewodzenia narodowi w jego zmaganiach z obcymi rządami — choć niewątpliwie wraz z rodzinnymi tradycjami odziedziczyła uczuciowe ku temu nastawienie. A w żadnym razie nie czuła się ona reprezentantką stanowych interesów ziemiaństwa. Bo bliższe jej były od tradycji szlacheckiej Rzplitej tradycje Sejmu czteroletniego, powstania Kościuszkowskiego i współdziałania legionów z rewolucyjną Francją. A co jeszcze ważniejsze, bezpośrednim jej wrogiem było „święte przymierze“ stojące na straży nie tylko rozbioru Polski, lecz i ogół-

ño europejskiego „legityzmu“ utrzymującego na równi z prawami dynastyj prawa zwierzchniej warstwy społecznej wielkich właścicieli ziemskich. I w walce przeciwko temu wrogowi konspiracje ówczesnej naszej inteligencji wchodziły w ścisłe związki z zachodnio europejskimi masonickiego przeważnie charakteru spiskami, rekrutującymi swych członków głównie wśród liberalnej burżuazji. Szlacheckiego pochodzenia inteligencja nasza od początku swego istnienia wyznawała burżuazyjne przede wszystkim społeczno-polityczne idee. Jej to przecież dziełem było powstanie listopadowe, do wybuchu którego przyczyniło się w nie małym stopniu poczucie solidarności z „mieszczańską“ rewolucją francuską z 1830 r. Okres emigracyjnej naszej literatury (1830 - 1860) wzmocnił jeszcze bardziej wpływ wręcz odmiennych od ziemiańskiej ideologii zachodnio europejskich prądów filozoficznych, społecznych i politycznych na poglądy i dążenia inteligencji polskiej we wszystkich trzech zaborach. Już jednak emigracja prądy te przetwarzała w specyficzny sposób zabarwiając je tak powszechną na wychodźstwie idealizacją „utraconej Ojczyzny“ (wiele Ją cenić trzeba ten tylko sobie dowie — kto Ją stracił) i u jednych świadomym, u drugich podświadomym, niemniej jednak powszechnym mesjanizmem. A nauki pisarzy i emisariuszy emigracyjnych czytający i myślący nasz ogół w kraju dostosował do istniejącej w nim rzeczywistości, jakże odmiennej od tej, wśród której żyli i kształtowali swe programy i Mochnacki i Mirosławski i Worcel i Lelewel i Towiański. Zamiast bogatej burżuazji była w Polsce zacna, patriotyczna, ale niezamożna i niedość wykształcona warstwa rzemieślnicza. Żyć się z nią inteligencja nie mogła. Ale i doświadczenia własnych powstań i przychodzące z emigracji wskazania mówiły, że dla zwycięskiej walki z despotyzmem konieczny jest udział mieszczaństwa i ludu. Więc trzeba się do jednego i drugiego zbliżyć. Ale jak? Lud — to był naprawdę tylko lud włościański. Bo fabryk i robotników fabrycznych prawie jeszcze nie było. A i w zaborze austriackim i w rosyjskim do chłopów dojść można było — jeśli wbrew urzędowi carskim, to tylko przy pomocy plebanii lub dworu. Żeby jednak dwór pomógł a nie przeciwstawił się propagandzie choćby bardzo złagodzonych haseł zachodnio - europejskiego „demo-liberalizmu“, trzeba było



przede wszystkim nówej, niemniejszej niż w okresie Sejmu Czteroletniego reformy społeczno-politycznych zapatrywań ziemiaństwa. Z Warszawy, z Krakowa, ze Lwowa przenikają do dworów ziemiańskich spory o uobywatelnienie włościan przez oczynszowanie czy też uwłaszczenie i nie milkną nawet po rzeź galicyjskiej. Były one treścią obrad Warszawskiego Towarzystwa Rolniczego na przełomie pięćdziesiątych i sześćdziesiątych lat. A w miastach młodzież szkół wyższych organizowała związki patriotyczne rzemieślników, które się stały następnie główną ostoją Rządu Narodowego w Warszawie w 1863 i 1864 r.

W powstaniu styczniowym wzięły udział wszystkie warstwy narodu. Wzięło w nim udział masowo drobne mieszczaństwo. Ziemiaństwo z początku patrzyło na nie z niedowierzaniem, ale w czerwcu 1863 przyłączyło się doń całym sercem. I na podstawie dokładnego przestudiowania aktów Rządu Narodowego, zdeponowanych w Raperswilu stwierdzam, że nie było ani jednej partii bez złożonego z włościan oddziału kosynierów. Ale poprzedzający powstanie ruch demonstracyjny, całe zrewolucjonizowanie nie tylko warstwy rękodzielniczej, ale i młodzieży ziemiańskiej, która spełniała bez zastrzeżeń nakazy Rządu Narodowego nie pytając się czy jest biały czy czerwony, a wreszcie cała organizacja wojskowych i cywilnych władz powstańczych — to były dzieła inteligencji.

Powstanie upadło — ale nie straciła inteligencja swej kierowniczej roli w całym coraz bogatszym w treść życiu narodowym. Zadziwiająco bowiem wyprowadziła ona należyte konsekwencje z przegranej 1864 roku. Walkę orężną zamieniła ona na walkę ideową o myśl i uczucia mas ludowych. Bezinteresowną pracą kulturalną zyskiwała ona ich zaufanie po to — by przekazać im swe patriotyczne tradycje i ambicje. Były za mych młodych lat gorące spory między zwolennikami „pracy organicznej“ a „walki czynnej“, wyznawcami programu rewolucjonizowania ludu przeciwko państwu zaborczym przez rewolucjonizowanie go społeczne a przeciwnikami wszelkiej walki klasowej, domagającymi się zespolenia wszelkich dążeń wolnościowych w jednym wspólnym wszystkim warstwom dążeniu do wolności Ojczyzny. Ale były to spory o metody i sposoby najskuteczniejszego wyzwolenia mas ludowych spod

wpływow państw zaborczych i pozyskania ich dla walki o odzyskanie Niepodległości. Naczelny cel nie tylko obydwu wielkich konspiracji: P.P.S. i Ligi Narodowej, ale i wszystkich związków i stowarzyszeń kulturalnych, w których pracowały cicho lecz niezwykle ofiarnie i wytrwale setki inteligentów na przestrzeni całej Polski przez co najmniej lat 35 (od 1880 po 1914): Sokoła, Macierzy Szkolnych, Towarzystwa Szkoły Ludowej, Kólek Rolniczych, Banków Ludowych, Rolników, był ten sam: zdobyć duszę ludu polskiego dla Polski. Ten swój cel osiągnęła nasza inteligencja w pełni już w końcu XIX wieku w Wielkopolsce i na Pomorzu — a w Galicji, Królestwie i na Śląsku między 1905 a 1914 rokiem. I przede wszystkim dzięki temu odzyskaliśmy w czasie poprzedniej wojny światowej Niepodległość.

Byłem jednym z założycieli P.P.S., a po tym jednym z nienajmniej czynnych przewodców Narodowej Demokracji, w ostatnim zaś dziesięcioleciu współdziałałem w niej jednym ze Stronnictwem Ludowym. Nie mam więc zgoła powodu do pomniejszania roli stronnictw i konspiracji w walce o wyzwolenie Polski. Obiektywizm historyczny nakazuje mi jednak położyć nacisk na fakt, że ogromna większość prac, które najbardziej się przyczyniły do patriotycznego uświadomienia ludu powstała nie z partyjnych inicjatyw. Patriotyczna praca stronnictw była nie źródłem ale jednym z przejawów powszechnej wśród ogółu naszych pracowników umysłowych i zespalającej ich pomimo różnic zawodowych zajęć i nawet przynależności partyjnej w jedną warstwę społeczną, świadomości obowiązku pracy wśród ludu dla Polski, by poczuł się on na równi z najbardziej oświeconymi warstwami spadkobiercą całej tysiącletniej historii narodu.

Inteligencja nasza spełniła należycie swe zadanie dziejowe. Synteza odziedziczonego po przodkach, którzy na sejmikach i na sejmach decydowali o sprawach Rzplitej i byli niezależnymi panami na swych folwarkach, poczucia odpowiedzialności za losy Ojczyzny, niezależności obywatelskiej i swej wyższości gospodarzy kraju nad przysyłanymi przez zaborcze rządy na urzędy administracyjne obcymi przybłędami — z nowoczesnymi zachodnio europejskimi kierunkami ideowymi dała doskonale wyniki. A to tym



bardziej, że pochodząca ze szlacheckiego ziemiaństwa, ale mieszkająca w miastach, mająca wspólnie z mieszczaństwem tradycje powstańcze i tradycyjnie też szukająca dla siebie wzorów w przodujących ogólnoludzkemu postępowi zachodnio-europejskich prądach ideowych miała inteligencja nasza szczególnie korzystne warunki dla rzeczywistego przodowania narodowi w najszlachetniejszych jego dążeniach.

A dziś?

Dziś jak gdyby nie było inteligencji jako samodziel- nego czynnika życia narodowego.

Czy po odzyskaniu Niepodległości stała się ona zbędną?

Czy też zatraciła ona swą jedność duchową i rozpadła się na szereg grup zawodowych i partyjnych? Czy może znikły w niej cechy, które czyniły z niej warstwę kierowniczą, dawały jej poczucie szczególnych jej zadań do wypełnienia w dziejach narodu i wytworzyły tak silne w ostatnim półwieczu promieniowanie jej ideologii na całą resztę narodu, iż już w pierwszym dziesięcioleciu obecnego stulecia najszersze warstwy ludowe nie ustępowały ambicją narodową i gotowością do ofiar Ojczyzny warstwom najbardziej oświeconym i najmajątniejszym? Wszystko to się stało po części — ale nie na tyle, by ta specyficzna nasza polska warstwa inteligencji przestała już istnieć i rola jej w naszych dziejach całkowicie się już skończyła. Niewątpliwie jednak przechodzi ona od lat conajmniej 15-tu ciężki kryzys, który się odbił bardzo szkodliwie na całym naszym życiu narodowo-państwowym.

Są wprawdzie jeszcze wśród nas ludzie, którzy nadal wmawiają w siebie i chętnieby wmawiali we wszystkich, że za rządów sanacyjnych wszystko było w Polsce „byczo”. Naprawdę jest ich jednak już bardzo niewiele. Okres pomajowy pozostanie w naszej historii okresem szczególnie smutnej pamięci: latami zaniku praworządności i kultu niekompetencji, powszechnego zakłamania i braku cywilnej odwagi, niesprawiedliwych wyroków sądowych dla dogodzenia partyjnym czy osobistym porachunkom rządzącej kliki, panoszenia się bojówkarstwa wszelkiego rodzaju, skrytobójczego mordowania przeciwników politycznych, pustych mocarstwowych frazesów przy bezdennie lekko-

myślnym zaniedbaniu rzeczywistych przygotowań do wojny.

Ale czy można za to wszystko winić tylko Piłsudskiego i byłych legionistów?

Piłsudski miał naprawdę wielką ambicję narodową i potężną wolę realizowania jej. Umiał też on budzić ją w masach przede wszystkim swych żołnierzy. Ale był w nim nadmierny egotyzm (choć zgoła nie egoizm). Stawiał on we własnej swej myśli swoje „ja“ wysoko ponad naród. I kochał tylko abstrakcyjną Polskę — ale nie realnych Polaków i nie naród polski. Naród był dlań materiałem, z którego chciał stworzyć wymarzoną przez się Polskę — tak jak dla rzeźbiarza marmur jest tylko materiałem, z którego wykuwa on wymarzoną przez się postać. Więc przyszłość, dobro Polski utożsamiał z posłuszeństwem narodu jego woli. Byle mógł realizować w pełni swe zamysły. A jak — mniejsza o to. A że miał on przy tym od najmłodszych lat duże lekceważenie cudzych indywidualności — i że zawsze łatwiej jest zniewalać ludzi grając na ich złych, niż dobrych instynktach — więc był mimo woli (powtarzam; mimo woli; bo świadomie czego innego pragnął) nie tylko wielkim inicjatorem mocarstwowych dążeń narodu, ale również i fatalnym demoralizatorem swych podwładnych. A jego następcy Mościcki i Rydz odziedziczyli po nim w pełni kult własnej osobowości, pewność siebie i utożsamianie dobra państwa z własną samowolą — jeno bez krzty jego talentu i idealizmu. Gdy zaś nie stać ich było na istotną indywidualną twórczość — losy Polski podporządkowali już nie swemu egotyzmowi (u Piłsudskiego nieraz nawet romantycznie bezinteresownemu) ale bardzo poziomemu egoizmowi: Byli już oni tylko demoralizatorami naszego życia politycznego.

Przypominam wszakże, że dopiero w parę lat po zamachu majowym był Brześć. Z początku Piłsudski bardzo ogłędnie badał, wiele bezprawia zniesie bez oporu społeczeństwo i dla zamaskowania swej polityki „utrudniania“ — wedle własnych jego słów — pracy każdemu Sejmowi“ utrzymywał dość długo pseudo-parlamentarne rządy Bartla. A gdy spotkał się on przy próbie rozpędzenia sejmu przez oficerów ze stanowczym odporem Marszałka Daszyńskiego — cofnął się. Ale właśnie ze strony stanowiącego naj-



licniejszą część naszej inteligencji ogółu urzędników państwowych, nie spotkał się on nigdy z żadnym poważnym oporem. I to bynajmniej, nie dlatego — by uznawano słuszność jego zarządzeń. Działała tu przeważnie tylko obawa o własne kariery. W ciągu dziesięciu lat nasz świat urzędniczy zapomniał zupełnie o dawniejszych swych ideach służby narodowej, ścisłego wykonywania przepisów prawnych, bezstronnego wymiaru sprawiedliwości: niezwykle zaś łatwo przejął się hasłem „trzymania za pysk“ i przywykł nie widzieć, a tym bardziej nie mówić przełożonym niczego, coby im mogło być niemiłym. By osiągnąć to — wystarczyło pensjonowanie w ciągu pierwszych 5 lat za „nieprawomyślność“ najwyżej 10% urzędników i nauczycieli. Pozostałych 90% nie tylko się za nimi nie ujęło (choć umieją to robić robotnicy fabryczni) — ale skwapliwie zalecało dzieciom śpiewać 1. Brygadę i pisać imiennowe kartki na Maderę oraz uczyło się mówić z lekceważeniem o „konstytucie“ i „ślabowanych portkach“, tępić każdą krytykę zarządzeń administracyjnych jako „działalność antypaństwową“, poprawiać w urnach wyborczych wyniki głosowań i naginać postanowienia ustaw do zamiarów rządowych. Niemożliwe byłyby te wszystkie, jakie się działy, nadużycia rządów sanacyjnych, gdyby bezprawne zarządzenia ministrów i wojewodów spotkały się z takim chociażby odporem ogółu urzędniczego, szczególnie sędziowskiego, jaki doprowadził był w Galicji na parę lat przed wojną światową prof. Bobrzyńskiego do ustąpienia ze stanowiska namiestnika.

Więc kryzys inteligencji przyczynił się nie mało do pomajowego kryzysu całego naszego życia państwowego. I bez przewyciężenia go najlepsza nawet konstytucja nie zapewni dobrych naprawdę, zdolnych do ziszczenia dziejowych zadań Polski rządów.

Co go jednak wywołało? Po części — napływ do inteligencji coraz większych zastępów ludzi pochodzących w pierwszej generacji z warstw ludowych. Ludzie ci, nie posiadający żadnego osobistego majątku, ani też rodzin zdolnych okazać im w razie potrzeby poważniejszą pomoc finansową, i dobrze przy tym pamiętający biedę, przez którą przeszli zanim zdobyli posadę, zapewniającą im względny dobrobyt — o wiele bardziej obawiali się utraty urzędo-

wych stanowisk, niż dawniejsi urzędnicy, pochodzący z rodzin zamożnych. Dla zachowania niezależności myśli i postępowania przy niezależności gospodarczej wystarczy trochę charakteru i poczucia osobistej godności — ale gdy w razie nielaski przełożonej władzy grozi nędza — trzeba bohaterstwa.

Nie tu jednak leży główna przyczyna tego powszechnego obniżenia się siły odpornej naszej nie tylko urzędniczej na bezprawne naciski z góry. Bo gdy chodziło o obronę swych zawodowych interesów — to taki np. Związek Nauczycielski potrafił nie uląć się najostrejszym gróźbom i represjom ministra, zdając sobie dobrze sprawę, że cisła solidarność ogółu pracowników daje im z reguły przewagę nad pracodawcą. Ale choć w rozmowie w cztery oczy każdy nauczyciel był postępowcem, demokratą, zdecydowanym przeciwnikiem jakichkolwiek nadużyć władzy — olbrzymia ich większość działała w B.B.W.R. i O.Z.N., organizacjach jawnie zwalczających „demoliberalne przesady“. I muszę jedno jeszcze stwierdzić: w ostatnich przed wojną latach widziałem dość dużo ludzi na prawdę zamożnych, a mimo to bojących się czymkolwiek narazić na niezadowolone rządzącej klikie. A byli między nimi i profesorowie uniwersytetu, którzy nie wahali się swego czasu podpisać protest przeciwko brzeskiemu bezprawiu. Równocześnie z radością patrzyłem na szereg młodych magistrów, synów małorolnych włościan i robotników, odmawiających zdecydowanie przystąpienia do Strzelca czy O.Z.N., choć od tego uzależniano przyjęcie ich na służbę państwową. Byli i ideowi biedacy. Ale wśród ogółu inteligencji bez różnicy jej pochodzenia z biednych czy zamożnych rodzin, z roku na rok szerzyła się coraz bardziej bezideowość i ogarniał ją coraz płytszy posybilizm życiowy. Niejeden, który jeszcze w przededniu wojny światowej i w czasie niej rzucał na prawdę „swój los na stos“ (byli tacy nie tylko w 1. brygadzie) — po 1930 roku w całym swym postępowaniu kierował się jedynie wyczuciem „skąd wiatr wieje“.

Nie chcę bynajmniej pomniejszać wielkiej doniosłości ofiarnej i wytrwałej pracy ideowych grup inteligencji. Były one nie tylko w wielkich miastach, ale i na prowincji, nie tylko wśród stronnictw opozycyjnych, ale i wśród bezpartyjnych pracowników przeróżnych organizacji kultu-



ralnych męskich i żeńskich. Liczba ich wszakże w ostatnim dziesięcioleciu nie rosła, a malała. I co gorsze, grupy ideowe coraz słabiej promieniowały na ogół inteligencji, coraz bardziej się same w sobie zamykały. Inteligencja jak gdyby się rozpadła na dwa sobie zgoła obce, nie mające wspólnego języka światy: zasłaniających swą pustką ideową buńczucznym prorządowym frazesem posybilistów — i ideowców ofiarnie walczących o realizację swych społecznych czy narodowych programów wbrew najczęściej stawianym im przez władze państwowe przeszkodom.

Ale nie dlatego ogół inteligencji ogarniała bezideość, że skarłały charaktery. Raczej odwrotnie — charaktery słabły, bo zabrakło inteligencji zespalającej ją poprzednio idei.

Po odzyskaniu bytu państwowego „Niepodległość“ przestała być ideałem, stała się codzienną rzeczywistością, nie zawsze świetlaną. I gdy już nie trzeba było walczyć o uzyskanie należnego miejsca w świecie dla Polski — boć przecie zapewniano wszystkim, wszędzie i zawsze, że jesteśmy wielką mocarstwową potęgą — to czyż nie najstuszniejszym było troszczyć się przede wszystkim o jak najlepsze dla siebie i swej rodziny stanowisko w Polsce.

Kryzys naszej inteligencji stąd nade wszystko powstał, że gdy został ziszczony ideał Wolnej Ojczyzny, w walce o realizację którego przewodnią ona miała w narodzie rolę — nie stworzyła następnie nowego ideału, który by mógł ją również silnie jak poprzedni zespałać i wieść „nad poziom“.

I jeśli nie obejmie inteligencji w najbliższym czasie nowy wielki prąd ideowy — to rozpadnie się ona nie tylko na szereg grup zawodowych, ale i na niezliczone koterie i koteryjki wzajemnie się zwalczające w wyścigach karier. Ale dla realizacji nowego ideału trzeba nowego też trybu życia. Bo choć wkrótce większość naszej inteligencji będzie już ludowego pochodzenia — ogół jej żyje wciąż pseudo-pańską kulturą szlachecką zwyrodniającą się coraz bardziej na bruku miejskim, w ciasnych dwu — czy trzy izbowych mieszkaniach i przy ciągłych kłopotach, jak „dociągnąć do pierwszego“.

I oto staje przed nami jako jedno z naczelných zadań lepszej przyszłości Polski — zagadnienie dalszej roli naszej

inteligencji. Składa się ono z dwóch pozornie odrębnych, naprawdę jednak ściśle z sobą związanych spraw: nowego przewodniego ideału życia narodowego i nowego typu kulturalnego życia inteligencji.

\* \* \*

Nie jest ideą ani „potęga mocarstwowa“ ani „obronność państwa“ ani „Wielka Polska“. To są zwykłe nakazy samozachowawczego instynktu narodowego. Boć najprostszy instynkt samozachowawczy nam mówi, że mając na wschodzie i na zachodzie potężnych sąsiadów, ostoimy się tylko jako rzeczywista siła polityczno-militarna, a jest nią państwo zdolne do skutecznego bronięcia swych granic, obrona zaś zbyt ciasnych granic jest niemożliwa.

Są wprawdzie ludzie, którzy bohaterskich dokonywują czynów w walce o własną potęgę i wnoszą się „nad poziom“ w dążeniu do bogactwa. O takich ludziach czytaliśmy prawie wszyscy w powieściach Londona. Ale w Polsce ich nie widziałem i nie ma ich w polskiej literaturze. Marek z „Dewajtisu“ jest w swej pracy gospodarczej bohaterem, idealistą — gdyż walczy on o ziemię nie dla siebie, jeno dla Polski.

Taka jest już nasza polska dusza. Sobkostwo jest u nas zawsze małoduszne. Wielkoduszny jest w Polsce tylko idealizm, wskazujący nam cele wyższe ponad nasze własne „ja“. Polak jest albo romantykiem — albo ludzką lichotą.

I taki jest też nasz naród cały. Nie wykrzeszą z narodu naszego ognia wielkich entuzjazzmów najrozumniejsze programy polityczne i ekonomiczne, jeśli jedynym ich celem będzie bardziej dostatnie, bardziej szczęśliwe dla nas samych życie.

*Potęgować i zespalać nasze siły zdoła tylko idea dziejowego posłannictwa Polski, dla ziszczenia którego musi być ona i potężną i bogatą i mieć należyte granice, i stać się państwem naprawdę chrześcijańskim.*

\* \* \*

Państwo totalne można budować samymi tylko nakazami władzy, ale nie można stworzyć państwa chrześcijańskiego jedynie od góry, przez odpowiednią organizację



władz państwowych i urzędzeń społecznych. Bo cechą najbardziej podstawową państwa chrześcijańskiego jest uznanie za naczelną jego cel realizację w całym życiu publicznym nakazów moralności chrześcijańskiej, a dlatego trzeba przede wszystkim, by nakazy te były silne w sumieniach ludzkich.

Trzeba zmienić cały tryb postępowania i myślenia całej inteligencji, stworzyć nowy typ kulturalnego jej życia, ustalić nowy kodeks dobrych obyczajów.

Bo nie zdobędą się nigdy na rzeczywistą siłę moralną ludzie, w których życiu tkwi zasadniczy fałsz. A zasadniczym fałszem jest powszechne wśród naszej inteligencji naśladowanie manier pańskich, gdy olbrzymia jej większość nie ma majątków pańskich i nie wyrosła w domach pańskich.

Dużo się u nas deklamowało o demokracji, o ludzie polskim, że w nim jest źródło siły narodu. Ale każdy niemal — kto osiągnął wyższe, a nawet średnie wykształcenie i zarabiał na życie pracą umysłową — czuł się już panem. Syn małorolnego gospodarza, którego ojciec chlubi się tym, że sam jeszcze najcięższe wykonuje prace w polu i w swej zagrodzie — uważałby w normalnych czasach za ujmę dla swej godności referenta podatku lokatorskiego w urzędzie skarbowym przyniesienie do domu worka z zakupionymi na rynku dwudziestu kilogramami kapusty. Matka sama doiła i myła krowy, zakładała im paszę, wyrzucała spod nich nawóz — ale pani synowa sama nie mogła obierać ziemniaków, myć naczyń kuchennych i talerzy, a tym bardziej podłóg — więc musiała mieć służącą, choć była młoda i silna i praca fizyczna dobrzeby jej nawet zrobiła na jej „linie”. Widzi się tu w parkach londyńskich niejednego młodego ojca, wiozącego w wózku dziecko na spacer, przy czym drepcze obok dwu, czy trzyletnie maleństwo. Ale nikt takiego obrazka z pewnością ani w Warszawie ani w Krakowie ani we Lwowie przed wojną nie widział. Szanujący się urzędnik, przyjmujący na pocztę listy polecone, mógł u nas bawić swe dzieci w domu — ale nie mógł się ośmieszać publicznym ich niańczeniem. Mogło też u naszego niezamożnego inteligenta brakować bielizny — ale musiał być garnitur wizytowy. A przy pierwszym jego awansie — żona jego zażądała futra. — Dawne szlacheckie: „zastaw się,

a postaw się“ było powszechną niemal zasadą życiową naszej inteligencji, choć duża jej część spędziła dzieciństwo w rodzinach skromnych, oszczędnych. Bo ogół naszego ludu jest rządnym, skromnym, oszczędnym i nie wstydzącym się żadnej uczciwej pracy. A to życie „nad stan“ pozorami pańskiego bytu — powodowało nieustanne w budżetach domowych naszej inteligencji deficyty. Parokrotnie przeprowadzone wśród urzędników ankiety ujawniły mocno niepokojący stan ich zadłużenia. Urzędnik zaś zadłużony nie ma wielkiej siły odpornej przeciwko pokusom ofiarowywanych mu łapówek czy naciskom z góry, domagającym się odeń działań nielegalnych lub sprzecznych z jego obywatelskim przeświadczeniem. I boi się on dzieci. Mieliśmy nawet w latach kryzysu jeden z najsilniejszych w Europie przyrostów ludności. Ale wśród inteligencji nie było w ostatnim dziesięcioleciu przeciętnie nawet dwojga dzieci na rodzinę. Warstwa naszej inteligencji mogła się zwiększać już tylko przy pomocy do niej młodzieży pochodzenia ludowego. Własnej siły rozrodczej nie posiadała. Jeśli się to nie zmieni, nie tylko procent lecz i absolutna liczba pracowników umysłowych, wychowanych w rodzinach inteligentnych, w których dziecko może nie tylko w szkole, lecz i z rozmów rodziców i krewnych, oraz z biblioteczki domowej nabierać wiadomości o historii, literaturze, sprawach społecznych i politycznych, życiu w innych krajach — będzie u nas maleć. Nie będzie to z pożytkiem dla postępu naszej cywilizacji.

Jest to jeden z największych paradoksów współczesnego naszego życia narodowego. Ziemiaństwo straciło w ostatnim półwieku przeszło połowę swego gospodarczego stanu posiadania. Ilość dworów szlacheckich maleje ciągle. I więcej ich zlikwidowała dobrowolna, doszczętna parcelacja folwarków, niż reforma rolna. A kto z ziemian chciał się utrzymać przy swej własności — musiał się stać również pracowitym i oszczędnym gospodarzem, jak jego sąsiedzi włościanie, musiał pilnie trzymać swe rozchody z dochodami w zgodzie, zapomnieć o fumach wielkopańskich. Dawna szlachecka kultura, lekceważąca pracę i rachunkowość, jako chłopską i mieszczańską cechę, zanikała na folwarkach, natomiast krzewiła się bujnie wśród miejskiej inteligencji, szczególnie w warstwie urzędniczej. Trwała ona najsilnie



tam — gdzie była naprawdę karykaturalnym już tylko przeżytkiem.

Dawały tradycje szlacheckie poczucie siły i niezależności naszej inteligencji, gdy głównym czynnikiem naszego postępu ekonomicznego był postęp gospodarki folwarcznej i o dochody i majątki ziemiaństwa opierał się w przeważnej części rozwój naszej naukowej, literackiej i artystycznej kultury.

Dziś wszakże, gdy własność folwarczna odgrywa w naszym życiu społeczno-gospodarczym coraz mniejszą rolę, a największą ekspansję ekonomiczną i kulturalną przejawia warstwa włościańska — przywrócić w inteligencji tak silnie w niej osłabione poczucia siły i niezależności, zdoła jedynie zdecydowany zwrot ku kulturze ludowej, kulturze ludzi pracy.

W początkach tego stulecia odnalazł Jerzy Warchałowski piękno malowanych skrzyń krakowskich, łowickich wystrzyganeł i całej sztuki ludowej. Wyspiański — ubrał króla Bolesława Śmiałego w sukmanę krakowską. Wszedł w modę ozdabianie salonów małopolskimi kilimami i liźnikami, łowickimi welniakami, wileńskimi pasiakami lnianymi, tańczenie chłopskich tańców: kujawiaka, oberka, trojaka. Już lubimy zdobić się i bawić na sposób ludowy. Czas zacząć i żyć obyczajem ludowym.

Nie znaczy to, by nasza inteligencja miała zacząć odziewać się po wiejsku, czy swą lekturę ograniczyć do czytanych po wsiach książek i czasopism. Ale dobrze będzie, jeśli się czytać będzie w rodzinach inteligentnych, tak jak czyta nasz chłop: książki i gazety pouczające lub budujące, kształtujące rozum, lub uszlachetniające serce, a przestanie się brudzić swą wyobraźnię pochłanianiem wszelakich, byle modnych, i z talentem napisanych paskudztw. Bo intelektualny snobizm, w imię którego zachwyca się najobrzydliwszymi słowami i zwrotami, gdyż napisał je „wielki artysta“ — jest naprawdę chamstwem, gdy dostojną pracą jest i orka i siew i nawet wożenie nawozu w pole, by był chleb powszedni dla ludzi. Nie ma prac szlachetnych i podłych. Wszelka praca, rzetelnie wykonywana, dla dobra nie tylko własnego, ale i bliźnich — jest szlachetna. A każda praca, nierzetelnie robiona, dla własnego jeno zysku, jest pogardy godna.

Musimy się wszyscy nauczyć cenić ludzi nie wedle tego co robią, ale jak robią.

Pierwszym przykazaniem nowego kodeksu dobrych obyczajów powinien się stać nakaz pracy rzetelnej. Są po wsiach gospodarze bogaci, zamożni, biedni, bardziej i mniej uzdolnieni. Ale mało kto nie stara się swą pracę wykonać wedle swej umiejętności i sił jaknajdokładniej, i to pracując nie tylko u siebie ale i u sąsiada. Bo inaczej nazwą go partaczem. Partacz, choćby najinteligentniejszy, najlepiej grający w brydża, mający bajecznie zawsze zawiązany krawat i wyprasowane spodnie — nie powinien być przyjmowany w przyzwoitym towarzystwie. Wtedy dopiero kultura naszej inteligencji zbliży ją do ludu, wzbudzi w nim dla niej prawdziwy szacunek i rzeczywiste do niej zaufanie, i tym samym przywróci jej rolę przewodnią w życiu narodowym. — Drugim przykazaniem kodeksu tego powinien się stać nakaz służebnego zawsze stosunku do Polski i bliźnich, bez względu na zajmowane stanowisko w hierarchii społecznej i państwowej. Tak częste dziś u nas bawienie się w „pana władzę“ powinno w opinii publicznej ośmieszać i obniżać, być uważane za nieprzystojne postępowanie, za brak dobrego wychowania. I znów powiem: każdy gospodarz wiejski ma służebny przede wszystkim do ziemi stosunek. Nie władza on swym gospodarstwem, lecz mu służy. I by zaufał naprawdę inteligencji, szczególnie inteligencji urzędniczej — musi widzieć, że i ona nie chce włądać państwem, lecz mu służyć.

Trzeba zmienić wiele innych jeszcze obyczajów naszych warstw wykształconych. Nie zamierzam jednak formułować tu pełnego kodeksu postępowania nowoczesnego dobrego Polaka. Chciałbym jednak wskazać jeszcze na dwie reformy niezwykle potrzebne już tu, w naszym życiu emigracyjnym. Nie spełnimy tu bowiem należycie swego obowiązku wobec Polski: zespolenia wszystkich naszych sił w walce o zwycięstwo nad Niemcami i zapewnienie Ojczyźnie naszej należytego miejsca wśród państw i narodów cywilizowanego świata — jeśli nie zmusimy do zamilknięcia przez silny nacisk uczciwej opinii, wszelkiej, skądkolwiek się odezwą, obmowy i zawiści.

Zaden inny naród nie wniósł tyle co starożytni Grecy do postępu wszechludzkiej myśli filozoficznej i wszelakiej



sztuki. Ale nie zachował on swej niezależności państwowej, bo za wiele w nim było wzajemnej zazdrości między poszczególnymi miastami, szczepami i pojedynczymi obywatelami. Przypominam raz jeszcze: z wyjątkiem Peryklesa, który ry w czas umarł, wszyscy naprawdę wielcy wodzowie i kierownicy rządu w Atenach kończyli życie na wygnaniu lub w więzieniu. Nie przepuszczono i największemu z mędrców greckich Sokratesowi.

Tego jednego się naprawdę dla naszej przyszłości obawiam, czyśmy pod tym względem nie zanadto podobni do Ateńczyków. Komu nie zazdrozczono u nas w ostatnim dwudziestoleciu, kogo nie szkalowano, nie ośmieszano?

W grudniu 1918 r. Warszawa witała jak króla, bohatera, zbawcę przybywającego do niej — Paderewskiego. A w pół roku po tym już go starano się ośmieszać. A gdy złożył prezesurę Rady Ministrów, nie było już dlań należytego miejsca w Polsce. I aż do samej obecnej wojny w kołach młodzieży narodowej nie mówiono o nim inaczej, jeno jak o żydofilu, masonie... Wiele też kursowało kłamstw o wielkich majątkach, których jakoby się dorobił Witos, wiele złośliwych anegdot o jego chłopskim ubraniu...

Nie było tak jednak lat temu pięćdziesiąt, ani nawet trzydzieści. Między 1900 a 1919 r. były ostre walki we wszystkich 3 zaborach między ugodowcami a wszechpółakami i socjalistami. A najostrzej bodaj ścierała się narodowa demokracja z namiestnikiem Bobrzyńskim w Galicji. Ale tylko świstki brukowe, jak wówczas mawiano „rewolwerowe“ wojowały oszczerstwami. W poważnych dziennikach polemizowano rzeczowymi argumentami i poważni przeciwnicy okazywali sobie nawzajem szacunek. Osobiste napaści szkodziły bardziej napadającemu, niż napadniętemu.

Również na wsi nie zazdrozczą ojcu, którego syn zdobył katedrę uniwersytecką, czy fotel premierowski lub stanowisko marszałka Sejmu. Ogół chłopski chlubi się, że z niego wyszli Witos, Rataj, Bujak. I w każdej poszczególnej wsi o tych paru gospodarzach, którzy dorobili się czy to majątku, czy to wójtostwa, czy mandatu do Rady Powiatowej mówi się z reguły z uznaniem, stawia się ich młodym za przykład, a nie obrzuca zawistnie podejrzeniami jakichś

nieczystych sprawek, którym jakoby zawdzięczają powodzenie.

Zawiść i obmowa to naprawdę nie narodowe nasze wady — to tylko najbrzydsze objawy przeżywanego przez naszą inteligencję w obecnych czasach kryzysu moralnego. Plenią się one w ścisłym związku z najgorszym przeżytkiem szlacheckiej ongiś kultury „sobie-państwem“ „Sobie-pan“ nie rozumie służebnego do Polski stosunku. Jest wojna. Wszyscy dobrzy Polacy powinni oddać całą swą wiedzę, inteligencję, energię w służbę systematycznej, zorganizowanej militarno-politycznej akcji państwa. Ale komuś się nie podoba osoba Premiera, czy skład Rządu, czy kierunek Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Więc ogłasza: w interesie narodowym leży, by żaden mój przyjaciel nie przyczyniał się niczym do powodzenia polityki rządowej, nawet na terenie międzynarodowym. Kto pomaga w wywalczeniu należytych dla Polski granic czy w organizowaniu naszej siły zbrojnej — przestaje być narodowcem. A dla uzasadnienia tej swej roli krytycznego tylko widza walki o pozycję Polski w świecie, wmawia się w otoczenie, a bodaj nawet w samych sobie, że najważniejsze ze wszystkiego jest, by „sobie-panki“ nie obciążały się odpowiedzialnością za obecną naszą politykę państwową i jej wyniki, które zapewne nie we wszystkim będą zadawalniające — bo... I tu już nie przebiera się w wyolbrzymianiu błędów i niedomagań działalności władz państwowych, obniżaniu osiągniętych powodzeń i korzyści dla Polski, podejrzywaniu o najfatalniejsze zamiary.

Był swego czasu we Francji dziennikarz Rochefort, którego dewizą było: insynuować, nie pytając się o prawdopodobieństwa insynuacji — bo z każdej kalumnii coś zostanie.

Znacznie wcześniej jeszcze byli w Atenach sykofanci, dokumentujący swój patriotyzm nie pracą dla Ojczyzny, czy ofiarnością dla niej, ale oskarżaniem kogoś z wybitniejszych współobywateli o niedostateczną troskę o sprawy państwa.

Sztuka robienia sobie popularności przez depopularyzowanie innych jest bardzo stara. Ale też odwiecznym jest fakt, że upadają narody, w których się ona zbyt bujnie pleni: od Rocheforta do Laval'a wiodła prosta droga.



Czas naprawdę najwyższy, byśmy, mieszkając tak długo między Anglikami, nauczyli się od nich, jak szanujący się politycy i publicyści prowadzić winni dyskusje i spory — by służyły one wyjaśnianiu prawdy, a nie wzajemnemu zwalczaniu się.

Mówi jednak niejeden: zwalczam — bo inni zanedbują się przypodchlebiają. Ale czy nie jest i odwrotnie, czy oszczercze napaści nie powodują znów przyjaciół napadającego do przesadnych na jego cześć dytyrambów.

Bizantyzm był zarówno jak sykofantyzm wytworem greckiej psyche, wprowadzającej do życia publicznego w nieproporcjonalnie wielkim stopniu walki personalne.

I podobnie się działo u nas w okresie najgłębszej dekadencji naszej kultury politycznej: za Sasów. Treścią wszystkich ówczesnych sejmów i sejmików były walki „fakcji”: Bruhłowskiej, Radziłłowskiej, hetmańskiej, rodziny (Czartoryskich) — walki prowadzone „lewym i prawym”: napaściami bojówek spinej szlachty zaściankowej, terroryzowaniem trybunałów sądowych szabłami nadwornych pańskich milicji, oszczerczymi pamfletami, przekupstwem, fałszywymi zeznaniami świadków w procesach...

Ale znikły te wszystkie „fakcje“ jak zły sen, gdy zjawił się w końcu osiemdziesiątych lat XVIII wieku nowy silny prąd ideowy gruntownej naprawy Rzeczypospolitej.

I dziś zejdzie do minimum w naszym życiu publicznym i zawiść i oszczerstwo i przypodchlebianie się i przerost osobistych próżności i nienawiści i władczy stosunek do narodu i nierzetelne wykonywanie prac i obowiązków, gdy zjawi się wśród inteligencji naszej nowy silny prąd ideowy, zespalaający nasze ambicje narodowe z poczuciem dziejowego poslannictwa Polski i wszechludzką ambicją dania z siebie cywilizowanemu światu przykladu państwa naprawde chrześcijańskiego, kierującego się naprawde zasadami etycznymi miłości bliźniego i sprawiedliwości, nie tylko w swym życiu wewnętrznym, lecz i w polityce swej międzynarodowej.

Wraz bowiem z wielką ideą przyjdzie i silna potrzeba wewnętrznej prawdy naszego życia, z którego zniknie karykaturujący go dziś fałsz, gdy nasza obyczajowa kultura wyzbędzie się wszelkich przeżytków pańskości i stanie się normą postępowania ludzi pracy i prostej, szczerzej wiary.

## VII. ATMOSFERA MORALNA.

W jednym z najpiękniejszych swych kazań, transmitowanych przez radio z Mariackiego kościoła w Krakowie, niezapomnianej pamięci ks. arcybiskup Teodorowicz mówił o zasadniczej różnicy nacjonalizmu chrześcijańskiego od nacjonalizmu pogańskiego, przestrzegając przed tym ostatnim nasz naród, w szczególności młodzież naszą. Podstawą pierwszego jest miłość — górujące nad wszelkimi innymi ukochaniami: własnej rodziny, gminy, klasy, partii politycznej, umiłowanie Ojczyzny. Podstawą drugiego jest nienawiść nasamprzód wszystkich innych narodów, a następnie i wszystkich nie podzielających tej nienawiści rodaków.

Są narody, w których pojedynczy ludzie, w swym prywatnym życiu bywają naprawdę uczynni, dobrzy, łagodni, w masie swej jednak kierują się tylko zbiorowym egoizmem i żądni są walki aż do zupełnego zniszczenia przeciwnika. W ich życiu publicznym dominują przede wszystkim wszelkiego rodzaju nienawiści.

Nie jest to dziełem przypadku, że właśnie w Niemczech narodziła się teoria socjologiczna Marksa, upatrująca w walce egoizmów klasowych właściwy czynnik wszelkiego postępu społecznego i filozofia Nitschego, gloryfikująca moralność pańską, stojącą ponad różnicą zła i dobra.

Nienawiść też górowała przez liczne wieki w wzajemnych stosunkach państwówek włoskich, szczególnie konkurujących z sobą na rynkach światowych miejskich handlowych republik. I w żadnym bodaj innym kraju europejskim nie odgrywało tej co we Włoszech politycznej roli skrytobójstwo: trucizna i sztylet najemnego mordercy. Po



zjednoczeniu jednak Włoch i uzyskaniu przez nie niepodległego bytu — kierownictwo opinii publicznej wzięli w swe ręce ludzie, którzy — jak Garibaldi — byli bojownikami wolności, nie tylko włoskiej.

Jakąż antytezą „księcia“ Machiavela — było znane dobrze i wszystkim polskim dzieciom „Serce“ Amicisa....

I jakąż antytezą zaboru Abisynii była powzięta na samym początku przeszłej wojny światowej uchwała parlamentu włoskiego domagająca się przywrócenia niepodległości Polsce.

Ale sześćdziesiąt lat życia publicznego Włoch w orbicie zachodnio-europejskiego humanitaryzmu i idei liberalno-demokratycznych nie zdołało usunąć z duszy mas włoskich instynktów wytworzonych wiekami krwawych walk domowych. I do tych instynktów odwołał się Mussolini w swej faszystowskiej „rewolucji“.

Cały społeczny program „faszyzmu“, ową przestawną „kartę pracy“ wraz z korporacyjną (ale raczej z nazwy tylko, niż z treści) organizacją przemysłu proklamował Mussolini dopiero w kilka lat po ujęciu w swe ręce pełni władzy nieograniczonej żadną kontrolą przedstawicielstwa narodowego. To był późniejszy dodatek do faszystowskiej rewolucji. Pierwotną i najistotniejszą jej treścią było postawienie na czele państwa, całej jego zewnętrznej i wewnętrznej polityki nowej „elity“, złożonej z byłych „kombatanów“.

Było zresztą już teoretyczne dla tego we włoskiej mentalności uzasadnienie: teoria Pareta, określająca politykę jako walkę o władzę nowo powstających „elit“ z przeżywającymi się.

A że cała polityka Borgiów, Medicich, Sforzów, d'Este i wielu innych „duce“ i condotierów doby Odrodzenia nie była niczym innym, jak tylko walką o władzę — więc w zgodzie i z wiekową tradycją włoską i z najnowszą socjologią włoską było zawołanie Mussoliniego: faszyści na Rzym po władzę. Dla uzasadnienia w opinii najliczniejszych we Włoszech warstw średnio zamożnych i średnio wykształconych owego „marszu na Rzym“ — trzeba było jeszcze jedynie tezy, że najwierniejszym uosobieniem patriotyzmu włoskiego, najbardziej narodową i tym samym najbardziej powołaną do rządzenia Włochami „elitą“ są

zorganizowani w związkach faszystowskich byli kombatancki.

Uczył to Mussolini po mistrzowsku. Pozyskał on przy tym dla tej tezy i króla i cały wielkokapitalistyczny świat włoski, bezwzględna swą walką z socjalistycznymi, częściowo komunizującymi związkami zawodowymi.

Ale wraz z dojściem do władzy „elity kombatanckiej“ weszła do całej polityki włoskiej wewnętrznej i zewnętrznej mentalność kombatancka, wojenna, stawiająca ponad wszystko siłę, odrzucająca wszelkie skrupuły, przeszkadzające w odniesieniu zwycięstwa, uznająca za dobre i słuszne tylko to, co pomaga do pokonania nieprzyjaciela. I wraz z tymi wojennymi metodami myślenia i działania zapanowała w polityce włoskiej i współczesnej z czasów wojny totalnej uczuciowość wojenna — nienawiść przeciwnika.

Z wniesienia metod wojennych do polityki przez kombatancką elitę zrodził się nasamprzód we Włoszech nowoczesny pogański nacjonalizm. Doprowadził go do ostatecznych logicznych konsekwencji, uderzających jawnie w całą moralność chrześcijańską — Hitler.

Ale miał on i u nas swą recepcję. I w Polsce zgłosiła swe pretensje do absolutnych rządów elita kombatancka, tym się tylko różniąca od faszystowskiej, że obejmowała ona u nas nie ogół kombatanctów, jeno tę część ich, która na początku poprzedniej wojny światowej stanęła pod wodzą Piłsudskiego przy boku Niemiec. I u nas był marsz na stolicę państwa, jeno nie bezkrwawy, jak we Włoszech. Nasz zamach majowy nie ograniczył się do frazesów i gestów wojennych, był on prawdziwą wojną domową. I odniesionym w tej bratobójczej wojnie orężnym swym zwycięstwem legitymowali nade wszystko legioniści swe prawo do rządzenia Polską wbrew chociażby większości narodu. Nie zawahano się w Sejmie głośno powiedzieć, że ci co weszli do ministerstw warszawskich przez most, nie ustąpią z nich z powodu jakiegokolwiek wyniku głosowania. Bo inna jest wartość kul, niż kartek wyborczych.

Wojna domowa została wywyższona jako najdoskonalszy sposób rozstrzygnięcia walki elit o władzę, naczelną jakoby treścią całego życia politycznego będąca. I wraz z tym została wywyższona nienawiść uprawniająca wszelkie bezprawie. W „Strzępach Meldunków“ zostało zacytowane na-



stępujące pouczenie jakie dał marsz. Piłsudski swym bliskim współpracownikom: moją metodą jest tak utrudniać życie przeciwnikom, by odechciało się im żyć. I wedle tej metody znikł bez śladu gen. Zagórski, umarł wkrótce po wyjściu z więzienia w Antokolu gen. Rozwadowski, byli bici i torturowani w Brześciu przywódcy stronnictw opozycyjnych, wyszedł w stanie agonii po dwóch miesiącach więzienia Wojciech Korfanty, który przyjechał do Polski w pełni zdrowia.

Długo nie byłem w stanie zrozumieć na czym polega „ideologia marszałka Piłsudskiego“. Bo będąc rzeczywistym dyktatorem, którego woli nikt się nie mógł sprzeciwić, przez z górą dziesięć lat nie przeprowadził w Polsce ani jednej reformy społecznej, gospodarczej czy prawno-państwowej. Jedynie, jak sam powiedział, „przeszkadzał pracować każdemu Sejmowi“. Nie wydawała mi się też dość przekonującą formuła jednego z byłych pomajowych premierów: „ideologia marszałka — bardzo prosta — trzymać za pysk“. Podczas długich rozmyślań w więzieniu doszedłem zdaje mi się do zrozumienia tej ideologii. Nie była nią wyłącznie własna jego dyktatura. Piłsudski był urodzonym władcą. Nie widział on przyszości Polski bez trwale, co najmniej przez szereg dziesięcioleci, rządzącej w Niej warstwy. Szlachta wypuściła ze swych rąk rolę kierowniczą, którą przez cały wiek XIX spełniała nie bez pożytku dla Polski. Mieszczaństwo było samodzielną, czynną społecznie i politycznie warstwą tylko w Wielkopolsce. Wśród włościan i robotników nie było dość ludzi, zdolnych naprawdę do objęcia steru rządów w państwie. Biurokrację, świeżo, na gwałt formowaną z ludzi, którzy poprzednio nie mieli najczęściej żadnej styczności z administracją państwową, trzeba było jeszcze wykształcić i wychować! A przy tym Piłsudski miał odruchową niechęć do wszelkich przepisów prawnych. I oto postanowił on dać Polsce nową zupełnie warstwę rządzącą — stawiając na czele całego życia państwowego zawodowy korpus oficerski. Pseudoparlamentarne rządy Bartla trwały tylko dopóty — dopóki nie spreparowano korpusu oficerskiego. odpowiednio do wyznaczonej mu roli rządzącej elity. A po tym przyszły wręcz antyparlamentarne i antyliberalne rządy „pułkowników“ — z urabianiem opinii publicznej pałkami bojó-

wiek sanacyjnych, fałszowaniem wyborów, łamaniem samorządów lokalnych, niszczeniem autonomii uniwersytetów, urzędowaniem Kas Chorych... We wszystkich urzędach referentami personalnymi stali się byli oficerowie. Z nich też rekrutowali się wyłącznie komisaryczni burmistrzowie. Dowódcy garnizonów w większych miastach powiatowych wyznaczali, kto ma być wybranym na prezesa miejscowego koła Towarzystwa Szkoły Ludowej, czy Macierzy Szkolnej albo Sokola.

Piłsudski rzeczywiście stworzył z zawodowego korpusu oficerskiego warstwę rządzącą. Ale warstwa ta nie okazała się bynajmniej „elitą”. Wręcz przeciwnie, wciągnąwszy armię do polityki Piłsudski obniżył jej wartość bojową. Gisz więcej się zajmował w ostatnich paru latach przygotowaniem nowych wyborów Prezydenta Rzeczypospolitej — niż wojny z Niemcami.

Natomiast wniosła ona do naszego życia politycznego kult fizycznej przemocy — owe nieszczone pacyfikacje, które tak bardzo nam w świecie anglo-saskim zaszkodziły, jednocześnie usuwając zeń jakąkolwiek możliwość uczciwych kompromisów.

W r. 1938 rozmawiałem parokrotnie z min. Kwiatkowskim o zbliżającej się wojnie, i konieczności zespolenia całego narodu. W jednej z tych rozmów minister Kwiatkowski powiedział mi, że rozpoczął konferencje z wybitnymi osobami ze stronnictwa ludowego i obozu narodowego — ale że od tej chwili nie może uzyskać rozmowy w cztery oczy z marszałkiem Rydzem, gdyż otoczenie jego boi się nade wszystko jakiegokolwiek kompromisu ze stronnictwami opozycyjnymi.

Ideologia Piłsudskiego zbankrutowała nie tylko dla tego, że powołał na warstwę rządzącą nie nadającą się do tej roli grupę zawodową — ale przede wszystkim dla tego, że w nowoczesnej demokracji w ogóle żadna klasa, ani grupa zawodowa nie może być warstwą rządzącą. Wyłaniać ją musi z siebie cały naród.

Po śmierci jednak marszałka Piłsudskiego rządy sanacyjne nie byłyby w stanie się utrzymać, gdyby opozycja zdolna była do jednolitej politycznej akcji.

Nie tylko wszakże sanacja przejęła od Włoch koncepcję walki elit o władzę i wojenne tych zmagani politycznych



metody. W wyższym jeszcze bodaj stopniu uległ sugestiom pogańskiego nacjonalizmu i to w narodowo-socjalistycznej jego odmianie — obóz wszechpolski. W dużej mierze było to dostosowanie się młodzieży skupiającej się koło stronnictwa narodowego do narzucanych społeczeństwu przez sanację sposobów walki. Bita przez parę lat przez bojówki sanacyjne młodzież wszechpolska powiedziała sobie wreszcie: teraz my zaczniemy bić. Ale równocześnie był to objaw niebezpiecznego snobizmu intelektualnego. W Polsce, starzy narodowi demokraci przegrali walkę z Piłsudskim. A tymczasem we Włoszech i w Niemczech zwyciężali nowocześni nacjonałiści, ponieważ odrzucili masonskie hasła humanitaryzmu, demokracji, liberalizmu, tolerancji, kompromisów, którymi żył wiek XIX. To wszystko — wraz z wytworzoną w tymże XIX w. narodową demokracją — jest ginącym już światem. Nowy świat zrodzony z wojny totalnej — rozumie, że treścią życia narodów jest nie pokój — ale walka. A naczelnym motorem walki jest nienawiść.

I zaczęło się systematyczne trenowanie młodzieży wszechpolskiej w nienawiści. Najłatwiej ją było rozbudzić przeciwko Żydom. Więc organizowano o wiele skwapliwiej od rozwoju chrześcijańskiego, polskiego handlu i przemysłu — bicie Żydów. A zaprawione już w nienawiści rasowej bojówki zaczęto następnie używać do dokumentowania nienawiści inaczej myślących Polaków nawet na narodowo mieszanym kresach: napadu na lokal młodzieży demokratycznej, rozbijania odczytu urządzonego przez akademicką młodzież ludową pod przewodnictwem prof. Bujaka, bicia włościan polskich, przybyłych do Lwowa dla udziału w manifestacji 11. listopada...

Z tego posiewu nienawiści partyjnej wśród młodzieży narodowej osiągnęła istotną korzyść tylko sanacja. Wiosną 1939 r. wziąłem udział w delegacji do prezydenta Mościckiego pięciu członków akademii umiejętności wraz z prof. Glaserem, byłym ministrem i prezydentem Poznania Cyrylem Ratajskim oraz byłym posłem w Wiedniu i Pradze hr. Lasockim. Tegoż samego dnia byli na zamku ludowcy z półmilionem zebranych w ciągu 2 tygodni podpisów chłopskich na petycji o amnestię dla Witosa. Następnego dnia odwiedzili Prezydenta kolejno gen. Haller i Ks. Kardynał Hlond. Trzeciego dnia Prezydent przyjął delegację

P.P.S. Wszystkie te delegacje przedłożyły Prezydentowi te same postulaty: amnestii dla emigrantów politycznych, mianowania Rządu Jedności Narodowej złożonego z przedstawicieli wszystkich stronnictw polskich i powołania do życia Rady Obrony Państwa. Wszystkie te petycje Prezydent Mościcki stanowczo odrzucił. Ze sposobu jednak w jaki mówił doszedłem do wniosku, iż gdyby zbiorową delegację na zamek wszystkich stronnictw opozycyjnych poparł pochód pięćdziesięciu tysięcy ludzi, Prezydent natychmiast spełniłby przedłożone mu żądania. Zwróciłem się z tym do stronnictw: P.P.S., Ludowego i Narodowego. Pierwsze dwa wyraziły od razu gotowość wzięcia udziału w takiej akcji. Natomiast członkowie Stronnictwa Narodowego, z którymi mówiłem wręcz oświadczyli mi, że wśród starszego społeczeństwa stronnictwo ich rozporządza już niewielkimi w Warszawie wpływami (wykazały to zresztą wyraźnie wybory do Rady Miejskiej), a młodzież narodowa jest tak wychowana, że spotkawszy się z ludowcami i socjalistami zacznie się z nimi bić zamiast wspólnie z nimi demonstrować.

Zapatrzenie się w faszystowskie i hitlerowskie wzory, dochodząc aż do pozdrawiania się wyciągniętą przez siebie ręką, wytworzyło wśród Młodych Obozu Wielkiej Polski krańcowy partyjny izolacjonizm. Naczelnym kanonem ich ideologii było: żadnych z demo-liberalnymi żywiołami kompromisów, bo cała władza musi po załamaniu się rządów sanacyjnych, które wcześniej czy później niechybnie nastąpi, przejść do stronnictwa narodowego, byle nie dopuścić do udziału w spadku po piłsudczykach stronnictw demokratycznych. Spadkobiercami monopartyjnych rządów sanacyjnych mogą i powinni być, mający również monopartyjne w swym programie rządy, nowocześnie totalni nacjonałści.

\* \* \*

Gdy młodzież wszechpolska przeprowadzała na walnym zebraniu lwowskiej Bratniej Pomocy rezolucję, zasyłającą Mussoliniemu gratulacje z powodu podbicia Abisynii — na mą uwagę, że jest to sprzeczne z całą naszą tradycją narodową, odpowiedziano mi ze strony tej młodzie-



ży, że tylko zwycięstwo ideologii nacjonalistycznej może zapewnić mocarstwową potęgę Polsce, a zwycięstwo obozu narodowego w Polsce jest ściśle związane z uzyskaniem prymatu w życiu całej Europy totalnego nacjonalizmu nad parlamentarnym i demokratycznym żydo-masońskim liberalizmem.

Nigdy tak jak w owej chwili nie stanęła mi przed oczy zasadnicza różnica ideologii młodego obozu wielkiej Polski od ideologii dawnej narodowej demokracji.

Naczelnym nakazem programu demokratyczno-narodowego było stać pilnie na straży niezależności polskiej myśli politycznej i społecznej od obcych wpływów. To był główny punkt konfliktu Dmowskiego z Piłsudskim w 1905 r., że gdy ten ostatni uważał za najważniejsze dopomóc rewolucyjnymi w Polsce wystąpieniami do obalenia caratu — Dmowski sprzeciwiał się wszystkiemu, co mogło wciągnąć polski ruch narodowy w orbitę rewolucji rosyjskiej. A w Galicji za pierwsze nasze zadanie uważaliśmy wykorzenienie z mentalności tamtejszego naszego społeczeństwa ugruntowanej w niej silnie stańczykowskiej tezy o tożsamości polskiego interesu narodowego z mocarstwowymi dążeniami monarchii Habsburskiej.

Cokolwiek kto myśli o dziejach narodowej demokracji, choćby najbardziej krytycznie — musi przyznać, że był to prąd ideowy, ściśle narodowy, czysto polski, czerpiący wszystkie swe inspiracje z doświadczeń naszych walk o niepodległość i dokonywujących się w narodzie naszym przeobrażeń społecznych i kulturalnych. Narodowa Demokracja i sama czerpała swe programowe wskazania ze źródeł rodzimych i tego uczyła cały naród. Natomiast Młodzi Obozu Wielkiej Polski, pomimo noszonych przez się „mieczników Chrobrego“ z obcych zaczerpnęli źródła całą swą ideologię totalnego nacjonalizmu, rządów monopartyjnych, walki z demokracją i liberalizmem, pogardy dla wszelkiej tolerancji i wszelkich kompromisów, bez których nie jest możliwą jakakolwiek solidarność narodowa, a wreszcie nienawiści nasamprzód rasowej, a potem i partyjnej, nie cofającej się przed stosowaniem metod dopuszczalnych dotychczas tylko w walce z wrogimi państwami przeciwko politycznym przeciwnikom wewnątrz własnego narodu i państwa.

A są to źródła zatrute istic pogańską moralnością.

Ā kto z nich czerpie ten nie tylko własną myśĀ i duszĀ znieprawia — ale i zatrzuwa caĀ moralnĀ atmosferĀ życia narodowego.

\* \* \*

Dzieje cywilizacji to nie tylko historia przemian politycznych, przeobrażeń społeczno-gospodarczych i państwowych, rozwoju nauk, sztuk, zmagania się ras, narodów — to również dzieje nieustannej walki dobra ze złem, przejawiającej się w wahaniach moralnego poziomu życia warstw społecznych, narodów i ludzkości. Bo stałemu od tysiącleci postępowi wiedzy i opartego na niej panowania ludzi nad przyrodą — nie towarzyszy stały również postęp pojęć i uczuć etycznych. Często się mówi, że jedną z głównych przyczyn przeżywanej dziś przez ludzkość tragedii — jest przerost materializmu życiowego, spowodowanego znacznie szybszym postępem kultury materialnej niż duchowej w czasach nowożytnych. Jednak jest coś gorszego; jest i regres moralny.

W ciągu XIX wieku był o wiele powolniejszy postęp moralności życia publicznego od postępu bogactwa społeczeństw cywilizacyjnych — ale był i to nawet nie mały. Jedynie we Francji rewolucja zrównała w prawach chłopów i mieszczan ze szlachtą. Wszędzie indziej zniesienie poddaństwa włościan, uwłaszczenie ich, ograniczenie czasu pracy w fabrykach dzieci i kobiet, udostępnienie oświaty i pomocy lekarskiej najszerszym warstwom ludności, ubezpieczenie robotników od chorób, wypadków i starości — nastąpiło z góry, decyzją warstw rządzących. Było w tym wyrachowanie, odpowiednie zrozumienie interesu państwa i własnej klasy. Ale nade wszystko działała tu ewolucja poglądów społeczno-kulturalnych, nowe pojmowanie sprawiedliwości społecznej. By zdać sobie sprawę z tego jak dalece się ono zmieniło w ciągu ubiegłego stulecia — wystarczy powiedzieć, że w jego początkach angielska opinia publiczna zgłosiła się nie gorszyła dwunasto, a nawet czter-nasto godzinną pracą w fabrykach tkackich dzieci poniżej 10 lat życia, używanych do szkodliwego bardzo dla ich płuc zbierania odpadków wełny spod krosien — a pod jego koniec, rzadko w której gałęzi brytyjskiego przemysłu do-rośli robotnicy pracowali ponad 8 godzin dziennie.

Rozwój demokracji był równocześnie realizacją



i w ustawodawstwie społecznym państw i w codziennych między ludźmi stosunkach fundamentalnej zasady etyki chrześcijańskiej, że ból i radość najbiedniejszych i najmniej oświeconych są tyle samo warte co ból i radość najmożniejszych tego świata.

A najjaskrawszym bodaj przejawem siły nakazów nowej lepszej etyki społecznej była wojna o zniesienie niewolnictwa w Stanach Zjednoczonych.

Pracowały też usilnie setki uczonych nie tylko nad tym, jak przysparzać bogactwa właścicielom fabryk, kopalń i majątków ziemskich przez obniżanie kosztów wszelakiej produkcji lecz i nad tym, jak chronić i ulepszać życie bliźnich. Opinia publiczna wszystkich krajów interesowała się o wiele bardziej wynalazkami bakteriologicznymi, ułatwiającymi walkę z chorobami, niż doskonaleniem sprzętu bojowego.

Mimo to istniał jednak nieustanny wśród mocarstw kontynentalnych wyścig zbrojeń i istniały zaborcze imperializmy. Nie miały też wszystkie warstwy społeczne równomiernego udziału w dobrodziejstwach postępu technicznego. To też po 45 latach coraz szerszej pokojowej współpracy wszystkich cywilizowanych narodów świata, wzięły górę nad międzynarodowym współdziałaniem międzynarodowe antagonizmy — wybuchła pierwsza wojna światowa.

Wojna ta była bardziej okrutna od wszystkich poprzednich wojen od IX do XX stulecia. Niemcy zaczęły ją od cynicznego oświadczenia, że umowy międzynarodowe są tylko świstkami papieru. Stale też postępowały one wbrew przepisom prawa międzynarodowego, terroryzując ludność zajętych miast bezprawnymi egzekucjami; topiąc pasażerskie okręty, stosując ataki gazowe.

Gdy jednak porównamy wojnę poprzednią z obecną — nazwiemy pierwszą rycerską.

Jeśli w XIX wieku postęp moralny nie nadążył za postępem wiedzy i bogactwa — to w ostatnim dwudziestoleciu między 1919 a 1939 r. nastąpił przy szybszym bodaj jeszcze, niż poprzednio postępie technicznym stanowczy upadek moralny. W życiu narodów i państw, nasamprzód w imperium rosyjskim, następnie we Włoszech, Hiszpanii, Niemczech i szeregu pomniejszych krajów wzięły zdecydowanie górę nad chrześcijańskimi przykazaniem,

miłości bliźniego, sprawiedliwości, miłosierdzia — hasła nienawiści klasowej, partyjnej, rasowej, narodowej: pierwsze ogłoszono niegodną prawdziwego męża słabością, drugie najwyższą cnotą uświadomionego należycie obywatela.

Zanim Gestapo mordowało w Oświęcimiu Polaków — mordowało ono już wcześniej w Dachau obywatele niemieckich. Barbarzyństwo państw osi w obecnej wojnie totalnej, przewyższające okropności wszystkich wojen, jakie miały kiedykolwiek miejsce w świecie chrześcijańskim i którego przykładem chyba tylko wojny Dżingis Hana to tylko powiększone i rozszerzone barbarzyństwo totalnego terroru, na którym opierały się rządy państw totalnych w okresie między obecną a poprzednią wojną światową.

Wskazałem już na genezę tego terroru. Zarówno włoski faszystyzm, jak niemiecki narodowy socjalizm proklamując monopartyjne, wolne od wszelkiej kontroli opinii publicznej rządy „elity kombatantów“ przenieśli na teren spraw wewnętrznych państwa umysłowość i uczuciowość wojenną walki bezkompromisowej, której celem naczelnym zniszczenie żywej siły wroga wszelkimi dostępnymi środkami fizycznej przemocy, zaskoczenia, podstępów...

Ale to jeszcze nie tłumaczy nam dostatecznie barbarzyństwa wniesionego przez państwa totalne do obecnej wojny.

Bo faktem jest, że postępowanie wojsk i władz administracyjnych tych państw w okupowanych przez nie ziemiach, jest o wiele jeszcze bardziej zbrodnicze od mordowania we własnych krajach przeciwników politycznych, a to ostatnie znów było bardziej bezlitosne od walk na frontach 1914 po 1918 r. i ówczesnego traktowania jeńców wojennych.

Nienawiść wrogów ojczyzny — gdy się przemieniła w nienawiść inaczej myślących rodaków — wielokrotnie się stała gorszą. Żołnierz, który dokładał wszelkich starań, by zastrzelić każdego wychylającego się z okopów nieprzyjacielskich przeciwnika — gdy ten mu poddał się, tracił doń zazwyczaj natychmiast wrogie usposobienie. Ale ten sam człowiek następnie, gdy stał się bojowcem faszystowskim czy narodowo-socjalistycznym, znęcał się z lubością nad aresztowanym, unieszkodliwionym więc już przeciwnikiem politycznym.



Do pragnienia zniszczenia przeciwnika za wszelką cenę, dołączyło się jeszcze iście pogańskie uczucie zemsty.

O wiele mniej niż w wojskach czasów Napoleona, jednak pozostało było coś jeszcze w latach 1914 — 1918 nawet w armiach niemieckiej, włoskiej i rosyjskiej, a dość dużo w brytyjskiej, francuskiej, belgijskiej i austriackiej z tej rycerskości, którą wytworzyło było chrześcijańskie średnio-wiecze. Ale wszystkie trzy rewolucje i zrodzone przez nie trzy totalizmy usunęły z walk partyjnych wszelkie pojęcie rycerskiego honoru i rycerskiej wielkoduszności.

Przeniesiona z pola walk orężnych do wewnątrzno-politycznych partyjnych rozgrywek mentalność i uczuciowość wojenna zatraciła wszelkie pierwiastki kultury chrześcijańskiej, bohaterstwa, wspaniałomyślności, stała się nie liczącą się z żadnymi względami moralnymi sztuką przyczyniania przeciwnikowi jaknajwięcej zła — spodłała.

Suma nienawiści jakie poprzednia wojna wywołała z głębi najprywatniejszych instynktów ludzi w szeregu krajów: Rosji, Włoszech, Niemczech, Hiszpanii i paru innych jeszcze, nie zmalała po ustaniu działań wojennych, lecz znacznie się jeszcze wzmogła przez walki wewnętrzne.

A nowe jeszcze ich spotęgowanie nastąpiło w wojnie obecnej. Mszczono się i znęcano nad unieszkodliwionymi już przeciwnikami w więzieniach i obozach koncentracyjnych państw totalnych. Mogło to mieć jakiś cel: sterroryzowanie ogółu obywateli państw tak, by nikt w przyszłości nie miał odwagi wystąpić z najłżejszą choćby krytyką rządzącego stronnictwa. Ale od pierwszych dni wojny wojska niemieckie popełniały liczne zupełnie bezcelowe zbrodnie. Nie miało żadnego militarne go znaczenia ostrzeliwanie z samolotów uciekającej piechotą lub na wozach przed Niemcami ludności cywilnej, nie szczczędząc kobiet ani dzieci, pracujących na polach włościan, czy nawet pasącego się bydła. A już wprost szkodliwym było barbarzyńskie postępowanie z jeńcami rosyjskimi, głodzenie ich aż do śmierci dziesiątkami tysięcy, a nieraz i wymordowanie niedaleko od frontu. Z każdym miesiącem dłuższego trwania wojny rosła wśród żołnierzy rosyjskich obawa niewoli niemieckiej i liczby poddających się malały coraz bardziej. Nie pomogła też, a zaszkodziła, zbrodnia katyńska jej sprawcom. Dziś na terenie całego europejskiego kontynentu przeż

władze i wojska państw totalnych czynione jest zło nie tylko dlatego, że jest ono potrzebne dla osiągnięcia zamierzonych celów, ale często dla niego samego, z szalu nienawiści, dla nasycenia żądz mordy i radości patrzenia na cudzy ból i nieszczęście.

Można rozmaicie tłumaczyć dochodzenie ludzi do zła absolutnego. Znana jest teoria Lombroso o urodzonych zbrodniarzach, którzy z obawy przed karą powstrzymują swe zbrodnicze instynkty, ale dają im w pełni upust, gdy są pewni bezkarności. Są też kryminolodzy wedle których w duszy większości ludzi drzemią atawistyczne instynkty, datujące się z czasów prahistorycznych, gdy człowiek nieustannie zabijał, by samemu nie być zabitym.

Ale czemu po paru stuleciach panowania cnoty obywatelskiej w republice rzymskiej przyszły następnie wojny domowe między stawiającymi się ponad prawo wodzami zaciężnych legionów, a w ich następstwie rządy zbrodnicze krwawych szaleńców: Tyberiusza, Nerona, Kaliguli?

I czemu po olbrzymim idealizmie pochodów krzyżowych, które nie były oderwanym od całej średniowiecznej cywilizacji epizodem, lecz najwyższym wykwitem zrodzonej przez nią rycerskości — nastąpił odwrót do istic pogańskiej moralności doby Odrodzenia?

Czemu wreszcie instynkty atawistyczne mordy i rabunku, czy krwiożercze popędy urodzonych zbrodniarzy, których prawie widać nie było w XIX wieku (pomimo że nie brakowało w nim wojen) w ostatnich 25 latach potęgowały z roku na rok i w dużej części cywilizowanego świata osiągnęły przewagę w całym życiu publicznym?

Nie znajduję na to innego tłumaczenia, jeno, że jest w świecie nieustanna walka zła z dobrem, szatana przeciwko Bogu, w dziejach ludzkości przejawiająca się okresami szczególnego natężenia działań zbrodniczych i upadkiem powszechnej moralności.

Żyjemy dziś w takim właśnie okresie.

Dotychczas wszakże triumfy sił szatańskich były zawsze przejściowe i po czasach upadku moralnego przychodziło odrodzenie moralne.

Ale nie działa się to samo przez się — jeno przez zwycięską kontrofensywę dobra przeciwko zwycięskiemu nasamprzód złu. Działają tu niewątpliwie siły tak zwane „ir-



racjonalne“ tj. nie dające się ludzkim rozumem ściśle określić, na istnienie których wszakże i oddziaływanie na bieg historii tym silniej rozum nasz wskazuje, im głębsza i bardziej wnikliwa jest nasza analiza wielkich przemian dziejowych. Lecz te siły irracjonalne działają nie poza nami, jeno w nas, wspomagając nasze dobre postanowienia i zamierzenia lub kusząc nas do złego.

A że mamy wolną wolę — więc my sami jesteśmy odpowiedzialni za zwycięstwo dobra czy zła.

Niewątpliwie walczyliśmy my, Polacy, w jednym zespole ze wszystkimi ujarzmlonymi dziś narodami kontynentu, z wielkimi demokracjami brytyjską i amerykańską, przeciwko tworzonemu przez państwa Osi złu. I rozpoczęła się już kontrofensywa wojsk narodów sprzymierzonych, która niewątpliwie da im pełne zwycięstwo. Włoski faszyzm, niemiecki narodowy socjalizm, zaborczy imperializm japoński poniosą straszną militarną i polityczną klęskę. Ale to jeszcze nie zapewni odrodzenia moralnego ludzkości. Bo są i po stronie sprzymierzonych narodów siły zaborcze, żyjące nienawiściami, stawiające własną korzyść ponad wszelkie nakazy i zakazy moralne.

I nie zmieni się na lepsze dusza tych, którzy mordowali bezbronnych, znęcali się w obozach koncentracyjnych, dlatego tylko, że armie ich państwa zostaną zwyciężone. Co więcej, dotychczasowe triumfy siły nad prawem wzbudziły nawet wśród wybitnych kierowników opinii brytyjskiej i amerykańskiej wątpliwości czy da się naprawdę zrealizować w pełni zasady Karty Atlantyckiej, czy można będzie ustalić po wojnie trwały pokój na fundamencie równego prawa narodów małych jak wielkich, czy raczej nie trzeba będzie okupić dłuższego okresu pokoju zaspokojeniem pożądań najsilniejszych kosztem słabych.

Wojna zawsze wzmaga we wszystkich narodach nawet najbardziej demokratycznych kult siły. A od niego niedaleko do kultu przemocy. I nie jeden, który za nic by nie chciał stosowania jej przez własne państwo — ma dużo wyrozumiałości dla aktów przemocy silnego sojusznika.

Więc nie wiadomo jeszcze jakie będzie jutro po zakończeniu wojny.

Ale jedno jest pewne, że pozycja powojenna Polski

w świecie będzie tym lepsza, im pełniejsze będzie w wyniku obecnej wojny zwycięstwo dobra nad złem.

Więc obowiązkiem każdego Polaka, jest czynić wszystko co jest w jego możliwości, by to zwycięstwo przyszło.

A jak już powiedziałem: nie wystarczy dlań orężny nad państwami Osi triumf. Konieczne jest poza tym zapewnienie przewagi w moralnej atmosferze świata zasad etycznych nad egoistycznymi rachubami, umiłowań nad nienawiściami, poszanowania prawa nad samowolą.

\* \* \*

Moralna atmosfera — to nie figura retoryczna czy przenośnia literacka, to fakt życia społeczno-psychicznego. Już dawno stwierdzili socjologowie, że poza psyche indywidualną są zjawiska psyche zbiorowej. Prądy uczuciowe i myślowe, poruszające masy ludzkie nie są sumą jedynie myśli i uczuć składających się na te masy jednostek. W tłumach ludzie, skądinąd ostrożni, lubiący spokój — stają się nieraz wojowniczymi, bohaterskimi — dobrzy i łagodni — niemiłosiernymi. Tłumy oddziałują niemniej na duszę pojedynczych ludzi, niż usposobienia jednostek, z których się składają gromady — na ich zbiorowe nastroje i dążenia. Zigmunt Balicki widział w faktach tych przejawy „duszy zbiorowej“ istniejącej w zespołach ludzkich poza duszami indywidualnymi, które są tylko rozmaitymi punktami krzyżowania się wszelkiego rodzaju duchowych prądów społecznych. Zasadniczo na tym stanowisku stał również Gumplowicz, pochodzący z Małopolski, piszący jednak i wykładający w Gratzu po niemiecku — socjolog. Według niego „nil est in intellectu, quod non prius fuerit in societate“ (niema w myśli człowieka niczego, co nie było wprzód w społeczeństwie). Podobne traktowanie jednostki, jako produktu jedynie gromady, cechuje dziś socjologiczno-ekonomiczną literaturę faszystowską i narodowo-socjalistyczną.

Jest to krańcowa, nazbyt jednostronna, a wobec tego niesłuszna reakcja przeciwko klasycznej doktrynie liberalnej, według której w podstawie wszelkiego porządku społecznego leży jakoby dobrze zrozumiany egoizm jednostek.

Normalny człowiek ma świadomość swej przynależności do grupy zbiorowej: rodziny, gminy, warstwy spo-



lecznej i zawodowej, stowarzyszenia, kościoła, narodu i myśli i mówi nieraz o sobie w formie „my“. Ale ma on również poczucie swej indywidualnej odrębności od innych członków swej grupy, więc myśli i mówi o sobie niemniej często w formie „ja“.

Kształtuje się życie duchowe jednostek pod wpływem ich społecznego otoczenia — ale i w zależności od indywidualnych ich charakterów. Jakże często wśród rodzeństwa, jednakowo wychowanego, jeden jest idealistą a drugi egoistą.

Nie ma też ani rodzina, ani naród, ani ludzkość własnej duszy odrębnej od dusz jednostek. Naród istnieje w duszach swych członków, przez ich czuwanie się do obejmującej ich wszystkich solidarności, wyższej od solidarności pomniejszych wspólnot, nie przeciwstawianej im jednak ale ogarniającej je wszystkie jednocześnie.

Z duchowego jednak współżycia ludzi powstają niewątpliwie prądy myśli i uczuć, poruszające masy ludzkie i oddziaływujące nie tylko na postępowanie ale i na przeświadczenia moralne jednostek.

Bo nie tylko jest niezniszczalność energii fizycznej. Jest również niezniszczalność energii psychicznej.

Nie tylko żaden nasz czyn, ale i żadna nasza myśl, żadne napięcia uczuć nie ginie bez śladu. Bo żaden człowiek nie żyje samotnie wśród materialnej jedynie przyrody. Treścią życia człowieka jest zawsze takie czy inne współżycie z innymi ludźmi, takie lub inne ustosunkowanie się do nich myślowe i uczuciowe. I z krzyżowania się tych psychicznych ustosunkowań się jednych ludzi do drugich tworzą się nastroje gromad ludzkich, oraz powstają prądy ideowe dobre lub złe. A pod wpływem prądów ideowych danego czasu nie tylko kształtują się działania współczesnych, lecz wychowują się przyszłe pokolenia.

Są ludzie o duszy radioaktywnej, potężnie oddziaływający swą wolą, myślą i uczuciowym nastawieniem na wolę, myśl i uczucia mas ludzkich. Takimi bywali i są wielcy wodzowie, twórcy nowych religij, założyciele nowych zakonów, reformatorzy ustrojów państwowych i społecznych, genialni poeci. Wywierają oni wpływ na atmosferę moralną nie tylko im współczesną, ale nieraz trwającą wiele dłużej od ich własnego życia. Kto z nas nie czuł w swej

młodości wpływu na jego myśli i uczucia tych nastrojów duchowych jakie budził w całej polskiej młodzieży, dawno już nie żyjący Mickiewicz, improwizacją Konrada i Księgami Pielgrzymstwa.

Na mniejsze grupy ludzi i w mniejszym stopniu oddziałującej jednak stanami własnej duszy i każdy dobry ksiądz, czy dobry nauczyciel, czy dobry kierownik spółdzielni, a także dobry oficer lub podoficer. I obserwując daną parafię, szkołę, spółdzielnię, kompanię czy pluton, widzimy wyraźnie wpływ tych ludzi na istniejącą w środowiskach tych atmosferę moralną.

Znaczna większość ludzi ma wszakże dusze recepcyjne. Raczej ulegają oni wpływom otaczających ich nastrojów zbiorowych, niż na nie oddziałują. Nikt nie jest jednak bezwolnym wytworem jeno swego środowiska społecznego, atmosfery moralnej wśród której żyje.

Bo w atmosferze każdego czasu i każdego narodu — istnieją równocześnie prądy dobre i złe. W czasach i krajach najczotliwszych działały się zawsze i zbrodnie. Najidealniejszym porywom towarzyszyły egoistyczne także wyrachowania. Znakomicie przedstawiła to Kossak-Szczucka w swych „Krzyżowcach“. I odwrotnie w czasach najgorszego upodlenia senatu rzymskiego rozpętania najdzikszych instyktów w tłumach, entuzjazmujących się krwawymi widowiskami w cyrkach, powszechnego rozluźnienia obyczajów i szalejących na dworach cesarskich zbrodni — żyły najwznieśliwą miłością Boga i bliźnich gminy chrześcijańskie i zyskiwały sobie coraz liczniejszych prozelitów bohaterstwem męczenników.

Od decyzji człowieka zależy, czy ulegnie naciskom i pokusom istniejącym w otaczającej go atmosferze moralności prądów złych czy też przeciwstawi im opór w imię swych etycznych przekonań. W pierwszym przypadku nie tylko włącza się on do działań zła, ale powiększa sumę jego swymi własnymi już złymi myślami, uczuciami i działaniami. Odwrotnie opór stawiany złu, nawet całkiem jednostkowy, bierny — bo nie każdego stać na głośną propagandę — zwiększa sumę dobra moralnego w świecie. To napięcie dobrej woli, które jest potrzebne do odepchnięcia od siebie złych sugestyj — choćby nikt nie wiedział o nim — wzmacnia istniejące w psychicznym naszym środowisku



pierwiastki moralnego dobra. Bo powtarzam raz jeszcze — nie ginie żadne wyładowanie energii duchowej tak samo jak fizycznej.

\* \* \*

Wojna — to walka fizyczna, w której dużą, niekiedy nawet decydującą rolę gra siła moralna wojsk, normalnie jednak każda ze stron stara się o uzyskanie przewagi nad przeciwnikiem liczbą wprowadzonych w danym miejscu do akcji wojsk, potęgą ich ognia, szybkością i rozmiarem dostaw materiału bojowego.

Więc w czasie wojny szczególnie są silne skłonności do uznawania za realne myślenie — jedynie rachub sił fizycznych, z wykluczeniem wszelkich irracjonalnych pierwiastków.

Istotnie przy przewidywaniach i decyzjach konkretnych strategicznych i politycznych poczynań trzeba się kierować rachubą strat i zysków, opartą na możliwie dokładnej analizie czynników wymiernych.

Wprowadzać do nich mistycznych wierzeń — nie można. Ale gdy chodzi o całokształt polityki narodowej, o stanowisko jakie ma zajmować ogół narodu wobec wielkich przemian jego losów — nie wystarczają rachuby różnych strat i zysków, dochodzą do głosu siły irracjonalne.

Bo czyż nie działaniem sił irracjonalnych tej niewymiernej, nieuchwytniej, a tak silnej atmosfery moralnej, którą wytworzyło w Polsce nasamprzód bohaterstwo żołnierzy na Westerplatte, pod Kutnem, Kockiem, obrońców Warszawy, Lwowa, Modlina, a następnie nieustannie przez cztery z górą lata składane dla miłości Ojczyzny tysięczne ofiary życia — jest ten fakt zadziwiający, że kraj, w którym skrupowane jest w najwyższym stopniu działanie opinii publicznej, gdzie każdy niemal sam na siebie jest zdany, ani groźby ani kuszenia Niemców nie dały im niczyjego dobrowolnego współdziałania, żadnego ze strony społeczeństwa kompromisu z potęgą zła, której uosobieniem jest Hitler.

Przegraliśmy zbrojną walkę w Polsce, w porównaniu z potęgą armii brytyjskiej, amerykańskiej, rosyjskiej — niewielką jest własna nasza siła militarna, pada z rąk bojowców polskich w kraju mniej Niemców, niż z rąk pow-

stańców serbskich — a mimo to jedynie o Polsce tak bardzo realny polityk, jakim jest Prezydent Roosevelt, powiedział, że jest „natchnieniem świata”.

To atmosfera moralna Polski, która sprawia, że setki tysięcy ludzi jeszcze w przededniu wojny słabych, kompromisowych, troszczących się przede wszystkim o własną karierę, stało się mocnymi, bezkompromisowymi, wszystko swoje oddającymi Ojczyźnie — i którą każdy odpór dawany wrogiej przemocy jeszcze bardziej z dnia na dzień umacnia — została powyższymi słowy Prezydenta Stanów Zjednoczonych oceniona jako szczególnie doniosły nasz wkład do moralnej atmosfery świata.

\* \* \*

Ważą się dziś losy Polski nie tylko na polach bitew i w gabinetach kierowników państw sojuszniczych, lecz także w opinii narodów. Słuszność jest całkowicie po naszej stronie — ale przewaga siły jest po przeciwnej stronie. Tylko zdecydowana przewaga w moralnej atmosferze świata pierwiastków dobra nad złymi mocami może dać zwycięstwo słusznych praw narodów słabszych nad egoizmem i niesprawiedliwością silniejszych.

Dla tej przewagi daje z siebie codziennie dużo, bardzo dużo ogół rodaków naszych w kraju.

A co my tu na ziemi brytyjskiej dajemy?

Niech nikt nie mówi: nie jestem odpowiedzialny za stan sprawy polskiej. Każdy, i ten kto nie ma najmniejszego nawet bezpośredniego wpływu na nasze tu polityczne prace — przyczynia się swym postępowaniem, swymi myślami i uczuciami, moralnym poziomem swego życia — dla korzystnego lub niekorzystnego dla Polski i jej słusznych praw kształtowania się moralnej atmosfery świata.

Każde szlachetne nasze poczynanie choćby w zakresie czysto prywatnego naszego życia — jest pożyteczną dla Polski służbą. Każdy lichy moralnie uczynek Polaka — szkodzi Polsce.

A czy wzrok duchowy jest zbyt słaby, by mógł dostrzec takie irracjonalne wielkości jak atmosfera moralna — niech o tym przynajmniej stale pamięta, że żyjemy pod ścisłą obserwacją narodów sprzymierzonych, które według postępowania poszczególnych Polaków sądzą o całej Polsce.



## SPIS TREŚCI:

|  | Str |
|--|-----|
| 1. Polska myśl dziejowa ... ..                             | 5   |
| 2. Naród i państwo ... ..                                  | 23  |
| 3. Rząd i samorząd ... ..                                  | 48  |
| 4. Ku nowemu ustrojowi społeczno-gospodar-<br>czemu ... .. | 63  |
| 5. Polska gospodarka planowa ... ..                        | 115 |
| 6. Zagadnienie inteligencji ... ..                         | 150 |
| 7. Atmosfera moralna ... ..                                | 169 |



**Biblioteka Główna UMK**

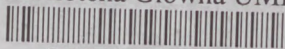


**300051320949**





Biblioteka Główna UMK



300051320949

Biblioteka Główna UMK



300051320949

